PROJEKT NIEBEZPIECZNEJ USTAWY W SEJMIE

I ty możesz zostać ruskim agentem! – ostra reakcja poseł Siarkowskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 4/511 23–29 STYCZNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o micie Polski jagiellońskiej w kontekście wojny na Ukrainie

JANUSZ KORWIN-MIKKE: UNIA EUROPEJSKA A SUWERENNOŚĆ POLSKI

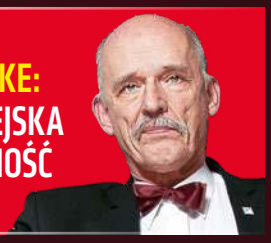

Zła spowiedź – lewacy znów uderzają w katolików

GROŹNY PROJEKT NOWEGO ŚWIATA WEDŁUG HARARIEGO

Davos próbuje się odciąć od swego proroka

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład: 53 500 egzemplarzy

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Już w lutym do sprzedaży trafi banknot kolekcjonerski z wizerunkiem Mikołaja Kopernika, który został jednym z patronów 2023 r.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został uhonorowany nagrodą Giganci Polska Press 2022 w kategorii „Bezpieczeństwo finansowe" za wybitne zarządzanie bankiem centralnym w czasach pandemii, wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego.

Warszawa, 11 grudnia 2022 r.

Międzynarodowa nagroda *Excellence in Currency* w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne", została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference", Amsterdam, 18 października 2022 r.

Nagroda *Strażnik Pamięci* w kategorii „Instytucja" została przyznana NBP za Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.

Nagrody przyznane Narodowemu Bankowi Polskiemu

eprasa.pl e8066a002f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Putina już nie ma

Od 24 lutego ubiegłego roku ogół światowych mediów poświęca co najmniej tyle uwagi kwestii zdrowia i życia dyktatora Rosji, ile samej wojnie, którą z Ukrainą toczy Władimir Putin. Zdążyłem zatem już przeczytać, że trapią go wszelkie możliwe choroby – od różnych stadiów raka, przez pomroczność jasną, do depresji. Każda z tych informacji oparta była na całkowicie pewnych doniesieniach zachodnich mediów, a dla nich z kolei autorytetem były ustalenia ukraińskiego wywiadu.

Czasem, przyznaję, zdarzały się też inaczej brzmiące doniesienia, według których ze zdrowiem tyrana nie jest aż tak źle, ale, co miało natychmiast pokrzepić serca, tak czy inaczej satrapa zostanie zniszczony w inny sposób. Nie kijem go, to pałką – mówi mądrość ludowa. Władimirowi Putinowi nie tylko towarzyszyły wszelkiej maści przypadłości ciała i duszy, pozwalając ufnie oczekiwać jego zgubnego kresu, lecz także czaiły się na niego w zakamarkach kremlowskich korytarzy inne mroczne (a właściwie jasne) moce. I tak dowiedziałem się o spiskach, podziałach wśród generałów, sprzeczkach klik i przygotowywaniu zamachu. Każdy dzień niemal przynosił inne wariacje na tę samą melodię. A to dyktatora miał zaciukać niejaki Prigożyn, określany wdzięcznym mianem kucharza Putina, a to poderżnąć gardziołko miał mu inny członek szajki, wrzaskliwy Kadyrow, a to, wersja bardziej wysublimowana, miał go usnąć bliżej nieokreślony przedstawiciel rosyjskich elit. Wszystko to brzmiało pięknie, jednak tak się zdarzyło, że mimo tych wszystkich cieszących nasze serca wieści prezydent Rosji zdawał się trzymać na nogach. I oto, dowiedziałem się, informacja prosto z Davos, więc musi być prawdziwa, bo przecież tam zjechało się tylu mądrych ludzi, że… dyktatora już ponoć w ogóle nie ma. Taką hipotezę przedstawił prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski.

W pewnym momencie swojego wystąpienia w Davos stwierdził on, że nie wie, z kim ze strony rosyjskiej mógłby rozmawiać w sprawie zawarcia pokoju, ponieważ „nie jest pewien, czy Władimir Putin jeszcze żyje". – W tej chwili nie wiem, z kim rozmawiać. Nie jestem pewien, czy prezydent Rosji jeszcze żyje. Nie wiem, czy on jeszcze żyje, ani nie wiem, czy to on podejmuje decyzje – powiedział ukraiński prezydent.

Czyli pierwszy cel Zachodu – odsunięcie Putina od władzy – został najwyraźniej spełniony. Mylili się defetyści, którzy wspominali, że aby obalić w Rosji dyktatora, trzeba najpierw wygrać wojnę, nie tylko przegnać Rosjan z zajętych przez nich terenów Ukrainy, lecz także rozgromić armię i zdobyć Moskwę. Wszystko to okazało się nieprawdą. Po prostu, jak zasugerował Zełenski, Putina już nie ma – nie jest tylko pewne, czy nie ma go wśród żywych czy też że stracił władzę. Tym razem jednak, mimo że źródłem jest sam prezydent Zełenski, euforii nie ma. Dziwne: przecież już powinno być po wszystkim i jedyne, co pozostało, to kończyć dzieła.

Piszę to wszystko, by pokazać, w jak wielkim stopniu nasza wiedza na temat wydarzeń wojennych jest ograniczona. Nie znamy rzeczywistej skali strat obu stron. Nie wiemy, czy Rosja lada chwila się rozpadnie i zawali, jak o tym wciąż czytam, czy też jej rozpad jest równie prawdziwy jak to, że Putina już nie ma. Nie dysponujemy, obawiam się, niczym więcej niż właśnie propagandą i chciejstwem. A to oznacza, że bardzo trudno mówić o ocenie działań politycznych. Zastanawiam się zatem, jaką naprawdę wiedzę na temat wojny mają polskie władze. Czy decydując się na dozbrajanie Ukrainy kosztem Polski (o czym w Davos mówił wprost prezydent Andrzej Duda), wierzą, że Putina już nie ma, i dlatego tak bardzo ryzykują? Bo przecież tak im powiedział prezydent Zełenski.

PS Dziesięć lat temu ukazało się pierwsze wydanie tygodnika „Do Rzeczy". Wielu wtedy nie wierzyło, że może nam się udać. A jednak się mylili. Okazało się, że tysiące Polaków nie tylko czekało właśnie na taki głos jak nasz – konserwatywno-liberalny, zdroworozsądkowy, realistyczny – lecz także z nami pozostało. Okazało się, że w Polsce jest jeszcze miejsce na analizę i na debatę, na starcie opinii. Dlatego wszystkim tym Czytelnikom chciałbym serdecznie podziękować i obiecać, że cokolwiek by się działo, tygodnik pozostanie taki, jaki był i jest. Będziemy bronili polskiej suwerenności i tradycji narodowej, opierając się jedynym słusznym ideologiom. Myślę, że pod tym mogą się podpisać wszyscy nasi autorzy. Rozum zamiast histerii, emocji i plemienności – to chyba nie jest najgorszy program dla pisma. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

10 lat tygodnika

„Do Rzeczy”

Piszą w tygodniku „Do Rzeczy”, w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” i w portalu DoRzeczy.pl:

Paweł Lisicki, Piotr Semka, Rafał A. Ziemkiewicz, Wojciech Cejrowski, Łukasz Warzecha, Andrzej Nowak, Wojciech Roszkowski, Marek Jurek, Maciej Rosalak, Piotr Gabryel, Grzegorz Kucharczyk, Krzysztof Masłoń, Cezary Gmyz, Jacek Przybylski, Piotr Gursztyn, Piotr Zychowicz, Jan Pospieszalski, Joanna Siedlecka, Jerzy Karwelis, Sławomir Cenckiewicz, Jan Parys, Joanna Bojańczyk, Piotr Gociek, Tomasz Rowiński, Leszek Żebrowski, Piotr Woyciechowski, Wojciech Golonka, Jan Fiedorczuk, Maciej Szymanowski, Piotr Kowalczuk, Małgorzata Wołczyk, Witold Repetowicz, Dariusz Wieromiejczyk, Marek Jan Chodakiewicz, Artur Szeremeta, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Zuzanna Dąbrowska, Ryszard Gromadzki, Maciej Pieczyński, Karol Gac, Piotr Włoczyk, Łukasz Zboralski, Dominika Ćosić, Tomasz Stańczyk, Wiesław Chełminiak, Grzegorz Kondrasiuk, Grzegorz Brzozowicz, Tomasz Lenczewski, Sławomir Ligarski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Czarnecki, Romuald Szeremietiew, Remigiusz Włast-Matuszak, Adam Hlebowicz, Rafał Łatka, Ryszard Czarnecki, Olivier Bault, Jakub Wozinski, Jacek Pałkiewicz, Michał Mackiewicz, Janusz Korwin-Mikke, Jan Hlebowicz, Maria Kądzielska, Tomasz Cukiernik, Piotr Litka, Gabriel Michalik, Mikołaj Iwanow, Zofia Magdziak, Arkadiusz Karbowiak, Agnieszka Golańska-Bault, Teresa Stylińska, Anna Popek, Magdalena M. Krupa, Radosław Wojtas, Krystian Kratiuk, Andrzej Solecki, Łukasz Majchrzyk, Marek Gałęzowski, Tymoteusz Pawłowski, Tomasz Zbigniew Zapert, Sławomir Jastrzębowski, Jakub Ostromęcki, Cezary Krysztopa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Kowalczuk, Tomasz Kolanek, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Grzegorz Grzymowicz, Damian Cygan, Kamila Gala, Katarzyna Pinkosz, Adam Zubek, Dawid Sieńkowski, Jakub Zgierski, Łukasz Żygadło, Maciej Jasiński, Krzysztof Wyrzykowski

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH GOLONKA
WIESZCZ POSTLUDZKOŚCI
Dlaczego globaliści tak ochoczo polecają pisma Yuvala Noaha Harariego i traktują go jak ich nadwornego ideologa?

KRAJ

22 KAROL GAC
MOŻE DOJŚĆ DO UCHYLANIA WYROKÓW
Rozmowa z Dagmarą Pawełczyk-Woicką, przewodniczącą Krajowej Rady Sądownictwa

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WYMUSZANY FETYSZ

28 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
I TY MOŻESZ ZOSTAĆ RUSKIM AGENTEM

30 PIOTR SEMKA
WIELE HAŁASU O NIC?

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
STOP DLA SPOWIEDZI?

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
DLA KOGO SĄ URZĘDY?

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
O KOŃCACH ŚWIATA
„The Last of Us" to udana ekranizacja głośnej gry postapo

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYKA JAGIELLOŃSKA NA STERYDACH
Czy przyjęcie Ukrainy do NATO najbardziej nie obciążałoby Polski?

48 JANUSZ KORWIN-MIKKE
„POSŁUCHAJCIE, BRACIA MIŁA!"

51 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WATYKAN I BŁOGOSŁAWIEŃSTWA LGBT

HISTORIA

54 MAREK KLECEL
PISARZ POWSTANIA STYCZNIOWEGO
Władysław Terlecki stworzył najobszerniejsze dzieło obejmujące mniej znane poprzednio aspekty powstania

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
PRZECIĄGANIE WOJNY NIE LEŻY W NICZYIM INTERESIE
Rozmowa z węgierskim generałem brygady Imrem Porkolábem

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
WSZYSCY WROGOWIE ZEŁENSKIEGO

64 PIOTR WŁOCZYK
TRUP W GARAŻU PREZYDENTA

66 TOMASZ ROWIŃSKI
OSTATNIE OSTRZEŻENIE KARDYNAŁA PELLA

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
IGRANIE Z INFLACYJNYM OGNIEM
Stale podnosząc stawkę płacy minimalnej w warunkach galopującej inflacji, rząd prowadzi bardzo ryzykowną grę

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
FORSZLAK, ŻÓŁWIE I USYPIACZE
Barwna rzeczywistość dawnej gastronomii w Warszawie

FELIETONY:

SEMKA (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e8066a002f

TYGODNIK I LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Nicolas Maeterlinck/Zuma Press/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Państwa listy i e-maile. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na: listy@dorzeczy.pl.

„W oczekiwaniu na Mesjasza – kapłana", Paweł Lisicki, „DRz" nr 51/2022

W świątecznym numerze „Do Rzeczy" ukazał się fragment nowej książki redaktora Pawła Lisickiego „Wygnanie Melchizedeka". Szczęśliwie znalazłem tę książkę pod moją choinką i teraz każdą wolną chwilę poświęcam na jej lekturę. Choć jeszcze nie dotarłem do końca, to z każdym kolejnym rozdziałem przekonuję się, że moje intuicyjne poglądy na temat szerzącego się kryzysu w naszym Kościele znajdują pełnię argumentów natury teologicznej w dziele Autora.

Urodziłem się krótko przed nieszczęsnym Soborem Watykańskim II, ale nie tylko z tego powodu mogę się nazywać katolikiem przedsoborowym. Dorastając w czasach komunizmu, początkowo nie widziałem, jak złe skutki sobór ten zrodził dla Kościoła na Zachodzie, choć wprowadzone w Polsce zmiany w liturgii przyjąłem (instynktownie?) z wielkim niezadowoleniem. Dzisiaj, z perspektywy wielu lat, widać te negatywne skutki na całym świecie gołym okiem. Jezus powiedział: „Poznacie ich po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia albo z ostu figi? Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce. Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców". Owoce Vaticanum II są zatrute, do Kościoła wdarł się odór szatana, a papież (albo – jak sam o sobie mówi – biskup Rzymu), kardynałowie i wielu biskupów jakby tego nie dostrzegali. Co więcej, wielu tzw. ludzi Kościoła mówi, że trzeba nam jeszcze „więcej soboru" jako panaceum na kryzys. Gdy to słyszę, skóra mi cierpnie, bo jakbym słyszał komunistów, którzy na błędy socjalizmu domagali się jeszcze więcej socjalizmu.

Kryzys Kościoła to kryzys wiary. Wiarę straciły miliony katolików, nie wyłączając księży, biskupów i kardynałów. Współczesny Kościół Franciszka kieruje się socjologią, a nie teologią. Staje się organizacją prozdrowotną (vide: tzw. pandemia), ekologiczną, charytatywną itd. Wszystkim, tylko nie miejscem oddawania czci Bogu prawdziwemu i składania Mu ofiary przebłagalnej za nasze grzechy.

Dlatego w pełni podzielam ból Pawła Lisickiego nad stanem naszej wspólnej Matki – świętego Kościoła rzymskiego. Wciąż tylko ufam, że jednak Pan nie porzuci swego ludu i Kościół odrodzi się znowu, jak to już nieraz w dziejach bywało.

Wojciech Zajączkowski, Łódź

„Przyszedł mnie nawracać", Barbara Gruszka-Zych, „DRz" nr 51/2022

Od redakcji: W „Do Rzeczy" nr 51/2022 opublikowaliśmy tekst pt. „Przyszedł mnie nawracać" poświęcony ks. Janowi Twardowskiemu będący fragmentem książki Barbary Gruszki-Zych „Moi ważni. Portrety prywatne". W „Do Rzeczy" nr 2/2023 opublikowaliśmy list do redakcji, w którym Czytelniczka poruszyła m.in. temat domniemanej współpracy ks. Twardowskiego z SB oraz przypominała zarzuty, że ks. Twardowski zamykał kościół „zaraz po mszach, uniemożliwiając schronienie uczestnikom solidarnościowych manifestacji, uciekającym przed pałkami ZOMO".

Poniżej list Czytelnika w tej sprawie:

W czasie brutalnie, wręcz morderczo, rozbijanej przez ZOMO manifestacji w Warszawie 3 maja 1982 r. duża grupa manifestantów (ja też) została wpuszczona do kościoła Wizytek i przepuszczona przez ogród na Powiśle. Nie jest więc prawdą, jakoby rektor ks. Twardowski „uniemożliwiał schronienie demonstrantom".

Marcin Masny

Wyjaśnienie

W recenzji filmu „W trójkącie" zamieszczonej w „DRz" nr 2/509 źródła fortuny jednego z bohaterów (handel bronią) przypisałem drugiemu. Za pomyłkę przepraszam, obiecuję się poprawić.

Wiesław Chełmniak

eprasa.pl e8066a002f

NA PIERWSZY OGIEŃ

Hołownia. „Jak może, to ugryzie”

PIOTR SEMKA

Z nieoficjalnych informacji PAP wynika, że podczas posiedzenia zarządu lider Platformy Donald Tusk zrelacjonował ostatnie wydarzenia wokół głosowania nad nowelą ustawy o Sądzie Najwyższym i swoje rozmowy z liderami innych ugrupowań opozycyjnych. Lider PO miał wyjawić partyjnym kolegom, że Szymon Hołownia do ostatniej chwili zapowiadał, że jego ugrupowanie nie wyłamie się ze wspólnego bloku opozycji, który uznał, że trzeba ułatwić PiS przyjęcie ustawy, dzięki której pieniądze z KPO miałyby jak najszybciej trafić do Polski.

Posłowie Hołowni umowę złamali i koniec końców zagłosowali przeciw. Lider Polski 2050 przez parę kolejnych dni pysznił się w mediach, że jego partia „jako jedyna kopnęła w stolik, aby ukrócić gierki PiS z praworządnością”. Wszystko to okraszone aluzjami, że reszta graczy opozycji to mięczaki.

– To pozwala postawić pytanie o wiarygodność Hołowni, także w kontekście rozmów o wspólnych listach – powiedział PAP prominentny polityk PO. – Można powiedzieć, że zawiedliśmy się na Polsce 2050 – dodał inny działacz Platformy. Dlatego partia szykuje się do samodzielnego startu, choć – przebąkują jej przedstawiciele – „nie wyklucza rozmów z innymi ugrupowaniami”.

Innymi słowy: idea jednej listy opozycji jest już martwa. Platforma pójdzie do wyborów sama. Owszem, z PO w ramach jednej listy chciał iść lider lewicy Włodzimierz Czarzasty, ale jego akurat Tusk nie cierpi wyjątkowo.

Zmartwieni publicyści „Gazety Wyborczej” – strażnicy świętej idei wspólnej listy – będą oburzać się na PO, ale w końcu będą musieli uznać polityczne realia. Jednak efektowna, acz wiarołomna wolta Hołowni zostanie dobrze zapamiętana przez wszystkich graczy opozycji. „Okazało się, że jak Hołownia może ugryźć, to ugryzie, i to boleśnie” – tak nieoficjalnie skomentował całą sprawę jeden z polityków Platformy.

To zła wiadomość dla Władysława Kosiniaka-Kamysza, który troski o to, czy Polskie Stronnictwo Ludowe przekroczy wyborczy próg 5 proc., rozwiewał dotąd wizją sojuszu wyborczego z Polską 2050. Hołownia pokazał jednak właśnie twarz partnera egoistycznego i nieprzewidywalnego. A gapowaty WKK to żaden partner dla pewnego siebie byłego gwiazdora TVN.

Jak się okazuje, wszystkie nieładne cechy, które można było zauważyć u Hołowni w epoce, gdy był showmanem programu „Mam talent”, przenoszą się na politykę. Hołownia gra tylko na siebie i bywa brutalny. To w polityce nie takie rzadkie, ale akurat lider Polski 2050 robi to z ostentacją politycznego nuworysza. Na dodatek w ostatnim czasie pokazał się jako lider, który nie potrafi spokojnie odpowiadać na pytania o swoje polityczne błędy. Wszelkie pytania o błędy w sprawozdaniach finansowych dla PKW odrzucał zirytowanym głosem, sugerując, że organ wyborczy jest sługusem oligopolu PO-PiS.

A jak reaguje na pytanie o swoją woltę w Sejmie? W najnowszym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” robi minę aniołka i odpowiada: „Opozycja? Wcale nie jest skłócona!”. ©℗

FOT. SERGEI SUPINSKY/AFP/EAST NEWS

ŚMIGŁOWIEC MSW RUNĄŁ W POBLIŻU PRZEDSZKOLA

Czternaście osób zginęło, a 25 zostało rannych w katastrofie śmigłowca, który rozbił się w środę rano w Browarach na przedmieściach Kijowa. Na miejscu śmierć poniosło m.in. dziewięciu pasażerów maszyny, w tym szef MSW Ukrainy Denys Monastyrski, jego pierwszy zastępca Jewhenij Jenin oraz wiceminister spraw wewnętrznych Jurij Łubkowycz. Wśród ofiar są też maleńka Miłana oraz jej matka Ołena Ponomarenko. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e8066a002f

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Skoro wszyscy o forsie, to my też trochę. Otóż w szeregach PiS – nie tych szeregowych szeregach, lecz dużo wyżej – narasta przekonanie, że „piniędzy nie ma i nie będzie". Po co zatem cyrk w Sejmie? No bo trzeba pokazać, że to nie z naszej winy. W sensie, nie że naszej rubryki, tylko koalicji rządzącej.

Manewry wokół nowelizacji ustawy o SN (która ma dać pieniądze z KPO) obfitują w wiele interesujących wydarzeń. Jak wiecie, cała tzw. konstruktywna opozycja ustaliła, że wstrzyma się od głosu i pozwoli PiS wypełnić kamienie młyńskie…, tfu, milowe. A Hołownia i jego banda zachowali się niekonstruktywnie i zagłosowali jak totalni. Ku zaskoczeniu wszystkich? Nasze wiewiórki twierdzą, że Hołownię o takie głosowanie poprosił sam Zły Donald z Sopotu, znany jako Tusk.

Żeby było jasne, Zły Donald z Sopotu nie zniża się do takich przyziemnych rzeczy jak rozmowa osobista z jakimś tam Hołownią. A o osobistym proszeniu to już w ogóle nie ma mowy. Jak opowiadają wiewiórki, emisariuszem byłego króla Europy był nieco już zapomniany Misio Kamiński, obecnie Peezel.

Misiu Kamiński przeszedł długą drogę od czasów, kiedy błyskał bon motami w stylu „a to pedały były", do dzisiejszego fotela wicemarszałka Senatu. Droga wiodła od ONR, ZChN, AWS, Przymierza Prawicy, PiS, PJN, PO do Europejskich Demokratów. Przypominamy jego bon mot sprzed lat, bo niedawno byliśmy świadkami, jak pewien wpływowy gej zachwycał się nowymi stylizacjami Misia. Jakże dziwnie się odgina historii sprężyna.

Skoro już o stylówkach: zielone wiewiórki z Peezelu opowiadają, że to właśnie Misio Kamiński doradził Władkowi Kosiniakowi Tygrysowi-Kamyszowi, żeby zapuścił brodę i wreszcie zaczął wyglądać poważnie. Operacja, naszym zdaniem, udała się połowicznie. To znaczy brodę zapuścił, ale dalej wygląda niepoważnie.

Wracając do pieniędzy – ustawa o Sądzie Najwyższym doprowadziła do białej gorączki ziobrystów, znaczy SolPol. U jednych przejawiało się to gniewnymi występami medialnymi, a u innych działalnością telekomunikacyjną. Na przykład europosłanka Bełata Kempa na potęgę rozsyłała SMS-y do PiS-owców, że prawica przegra wybory przez ustępstwa w sprawie KPO. Wołanie na puszczy, PiS-owcy są przekonani, że jest odwrotnie.

Skoro już o Parlamencie Europejskim – z powodu niekończącego się chaosu wywołanego korupcyjną Katargate chcielibyśmy podpowiedzieć eurodepom rozwiązanie: ucieczkę do przodu. Trzeba zlikwidować stare grupy polityczne i założyć nowe. W miejsce socjalistów, liberałów, chadeków itp. proponujemy trzy: „Skorumpowani", „Nieskorumpowani" oraz „Niezdecydowani". Po chwili namysłu, ze względu na Radka Sikorskiego, proponujemy też czwartą grupę: „Trudno Powiedzieć".

Niestety, wygląda na to, że likwidowane będą nie grupy polityczne, lecz tzw. grupy przyjaźni. Wśród nich Friends of Ukraine, Friends of Tibet albo grupa 30 posłów wspierających Białoruś Cichanouskiej, a nie Łukaszenki. Tymczasem delegacja Unia-Rosja pozostaje w PE wyjątkowo aktywna i nikt nic jej nie robi. Co sprawia, że zaczynamy mieć poważne podejrzenia: Czy aby Katargate nie jest pisana cyrylicą?

Z innych pomysłów – pojawiła się koncepcja, żeby odwołać wszystkie zaplanowane na rok 2023 wizyty delegacji europarlamentu w Katarze i Maroku. A miało ich być, bagatela, 10. Następnie sankcję osłabiono i zaproponowano, by tylko je zawiesić. Z tej okazji żarcik: zawieszone, odwołane, bez różnicy. Wiecie, jak to jest z pieniędzmi. Jeśli nie pojedziesz po nie, to przyjadą do ciebie.

Z mediów. Z zaciekawieniem przeczytaliśmy, że niejaka Dorota Bawołek miała przestać być korespondentką Polsatu w Brukseli. Sama Bawołek to zdementowała. Ale na antenie nie bryluje. Popytaliśmy tu i ówdzie. Było tak: w minione mikołajki Polsat świętował swój jubileusz. Ponieważ właściciel Polsatu jest poważnie chory i przechodzi leczenie, które osłabiło mu odporność, zarządzono, że wszyscy goście mają się przetestować na COVID-19. Przetestowała się i Bawołek. Test wyszedł pozytywnie. Na bramce testów nikt jednak nie sprawdzał i udało się jej przedostać na salę. Gdzie cyknęła sobie parę selfiaczków, w tym z Solorzem. Potem zaś pochwaliła się, jaka to ona sprytna, że z COVID przedarła się na imprezę. No i Solorz się wściekł. Powiemy, że nas to nie dziwi.

Najciekawsze w powyższej historii jest to, że Bawołek w Brukseli dorobiła się ksywy Covidianka. Było to związane z tym, że w czasie pandemii wpadła w głęboką obsesję, że się zarazi. Unikała nie tylko nieszczepionych, lecz także tych, którzy nie mieli aktualnego testu. Cóż, żądza sławy wygrała. Kończąc opowieść, jako że wierzymy jedynie w informacje zdementowane, musimy zdementować, co następuje: jakoby Bawołek miała w przypływie szczerości w mediach społecznościowych przyznać, że opuszcza Polsat, ale informacja została wykasowana, podobnie zresztą jak sweet focie z imprezy Polsatu. I że już w grudniu u zaprzyjaźnionego posła zabiegała o robotę w Brukseli.

Z Davos. Wielu było zdziwionych faktem, że teutoński kanclerz Olaf Scholz przemawiał pół godziny i nic konkretnego ani sensownego nie powiedział. My nie jesteśmy zdziwieni. Jesteśmy z Polski, mamy tu Platformę Łobywatelską, działającą wedle najlepszych niemieckich wzorców. Nawet lepszą od Niemców, bo potrafią tak mówić i przez półtorej godziny. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wesoła cichodajka

W tym sezonie modna pani to taka, która się puszcza. Zarówno zawodowo, jak i dla sportu. Monogamia, wierność i etyka seksualna są „pisowskie"; nowoczesna Polka musi się „rozwijać seksualnie", a taką możliwość dają jej portale internetowe dla zdradzających. „Będę się puszczać do późnej starości" – wyznaje bohaterka tekstu „Newsweeka", zachwycona tym, jak dogadzają jej poznani w sieci partnerzy.

W bratniej „Wyborczej" czytamy w tym samym czasie wywiad z prostytutką, z którego wynika, że najstarszy zawód świata to sama przyjemność, wielka kasa i zero zagrożeń, klienci są mili, dają kwiaty i wszyscy szanują. Portal Gazeta.pl uzupełnia paletę możliwości utrzymaną w tonie entuzjastycznym rozmową z pierwszą Polką, która osiągnęła sukces w biznesie porno (?), otrzymując nominację do jakiegoś niby „porno-Oscara" (ciekawe, czy dzieło, które robi za wielką sztukę w warszawskim Teatrze Dramatycznym, nie jest powiększoną wersją statuetki). Z tej rozmowy okazuje się, że porno to bodaj jeszcze fajniejsza zabawa niż bycie cichodajką albo tuftą, że tak to ujmę, analogową.

„Z prostytutką", jak śpiewał kiedyś Jan Krzysztof Kelus, „z początku wesoło, a po wszystkim smutno". Ale o żadnym „po" czytelniczki przywołanych wyżej i wielu innych publikacji w lewicowo-liberalnych mediach się nie dowiedzą. O żadnych problemach, zagrożeniach, patologiach. „Z serca rzuć pychę, z lędźwi zasię kiecki!" – jak zachęcał inny poeta, nieco wcześniejszy – i niczego się nie bój. Osoby, które widziały w prostytucji czy promiskuityzmie coś złego, jak choćby zakazana kiedyś przez UJ wiktymolog Magdalena Grzyb, dawno zostały z „dobrego towarzystwa" usunięte.

Rzecz ma oczywiście podłoże ideologiczne i głębsze korzenie, ale przyznaję, że trochę wspomniane media rozumiem. To, co robią ich pracownicy na co dzień, istotnie niewiele się różni poza technikaliami od aktywności wspomnianych tu pań; trudno się więc spodziewać, że zobaczą w „dawaniu ciała" coś złego. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Czy Tusk jest faszystą?

Do postawienia tego pytania zainspirowała mnie nieoceniona „Gazeta Wyborcza". Michał Nogaś w jej newsletterze zastanawia się, czy kwestionowanie wyników wyborów „to już stała taktyka populistów, zwolenników faszyzujących przywódców". Maciej Stasiński pisze zaś, że w Brazylii zwolennikami Bolsonaro „sterowało powszechnie znane internetowe »komando«" na Facebooku, TikToku i Telegramie.

Bolsonarowe e-komando jako żywo przypomina słynne komando „50 płatnych hejterów", zatrudnionych dla ratowania rządowego spadku po Tusku przez premier Kopacz. Sam Tusk w książce „Wybór" przygotowuje swych zwolenników do zakwestionowania wyniku nadchodzących wyborów. Zapowiada, że „mogą być fałszowane [albo] ich w ogóle nie będzie", bo „nie ma wątpliwości", że przywódcy większości „są dziś mentalnie gotowi zrobić wszystko, by utrzymać władzę".

Jak Mussolini w czasach Republiki Społecznej wraca na starość do swych radykalnych, antyprawicowych korzeni. Młody Tusk wyśmiewał się, że można przyjmować takie rzeczy jak encyklika „Lelum Polelum" („Rerum Novarum"). Potem jego polityka zatoczyła koło. Niczym Mussolini w czasach paktów laterańskich „ocieplał relacje" z Kościołem, patronował pielgrzymce („pierwszej partyjnej na świecie") do Jana Pawła II i (również partyjnym) rekolekcjom w Łagiewnikach. Dziś przeżywa drugą młodość i („jako mąż, ojciec i dziadek") patronuje antykonstytucyjnej rebelii aborcyjnej.

Zaskakiwać to wszystko może tylko niezorientowanych. Seymour Lipset już dawno ustalił, że wbrew publicystycznym sporom, czy faszyzm był z lewicy czy z prawicy, w istocie był ekstremistycznym kierunkiem centrum, dążącym do mobilizacji najszerszych mas, unieważniającym wcześniejsze spory ideowe, „wymyślającym naród na nowo". I oczywiście nie miał jednego wzoru, bo – jak stwierdził Ernst Nolte – był „charakterem epoki". Warto się więc przyglądać zbawcom idącym po władzę. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Z życia włoskich związkowców

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

We Włoszech 25 i 26 stycznia co najmniej 75 proc. stacji benzynowych będzie zamkniętych. Strajk proklamowały trzy związki operatorów stacji, bo się obraziły na rząd. Ich zdaniem rząd uraził godność pracowników.

W marcu ubiegłego roku wobec rosnących cen paliwa rząd Maria Draghiego obniżył akcyzę. Ceny spadły średnio o 20 centów za litr. Kosztowało to skarb państwa ponad miliard euro miesięcznie. Rząd Giorgii Meloni 1 stycznia zniósł obniżkę, oferując dopłaty do paliwa tylko biedniejszym.

Wiele wskazuje na to, że branża paliwowa, szczególnie na autostradach, wykorzystała tę decyzję jako pretekst, by niebotycznie wywindować ceny, np. oleju napędowego z 1,8 euro za litr do ponad 2,5 euro.

Rząd nakazał policji skarbowej przeprowadzenie masowych kontroli, a przy okazji wydał dekret zobowiązujący stacje benzynowe, by obok swoich cen paliw na tablicach informowały, ile wynosi średnia w regionie. Operatorzy tłumaczą, że to nie oni odpowiadają za horrendalne ceny. Twierdzą, że padli ofiarą haniebnej, dyfamacyjnej kampanii propagandowej rządu, który w oczach klientów chce uczynić z nich złodziei, próbując w ten sposób ukryć własne błędy. Będą więc strajkować w obronie własnej czci.

Natomiast w Bolonii największa włoska centrala związkowa (ponad 5 mln członków), mocno bolszewizująca CGIL, wybrała nowego szefa najbardziej „czerwonego” regionu Emilii-Romanii. Zaraz po wyborze strzeliły korki od szampanów, prószyło confetti, sala trzęsła się od braw, a związkowcy padli sobie w ramiona i całowali się jak Breżniew z Honeckerem. Co więcej, z głośników gruchnął z ogłuszającą mocą hymn Związku Sowieckiego w wykonaniu Chóru Aleksandrowa. Nikt nie protestował.

Filmik ze wzruszającej imprezy pojawił się w sieci (też na stronie CGIL) i wybuchł skandal. Związkowcy tłumaczą, że pomyliły im się dyski. Miała być „Międzynarodówka”. Pozostaje pytanie, na grzyba był im dysk z sowieckim hymnem. „Myślcie sobie, jak tam chcecie. Krasnoludki (i komuszki) są na świecie”. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e8066a002f

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

DLA OBSERWATORÓW – WSZYSTKO

Ten tydzień zaczynamy od mocnego uderzenia. Jak wiemy, pamięć ludzka bywa zawodna, a w przypadku „dokonań" celebrytów szczególnie. Bo któż dziś pamięta, że Aniela Bogusz karierę influencerki w polskim Internecie zaczynała od skrajnie przerysowanej i wulgarnej

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

SexMasterki? Bogusz, wcielając się w rolę „nauczycielki seksu" polskich nastolatków, zasłynęła prezentacjami zabawek erotycznych czy stworzeniem piosenek pod wiele mówiącymi tytułami „Poka sowe" oraz „Głębokie gardło". No ale przecież nieważne. Gwiazdka przeszła wielką przemianę. Zajęła się sportem, a później contentem lifestyle'owym. W międzyczasie przybrała nowy pseudonim – Lil Masti. Niedawno pani Aniela podzieliła się radosną nowiną, jest w ciąży. Influencerka nie byłaby jednak sobą, gdyby wszystkiego nie relacjonowała na Instagramie. Tak więc mamy nagranie z chwili, gdy kobieta dowiedziała się, że jest w ciąży. Następnie wideo z badania USG. Kolejny jest filmik, w którym Lil Masti mówi o swojej ciąży bliskim. Należy się spodziewać, że celebrytka będzie skrupulatnie dokumentowała każdy moment ciąży. Pod postami Anieli pojawiło się wiele krytycznych komentarzy, zwracających uwagę na nadmierny „życiowy ekshibicjonizm". W celny sposób strategię Lil Masti podsumowała Karolina Korwin-Piotrowska. – „Sharenting", w tym wypadku od poczęcia, to hańba naszych czasów. Mam nadzieję, że te biedne, bezczelnie sprzedawane przez celebryckich rodziców dzieci, kiedy dorosną, pozwą ich do sądu za naruszanie prywatności i zabranie dzieciństwa. Dla pieniędzy. Dla wzbudzenia zainteresowania – stwierdziła dziennikarka. Co prawda, nikt z nas nie siedzi w głowie Lil Masti, ale trudno udawać, że zasięgi i pieniądze nie mają w tym przypadku znaczenia.

NIESOLIDARNY JAK KOLEGA Z TV

Trwa saga wokół polsatowskiego show „Twoja twarz brzmi znajomo". Po tym, jak nowy dyrektor programowy stacji Edward Miszczak pożegnał się z jurorką Katarzyną Skrzynecką, wśród produkcji zawrzało. Plotki głosiły, że Miszczak nie tyle wprowadza swoje porządki, ile rozlicza się ze wszystkimi, którzy nabrużdzili mu w przeszłości. Ale do rzeczy. Po zwolnieniu „Skrzynki" dość zaskakującym w branży gestem solidarności i przyjaźni wykazał się Piotr Gąsowski, który dobrowolnie odszedł z „TTBZ". „Chciałem wam wszystkim z całego serca podziękować za tysiące pięknych listów, postów, ciepłych słów wsparcia, tony dobrej energii, wirtualnych przytuleń, które od was w ciągu tego tygodnia dostałem! I nadal dostaję!" – nie kryje wzruszenia gwiazdor. Nie zabrakło też gorzkiej refleksji. „Nie dostałem natomiast żadnego znaku życia od paru osób, od których spodziewałbym się jakiejś reakcji, ale naprawdę nie mam do nikogo pretensji! Odwaga jest produktem deficytowym i nikt nie ma obowiązku jej posiadać" – dodał Gąsowski. No cóż – odwaga odwagą, ale inflacja dotyka każdego.

IDEAŁ, KTÓREGO NIE MA

Wróć. Chyba jednak nie każdego. Na przykład takiej pani Fagaty, czyli influencerki Agaty Fąk, drożyzna prawdopodobnie nie dotyczy. Wnioskuję z faktu, że gwiazdka pochwaliła się nietanim przecież „zabiegiem upiększającym", na który naraziła swoje ciało. Chodzi o BBL, czyli brazylijski lifting pośladków. Dla niewtajemniczonych – ich powiększenie. – Robię BBL, ale nie tylko, bo odsysam sobie też tłuszcz. [...] To jest przeszczep tłuszczu z różnych części ciała do pośladków. Ja odsysam sobie z brzucha, z pleców, z wewnętrznej strony ud i z podbródka. Dzięki tej operacji pozbędę się dwóch największych kompleksów. [...] Pierwszą taką rzeczą, której się pozbędę, jest podbródek. Ja mam z nim problem, od kiedy się dowiedziałam, że jest takie coś jak podwójny podbródek – opowiedziała Fagata na swoim kanale w serwisie YouTube. Czyli Agata jako młoda i ładna dziewczyna nabawiła się kompleksów, ponieważ naoglądała się poprzerabianych ciał w Internecie, tworząc w swojej głowie nierealny obraz ideału kobiecej sylwetki, a teraz sama będzie takie nienaturalne ciało pokazywać swoim nastoletnim fankom, wpędzając je w podobne problemy. Bardzo smutne.

KSIĄŻĘ NIE TAKI „CHARMING"

Wbrew tytułowi randkowy show dla gejów „Prince Charming" nie zaczarował widzów. Drugiej edycji programu nie będzie z powodu zbyt niskiej, dużo poniżej oczekiwań, oglądalności – ogłosiła stacja TTV, wchodząca w skład Grupy TVN. Jak podał serwis Wirtualne Media, odcinki oglądało średnio 188 tys. osób, stanowiących 2,26 proc. udziału stacji w rynku wśród wszystkich widzów. Twórcy show podkreślali, że jego misją jest edukacja w zakresie tolerancji, praw i codzienności osób LGBT. Okazało się jednak, że Polaków średnio interesuje temat homoseksualnych randek. Co, nie ukrywam, napawa mnie optymizmem. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, obchodziliście Dzień Babci i Dzień Dziadka? Jeśli tak, to mamy dla Was kiepską wiadomość – jesteście głęboko zakorzenieni w patriarchacie i normach, nie potraficie wyjść poza stereotypowe role płciowe, smutne.

Pewnie wasze wspomnienia z dzieciństwa są takie, iż osobobabcia całymi dniami gotowała posiłki, piekła ciasta i wysługiwała się osobodziadkowi, który siedział w fotelu i głaszcząc koty, palił fajkę, ewentualnie grał z wami w szachy i utwierdzał w was patriarchalną wizję świata. Tak było, co nie?

A potraficie sobie wyobrazić sytuację, w której to osobodziadek piecze szarlotkę, myje okna, kładzie was do snu, a w nocy zamiata izbę i krochmali pościel na zmianę? A osobobabcia w tym czasie piłaby piwo z sąsiadką na werandzie i dyskutowałaby o polityce, sprawach społecznych i ekonomii?

No rozumiemy, że nie, takie mamy społeczeństwo, tak was ukształtowało. Ale w przyszłym roku możecie to nadrobić i zakomunikować swoim osobom płodzącym osoby płodzące, iż dla was tak naprawdę oni nie posiadają płci i że od teraz będziecie się zwracać do nich neutralnie, ewentualnie możecie po prostu zapytać o zaimki. W 99 proc. będą to zaimki przystosowane do płci biologicznej, bo to jednak starsi ludzie i pewnie z małych ośrodków, a więc wtedy wracacie do planu nr 1.

Zwłaszcza iż istnieje piękne określenie „dziabko", stworzone przez jeden z 23 553 lewicowych kolektywów, które oznacza rodzica rodzica będącego osobą niebinarną. Oczywiście możecie też popuścić własne wodze fantazji, zwłaszcza iż ten „dziabko" się jednak kojarzy z dziadkiem, a więc kolektyw, który go wymyślił, nie uciekł tak naprawdę od patriarchatu.

No bo dlaczego nie „babcio"? Albo „osoba babcierzyńska"? Czy nawet „babcix/dziadx"? Język polski jest piękny i podatny na zmiany, pewnie bardziej niż osobodziadkowie.

Znów wstyd z tymi Polakami, iż tylko co czwarty z nich ma jakieś zimowe plany wyjazdowe. A co gorsza, większość ma zamiar pozostać w tym kraju, zamiast rozkoszować się zagraniczną wycieczką.

W sytuacji, kiedy mamy otwarte granice i nieograniczone możliwości, Polacy nie chcą pojechać poszusować w Davos, nie chcą chłonąć alpejskiego powietrza, wolą za to zostać w tym kraju, robić tłok na Zakopiance i kupować podróbki wyrobów regionalnych w plastikowych tenkrajowych kurortach. No nie polecamy, 1/10.

Ktoś mógłby powiedzieć, iż to chodzi o pieniądze, naszym zdaniem chodzi jednak o ten sam polski mental, który sprawia, iż Polacy budują mniejsze domy i jeżdżą starszymi samochodami niż ludzie w zachodniej Europie.

Czas najwyższy zmienić ten mindset, iżbyśmy się nie musieli wstydzić przed frendami z zachodnich oddziałów naszego korpo, którzy pytają nas: „A wy gdzie w tym roku jedziecie na narty?". A my, że w sumie to nie jedziemy, bo mamy targety, a nie mamy czasu itd. Ale nam smutno, iż też przesiąkliśmy tym samym mindsetem :/ ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

„Ja", czyli „jak"

Szymon, ale te pieniądze z KPO to będą? Na pewno?
Jak uchwalimy, to będą. Piąty raz mnie dzisiaj o to pytasz, Waldek.

No bo mnie z kolei pyta ciągle Naczelnik. Przecież sam za to świecę oczami.
No więc będą. Przedwczoraj rozmawiałem z Ursulą i ją wprost zapytałem, bez tłumacza nawet, wiesz, że ja dobrze znam niemiecki, czy będą pieniądze. Powiedziała: „Ja".

Ale co ona?
Nie ona, tylko „ja".

Ty?
Ech. Nie, po prostu „ja", to znaczy „tak" po niemiecku, podstawy przecież.

Aha. Ale ty konkretnie określiłeś, kiedy mają być?
No... nie.

A ona nie powiedziała? I nie określiłeś, o jakie pieniądze konkretnie chodzi? Tak w ogóle powiedziałeś: „Czy będą pieniądze?".
W sumie to tak. Myślisz, że durnia ze mnie zrobiła? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Oni chyba tak nienawidzą euro, bo nie mogliby bez ograniczeń drukować pieniędzy, by przekupywać swój elektorat".

TOMASZ LIS, *publicysta, o rządzie Zjednoczonej Prawicy, na Twitterze*

eprasa.pl e8066a002f

egrasa.pl,e8066a002f

FOT. MICHAEL PROBST/AP/EAST NEWS

NISZCZYCIELSKI ORKAN FREDERIC PRZESZEDŁ PRZEZ NIEMCY

Huraganowe wiatry, osiągające prędkość od 95 do 130 km/h, wyrywały drzewa z korzeniami i zrywały linie wysokiego napięcia. Z kolei ulewne deszcze w niektórych regionach kraju były tak intensywne, że doprowadziły do wystąpienia nagłych powodzi. To katastrofalne efekty orkanu Frederic, który w ubiegłym tygodniu nawiedził Niemcy. Na zdjęciu: pociąg regionalny pokonujący trasę przez zalane pola uprawne w okolicy Nidderau-Eichen niedaleko Frankfurtu nad Menem. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e8066a082f

Wieszcz postludzkości

Wojciech Golonka

Dlaczego globaliści tak ochoczo polecają pisma Yuvala Noaha Harariego i traktują go jak ich nadwornego ideologa?

Jest rzeczą paradoksalną, że największego uszczerbku na wiarygodności Światowego Forum Ekonomicznego dokonały w ostatnich latach same hasła forum, a zwłaszcza wypowiedzi jego założyciela, Klausa Schwaba. Krytykom wystarczało w zasadzie nagłaśniać trącące megalomanią wizje oderwanych od rzeczywistości globalistów, by zasiać nieufność, a nawet wzbudzić odrazę wobec tej prestiżowej instytucji i jej corocznych obrad w Davos, które dotychczas dla wielu pozostawały jakimś mglistym, ale ważnym spotkaniem możnych tego świata, pożądanym dla utrzymania ładu na świecie i wspólnego pochylenia się nad najważniejszymi problemami planety.

Na zeszłorocznej edycji forum wręcz oficjalnie ogłoszono potrzebę odbudowy zaufania wobec globalnych elit, czyli „ludzi z Davos", a ta odczuwalna do dziś strategia zakłada m.in. wyciszanie punktów zapalnych. W ten sposób pod koniec zeszłego roku Davos dość oschle odcięło się od swej niedawnej ikony Yuvala Noaha Harariego, sygnalizując, że nie chce być z tym panem zbyt kojarzone. I vice versa. Otóż w połowie grudnia pojawił się w sieci filmik łączący bądź to prawdziwe, bądź to apokryficzne wynurzenia Klausa Schwaba, które spleciono z kilkoma wypowiedziami izraelskiego historyka. Z przekazu wynikało, że „Bóg jest martwy", „Jezus to fake news", a „Światowe Forum Ekonomiczne ma boskie moce sprawcze". Rzecz była, przyznam, nieco zagmatwana, ale fact-checkerzy wiodącej agencji informacyjnej Reuters dojrzeli w tym okazję do rozprawienia się z wrogą Forum narracją, najwyraźniej zyskującą popularność. Proszony o komentarz jego rzecznik Yann Zopf, odrzucając en bloc przypisane obu postaciom treści, stwierdził zatem, że Harari nie jest żadną prawą ręką Klausa Schwaba i nie pracuje dla Forum; z kolei biuro tego drugiego skomentowało, że Harari nigdy nie spotkał się ze Schwabem,

eprasa.pl e8066a002f

Yuval Noah Harari podczas Forum Ekonomicznego w Davos, 23 stycznia 2020 r.
FOT. WORLD ECONOMIC FORUM/CIARAN MCCRICKARD

był natomiast (tak po prostu…) zaproszony do udziału w edycjach forum w latach 2018 i 2020.

WIZJA DEHUMANIZUJĄCA

W rzeczy samej, to obopólne ochłodzenie w relacjach, wyglądające bardziej na dyplomatyczne niż rzeczywiste, zdaje się mieć wytłumaczenie głównie właśnie w liczbie spotykanych materiałów medialnych i prasowych, w których wykorzystano poglądy Harariego na uderzanie w globalne elity, które przecież uczyniły go swym ulubieńcem. Punktów zaczepnych pozwalających przedstawić „Wielki Reset" z Davos w monstrualnej tonacji nie brakowało: człowiek nie więcej wart od świni, człowiek człekokształtną małpą, człowiek pozbawiony wolnej woli, a nawet własnego „ja", człowiek największym szkodnikiem planety i własnego gatunku (nie tylko współcześnie, bo w zasadzie od zawsze); człowiek (ten uboższy) do zamknięcia w wirtualnej rzeczywistości i uszczęśliwienia odurzeniem narkotykowym, człowiek (ten zamożniejszy) do przekształcenia w wiekuistego cyborga, a w końcu i przede wszystkim: pożądane wyginięcie tegoż człowieka jako gatunku – oto z grubsza wizja dziejów i przewidywań popularnego, również w Polsce, izraelskiego historyka Yuvala Noaha Harariego. Wizja dehumanizująca, która bynajmniej nie rzutuje na samą popularność pisarza: jego książki, traktowane w międzynarodowych korporacjach jak Biblia, sprzedały się w przeszło 50 mln egzemplarzy. Dla polityków łaknących nobilitacji w środowiskach „postępowych" Harari pozostaje zaś ajatollahem, o którego audiencję i błogosławieństwo warto zabiegać – w ostatnim czasie o jego względy rywalizowali przecież w Polsce politycy przeciwnych sobie obozów politycznych, premier Mateusz Morawiecki i prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Harari pozostaje ikoną ponowoczesnego świata traktującego tradycyjne wartości jako balast

Tak, niezależnie od wzlotów i upadków tandemu Schwab-Harari ten ostatni pozostaje ikoną ponowoczesnego świata traktującego tradycyjne wartości jako nieznośny balast oraz prorokiem namaszczonym przez globalistyczne elity dla budowania narracji transhumanistycznej rewolucji. Zaiste, lepiej poświęcić należytą uwagę wizjom przyszłości, które żydowski myśliciel o tak znaczących wpływach i niepospolitych koneksjach przedstawia, niezależnie, czy chodzi o zapowiedź nieuchronnego czy tylko o ostrzeżenie, jak sam podkreśla, odpowiadając na krytykę.

Przyznam tu, że pochylenie się nad myślą Harariego było dla mnie olśnieniem. Otóż zasłyszane tu i tam hasła, np. o współczesnych możliwościach wprowadzenia globalnego komunizmu przez możnych tego świata, którzy w końcu mają należyte narzędzia centralnego planowania dzięki sztucznej inteligencji, traktowałem jako dopuszczalne, ale mniej lub bardziej dyskusyjne interpretacje z pogranicza „spiskowych teorii dziejów". Tymczasem ten, jak i wiele innych pomysłów, jest w rzeczywistości li tylko parafrazą słów izraelskiego pisarza. Inna sprawa, czy autor celebryta traktuje swe dywagacje na serio tudzież czysto lukratywnie, robiąc sobie przy okazji ubaw ze swych wielbicieli, jak ponoć czynił to Picasso, rysując dziwaczne badziewie dla pozbawionych gustu – ale nie pieniędzy – próżniaków. W każdym

eprasa.pl e8066a002f

razie książki Harariego to kuriozalny katalog przedstawionych w retoryce naukowej teorii spiskowych, to po pierwsze, a po drugie Harari ma najwyraźniej do odegrania pewną rolę z punktu widzenia globalnych elit, które tak ochoczo udzielają mu swego poparcia. Ale zanim przedstawię te wątki, warto przybliżyć nieco nietuzinkową postać samego autora.

ŻYD, HOMOSEKSUALISTA, WEGANIN

Urodzony w 1976 r. w okolicy Hajfy Yuval Noah Harari wychowywał się w „świeckiej" żydowskiej rodzinie, przejawiając od młodości błyskotliwy umysł. Studiował w Jerozolimie i w Oksfordzie, gdzie w 2002 r. uzyskał stopień doktorski, specjalizując się w historii wojskowości, którą wykładał następnie na rodzimym Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Jego światowa fama przyszła wraz z publikacją w formie książki jego wykładów z powszechnej historii dziejów „Sapiens: od zwierząt do bogów" (wydanie angielskie 2014), którą uzupełnił dwa lata później o spojrzenie w przyszłość: „Homo deus: krótka historia jutra" (wydanie angielskie 2016). Jego trylogię zamyka zbiór doraźnych artykułów zebranych pod tytułem „21 lekcji na XXI wiek" (wydanie angielskie 2018).

Z wątków osobistych wpływających na światopogląd autora warto wskazać dwa elementy. Po pierwsze, począwszy od 2000 r. praktykuje on indyjską technikę „medytacji vipassana", związaną ze współczesnym zachodnim nurtem buddyzmu; co idzie w parze, Harari jest ideowym weganinem. Jest on także, od 21. roku życia, zadeklarowanym homoseksualistą, który w 2002 r. wziął w Toronto „ślub" cywilny ze swym partnerem Itcikiem Yahavem, którego nazywa swym „mężem" i który też od lat odgrywa rolę jego osobistego menedżera (w Izraelu zawrzeć można tylko śluby natury religijnej, choć państwo uznaje zawarte za granicą śluby homoseksualne, a od zeszłego roku także te zawarte tylko przez Internet w obcym państwie). Jego homoseksualizm jest w jego dziełach częstą okazją do zażartej krytyki chrześcijaństwa, judaizmu i islamu, a także punktem wyjścia do głoszenia czysto hedonistycznego modelu etycznego, w którym właściwe jest wszystko to, co sprawia człowiekowi przyjemność.

Harari w 2002 r. wziął w Toronto „ślub" z Itcikiem Yahavem, którego nazywa swym „mężem"

W recepcji pism Harariego zachodzi bardzo wyraźna różnica między masowym czytelnikiem a krytycznie nastawionym doń światem nauki. Jest w tym pewien paradoks, ponieważ izraelski historyk potrafi naukę wręcz w swych pismach dogmatyzować, a przynajmniej ubóstwiać (on, wojujący ateista…), jednakże naukowcy albo nie interesują się jego pracami, nie traktując ich jako dzieł naukowych, albo wręcz krytykują pisarza za jego błędy w dziedzinie antropologii, kognitywistyki, filozofii czy politologii. Stąd też pojawiają się opracowania krytyczne prezentujące, interpretujące i polemizujące z jego myślą, niemające, ma się rozumieć, takiego samego rozgłosu co same prace autora, ale do których odniósł się on pośrednio, odpowiadając na niektóre z zarzutów formułowanych względem jego tez.

W ramach podobnych analiz na gruncie polskim warto wymienić jeden z numerów miesięcznika „Znak" (nr 774, 11/2019) pod wymownym tytułem „Harari. Czy możemy mu zaufać?", a zwłaszcza obszerną monografię prof. Adama Wielomskiego „Yuval Noah Harari. Grabarz człowieczeństwa" (Warszawa 2022, 434 s.). Zaletą pracy polskiego politologa jest dodatkowo streszczenie trylogii izraelskiego historyka, owszem, niepozbawione własnych interpretacji i polemiki – tego akurat się oczekuje od samodzielnego pracownika naukowego – oraz zestawienie i wykorzystanie kilkudziesięciu publikacji krytycznych wobec jego myśli, głównie artykułów naukowych.

Z pomocą jego krytyków przedstawmy zatem zawartą na kartach trylogii Harariego jego wizję dziejów i przyszłości rodzaju ludzkiego, a raczej – postludzkiego. W książce „Sapiens…" autor obszernie rozwodzi się nad procesem formowania gatunku ludzkiego wedle teorii ewolucji oraz kolejnych „rewolucji", które kształtowały naszą cywilizację. Choć izraelskiego historyka zaliczyć można w poczet wyznawców nieuchronnego postępu pokroju Condorceta czy Comte'a, to paradoksalnie szkicowany przezeń obraz sapiensa jest regresem względem szkicowanych przezeń praludzi tudzież hominidów. Pozbawione możliwości językowej komunikacji między sobą hordy dzikusów nie były w stanie formować stad większych niż maksymalnie 100–150 osobników – te mobilne skupiska były zdolne trwać, ale niezdolne jako takie do stworzenia cywilizacji. Jak wskazuje prof. Wielomski: „W przekonaniu Harariego był to okres szczęścia i prawdziwego człowieczeństwa, pełnego wolności, niezależności i braku konieczności codziennej pracy (mit »dobrego dzikusa«)". Co poszło zatem nie tak? Sapiens, według autora, z jednej strony dokonał rewolucji lingwistycznej (wynik przypadkowej mutacji genetycznej – pamiętajmy, że Harari nie uznaje dzieła Stworzenia), która umożliwiła mu utworzenie znacznie szerszych zrzeszeń ludzkich o wspólnej identyfikacji, docelowo były to twory państwowe i wspólnoty religijne; z kolei rewolucja agrarna zasadniczo przekształciła jego tryb funkcjonowania. Uprawianie roli stało się konieczne w związku z faktem poszerzających się skupisk ludzkich, które nie mogły funkcjonować w dotychczasowym modelu zbieraczy-myśliwych. Rewolucji agrarnej towarzyszyło powstanie religii wykraczających poza prymitywne ryty animistyczne (z powodu zależności dobrych plonów od pogody, a zatem od bóstw), a także rewolucja demograficzna.

„BOLĄCZKI" LUDZKOŚCI

Od tej pory, wraz z nastaniem cywilizacji, zaczynają się bolączki ludzkości – państwa, ze swymi odrębnościami i wierzeniami, zachowują się szowinistycznie, prześladują mniejszości i prowadzą ze sobą wojny, z kolei rozrost populacji powoduje głód i ubóstwo. Trzeba sobie dobrze zapamiętać ten skrajnie negatywny w oczach Harariego punkt wyjścia, ponieważ snute przezeń wizje postępu będą właśnie wiązały się z żegnaniem powstałych na skutek niefortunnego rozwoju wypadków katastrof cywilizacyjnych sapiensa. Tak: to, co antropologia uznaje powszechnie za rozwój cywilizacji, dla Harariego jest regresem. Zachodzi tu przy tym pewien paradoks, w zasadzie cicha sprzeczność. Autor jest radykalnym ewolucjonistą, który nie tylko przeczy dziełu Stworzenia, lecz także neguje (co

eprasa.pl e8066a002f

jest w sumie zrozumiałą konsekwencją) znaną nam hierarchię człowiek – bezrozumne zwierzę. „Czy ludzie mają w sobie jakąś iskrę – oprócz wyższej inteligencji i większych możliwości – która odróżnia ich od świń, kur, szympansów, a także od programów komputerowych?" – zapyta on w „Homo deus…", dorzucając, że bezprawnie „stawiamy ludzkie dzieci wyżej od prosiąt". Iskrą w każdym razie nie jest dlań rozumność człowieka, którą klasycznie wykładano jako z jednej strony pojmowanie natury rzeczy (proces, który od zwykłego instynktu zwierząt dzieli przepaść poznawcza zwana myśleniem abstrakcyjnym), z drugiej – również w przeciwieństwie do zwierząt – jako wolną wolę. Tej Harari także ludziom odmawia: „W ciągu ostatniego stulecia, gdy naukowcy otworzyli czarną skrzynkę z napisem »homo sapiens«, odkryli, że nie ma tam ani duszy, ani wolnej woli, ani »jaźni« – lecz tylko geny, hormony i neurony, które podlegają tym samym prawom fizycznym i chemicznym, które rządzą pozostałą częścią rzeczywistości. […] Wedle naszej najlepszej naukowej wiedzy determinizm i przypadkowość nie zostawiły »wolności« ani okruszka" („Homo deus").

Krytycy, jak przywołany przez prof. Wielomskiego hiszpański antropolog Francisco Rodríguez Valls, zauważają przy okazji tego typu stwierdzeń, że Harari opiera się na rzekomych powszechnych i niepodważalnych konkluzjach naukowych, które w rzeczywistości nie istnieją. Wspomniany przeze mnie paradoks polega z kolei na tym, że będąc radykalnym nihilistą, Harari musi wprowadzić tylnymi drzwiami jakiś system wartości, jak choćby kryterium postępu lub regresu cywilizacji. U Harariego będzie to materialistyczny hedonizm, a zatem jest to subiektywny fundament ideologiczny, a nie podstawa naukowa.

OBIETNICA NIEŚMIERTELNOŚCI

Podobnie jak pozytywiści, wraz z epoką nowożytną i jej emancypacją wobec religii Harari dostrzega światełko w tunelu ciemności, które ogarnęły ludzkość od czasów rewolucji rolnej. Jego aplauz zbierają jednak nie tylko czynniki redukujące odziaływanie religii monoteistycznych w świecie, lecz także niwelujące defekty wspomnianych już tworów cywilizacyjnych. Plusem rewolucji przemysłowej jest konsekwentny nacisk na naukę, plusem kapitalizmu jest dążenie do jednolitych światowych rynków wymuszających globalizację. W rzeczy samej, wraz z likwidacją państw narodowych, globalne imperium ze swą niejednolitą, wymieszaną populacją będzie znacznie bezpieczniejszym miejscem do życia dla rozmaitych mniejszości. Przede wszystkim jednak to, z czego słynie Harari, to transhumanistyczne, a nawet posthumanistyczne wizje, w których obiecuje, choć tylko nielicznym, nieśmiertelność. Postęp medyczno-techniczny umożliwi produkcję organów zastępczych, co najpierw pozwoli wydłużyć życie ludzkie do ok. 500 lat, a następnie umożliwi nawet nieśmiertelność w postaci ludzi-cyborgów z wymienialnymi częściami. Koszt tej technologicznej nieśmiertelności będzie jednak przystępny jedynie dla najbogatszych – ludzie najzamożniejsi utworzą zatem odrębną kastę – „Herrenvolk" – komentuje nie bez ironii prof. Wielomski

REKLAMA

eprasa.pl e8066a002f

– która docelowo zamieni się w inny, wyższy gatunek, na zasadzie przyspieszonej nauką i technologią ewolucji.

A co z resztą? Izraelski historyk, któremu wielce przypadł do gustu „Nowy wspaniały świat" Huxleya wraz z jego somą dobrą na wszystko – tabletką szczęścia dla mas – szkicuje świat, gdzie stary dobry sapiens będzie spędzał swój wolny czas odurzony narkotykowo w e-rzeczywistości, w wirtualnym świecie zabaw i przyjemności, oczekując na wyginięcie jego gatunku. Wolnego czasu będzie miał aż nadto, ludzkość bowiem dotknie masowe bezrobocie z racji robotyzacji pracy, z kolei globalne korporacje, aby uniknąć buntu mas, będą łożyć ze swych zysków na zasiłki socjalne. Powszechny dochód gwarantowany. Brzmi znajomo? „Ewentualnie zamiast oferować obywatelom dochód, państwa mogłyby dotować powszechne świadczenia podstawowe. Zamiast dawać ludziom pieniądze, które mogliby przeznaczyć na cokolwiek, państwo mogłoby zapewniać bezpłatną edukację, opiekę medyczną, darmowy transport i tak dalej. Tak naprawdę jest to utopijna wizja komunizmu" („21 lekcji…"). Komunistyczna rzeczywistość, e-rzeczywistość oraz odurzenie somą zrobią swoje – taka słodziutka wizja kryje się pod motto, którym Harari zwieńcza swój dorobek pisarski: „Historia rozpoczęła się, kiedy ludzie wynaleźli bogów, i skończy się, kiedy ludzie staną się bogami".

Tymczasem na swej stronie internetowej, w zakładce „Pytania i odpowiedzi" (FAQ), popularny autor broni się przed największymi zarzutami – o determinizm technologiczny, o negację wolnej woli, o bycie guru i prorokiem, o wieszczenie pożądanej utopii. Robi to dość subtelnie, jak na błyskotliwego człowieka przystało: odnosi się wrażenie, że chce uspokoić szok i krytykę, które mogą wywołać jego pisma, nie wycofując się przy tym ze swego skrajnie materialistycznego credo. Ale wizja przyszłego świata Harariego nie jest bynajmniej obrazoburcza dla wszystkich – w komentarzu dla „Do Rzeczy" prof. Wielomski zauważa, że miłośnicy Harariego mogą skupiać się przede wszystkim na negatywnym aspekcie jego dyskursu, na odrzuceniu fundamentów naszej cywilizacji, w czym umacniają się we własnym „modnym" światopoglądzie, nie przywiązując większej wagi do konsekwencji logicznych, które wyciąga z tego stanu rzeczy ich idol.

Trzeba jednak zadać pytanie nie tyle o czytelników, ile o promotorów autora: jeśli Harari zastrzega, że część jego wizji należy traktować jako ostrzeżenie przed dystopią, to dlaczego globaliści tak ochoczo polecają jego pisma i traktują go jak ich nadwornego ideologa? Dlaczego Klaus Schwab, zadeklarowany transhumanista, który w obecności zakłopotanej tym faktem Ursuli von der Leyen nawołuje do stworzenia w Unii Europejskiej regulacji prawnych umożliwiających czipowanie nam mózgów, co jest przecież przedsionkiem e-rzeczywistości, otworzył Harariemu szeroko drzwi imprezy w Davos, gwarantując mu dodatkową rozpoznawalność i popularność? Dlaczego w dobie COVID Harari notorycznie głosił potrzebę monitorowania przez państwa nie tylko tego, „co ponad skórą", lecz także tego, „co pod skórą", w czym specjalista od wszystkiego, a raczej „Najważniejszy myśliciel świata", jak nazwała go w 2018 r. okładka francuskiego tygodnika „Le Point", w rzeczywistości wtórował pomysłom Billa Gatesa marzącego od lat o czipowaniu ludzkości dla permanentnego monitorowania naszego stanu zdrowia (a czemu i nie regulowania zdalnie naszej płodności etc.)? Dlaczego w końcu globalne korporacje, które ewidentnie rywalizują z państwami narodowymi o władzę, a wręcz o rząd dusz, „inwestują" w Harariego, a jego pisma stawiają swym pracownikom za szczyt naukowości i omegę filozofii?

„Najważniejszy myśliciel świata" wtórował pomysłom Billa Gatesa marzącego o czipowaniu ludzi

Profesor Wielomski udziela następującej odpowiedzi: „Aby ludzkie dążenie do władzy mogło przekonać tych, którzy mają jej ulegać, to trzeba tych ludzi najpierw do kandydatów do panowania politycznego przekonać. Każda rewolucja polityczna potrzebuje swoich teologów i ideologów, czyli tzw. doktrynerów (twórców doktryn politycznych), wypowiadających się w języku i za pomocą argumentów zrozumiałych dla ludzi żyjących w danym czasie i miejscu". Zaiste, globaliści marzący o światowym rządzie, o uświęceniu pozycji i wpływów ich korporacji oraz dążący do rozbrojenia ewentualnego oporu mas poprzez wskazanie na nieuchronność i korzyści podobnego rozwoju dziejów nie znajdą obecnie lepszego proroka niż Yuval Noah Harari.

BITWA O RZĄD DUSZ

Klaus Schwab wyznał ze szczerością, że kwintesencją rewolucji transhumanistycznej nie jest zmienienie świata wokół nas, ale samego człowieka. Najlepszym komentarzem do jego słów, mimo pozornego ochłodzenia wzajemnych relacji, pozostaje apokaliptyczna wizja dziejów Harariego, by nadać jej właściwie chrześcijańską kwalifikację. Krytyka tandemu pokazała jednak, że globaliści nie mogą bynajmniej być pewni recepcji swych projektów przez masy, mimo zaangażowanych środków i budowanej narracji. Co nie znaczy, że sama krytyka wystarczy, aby wygrać tę bitwę o rząd dusz. Jednym z podstawowych oręży w tym starciu, do którego zresztą sam Harari żywi nieskrywaną awersję, jest kultura humanistyczna. Dzięki tej kulturze nawet ateista w pewnym stopniu obcuje z transcendencją i Absolutem, dzięki niej łatwiej się wznieść ponad pospolity egocentryzm czy zwierzęcy hedonizm, a naśladując maksymy sprawdzonych moralistów – per aspera ad astra – hartować ducha wobec przeciwności losu. Innymi słowy, nasze humanistyczne dziedzictwo, obok religii objawionej, niemało przyczynia się do uformowania w nas sapiensa z krwi i kości. Rzymianie uważali, że formą nieśmiertelności jest przedłużenie się w swych potomkach, przekazawszy im wcześniej własną tożsamość i wzorce cnoty – ludzi o podobnych aspiracjach nie da się przekupić opium pod dostatkiem czy ogłupić e-rozrywką. Najlepszą odtrutką na brednie Harariego, który dosłownie traktuje swych czytelników jak człekokształtne małpy, jest wyjście z ciasnej perspektywy świata, który zna tylko przyjemność, a nie zna wysiłku, jest sięgnąć po Wergiliusza, Montaigne'a czy Sienkiewicza, dojrzeć do godności intelektu i woli właściwej sapiensowi, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. Davos bez Jerozolimy, Aten i Rzymu jest drogą do Hadesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

ADRIAN MARKOWSKI: „BIESZCZADY. DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ CHODZIĆ WŁASNYMI DROGAMI" ORAZ OPRACOWANIE AGNIESZKI MAZUR: KALENDARZ 2023. NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWA ŚWIĘTYCH I DOKTORÓW KOŚCIOŁA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~515 ZŁ~~

216,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e8066a002f

Z Dagmarą Pawełczyk-Woicką, przewodniczącą Krajowej Rady Sądownictwa
rozmawia Karol Gac

Może dojść do uchylania wyroków

KAROL GAC: 13 stycznia Sejm uchwalił nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym. Teraz ustawą zajmuje się Senat. Jak pani ocenia ten projekt?

DAGMARA PAWEŁCZYK-WOICKA: Poważne wątpliwości konstytucyjne dotyczą każdego przepisu zawartego w tym projekcie. Jak czytamy na str. 33 „Informacji o istotnych problemach wynikających z działalności i orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego": „Kompetencja do powoływania sędziów została przez ustrojodawcę ukształtowana wyczerpująco – innymi słowy, ustalił on wszystkie niezbędne elementy procedury nominacyjnej. Nie przewidział przy tym możliwości kontroli aktu powołania na urząd sędziego, dlatego, bez względu na stosowaną procedurę, żaden sąd ani skład sędziowski nie może oceniać prawidłowości powołania innych sędziów". Jeszcze tusz nie wysechł na tej publikacji, a ustawodawca wprowadza procedurę badania „legalności" sędziego nie tylko na wniosek strony, lecz także z urzędu, i wyłącza odpowiedzialność sędziego za wydanie orzeczenia ustalającego oraz oceniającego zgodność z prawem powołania sędziego lub jego umocowanie do wykonywania zadań z zakresu wymiaru sprawiedliwości, a także za kwestionowanie umocowania sądów i trybunałów, konstytucyjnych organów państwowych oraz organów kontroli i ochrony prawa.

W przestrzeni publicznej najwięcej emocji wzbudzają kwestie, o których pani wspomniała, tj. poszerzenie zakresu tzw. testu niezawisłości i bezstronności sędziego oraz kwestia odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów. Załóżmy, że proponowane zmiany wejdą w takim kształcie w życie. Co się stanie?

Może dojść do uchylania wyroków tylko z powodu sposobu powołania sędziego. Uchylane będą nie tylko wyroki nowych sędziów, lecz także wyroki starych, na zasadzie rewanżu. Sędziowie pierwszej instancji mogą negować istnienie wyroków sądów odwoławczych. Po rozpoznaniu apelacji akta trafiają do sądu pierwszej instancji, a ten ostatni może uznać, że wyrok sądu odwoławczego nie istnieje, i odmówić stwierdzenia wykonalności. Niektórzy sędziowie będą dążyć do autolustracji, czyli zbadania przez inny skład spełnienia przez siebie wymogów bezstronności i niezawisłości. Oczywiście, że takie zachowanie spowoduje poważne opóźnienie w rozpoznaniu sprawy. Jestem pewna, że w pewnym momencie dojdzie do poważnej szkody. Zwolniony zostanie groźny przestępca, w innej sprawie ktoś uniknie komornika. Nie twierdzę, że wszyscy koledzy będą stosować takie metody, jednak bezkarność stanowi zachętę. Do chaosu wystarczy 5 proc., a tyle chętnych się znajdzie. Tym bardziej że te osoby są przez część mediów przedstawiane jako bohaterowie. Niektórym to imponuje.

Proszę wybaczyć, ale to sytuacja, której zapewne wiele osób nie jest w stanie sobie wyobrazić. Na wolność ma wyjść np. groźny przestępca, bo jednemu sędziemu nie spodoba się drugi?

Były już takie przypadki. Uchylono wyroki tylko z tej przyczyny. Na szczęście zastosowano areszt. Co w sytuacji, gdy

eprasa.pl e8066a002f

FOT. MIKOŁAJ MIKOŁAJCZYK/KRS

Z perspektywy obywatela działania sądów, nakierowane na badanie swojego umocowania, nie będą odbierane pozytywnie, gdyż wydłużą postępowania sądowe

ten środek nie zostanie zastosowany? Samo uchylenie wyroku sądu karnego rodzi konieczność powtórzenia w znacznej części postępowania dowodowego. To są realne koszty dla budżetu, a także dla świadków.

Czy nie jest też trochę tak, że w całej tej sprawie nie zapominamy m.in. o ludziach, którzy np. na nowo będą przeżywać traumę?

Oczywiście. Nie chodzi przecież o to, że któryś sędzia X przeczyta coś o sobie, co niekoniecznie mu się spodoba.

W grudniu ubiegłego roku KRS wydała negatywną opinię w sprawie nowelizacji ustawy o SN. Czytamy w niej m.in., że „wejście w życie proponowanych rozwiązań oznacza praktyczną likwidację sądownictwa jako władzy sprawującej wymiar sprawiedliwości". W wywiadzie dla portalu DoRzeczy.pl powiedziała pani, że „chaos wywołany wejściem w życie proponowanych rozwiązań jest pewny". Byłoby aż tak źle?

Podtrzymuję swoją wypowiedź. Zaznaczam, że nie wiem, kiedy on nastąpi, i nie znam jego skali. Dla każdego zainteresowanego tematem jest oczywiste, że od końca 2019 r., tj. od pierwszego wyroku TSUE w sprawie Izby Dyscyplinarnej, pewna grupa usiłuje wywołać chaos w polskim sądownictwie. Zaznaczam, że „zbuntowani" sędziowie, którzy podejmują te działania, nie muszą być świadomi wszystkich skutków swoich działań. Oni chcą tylko wymusić zmianę ustawy o KRS. Niektórzy z nich chcą pozbawić urzędu część sędziów powołanych po 2017 r. Nie jestem w stanie jednym zdaniem wytłumaczyć, co jest przedmiotem postępowania sądowego, a od tego należałoby zacząć. Powiem tylko, że z perspektywy obywatela działania sądów, nakierowane na badanie swojego umocowania, nie będą odbierane pozytywnie, gdyż wydłużą postępowania sądowe. Sądy będą odbierane jako zajmujące się „same sobą" – w opozycji do obywatela. Działania te inspirowane z różnych stron mogą się nasilać w związku z przebiegiem kampanii wyborczej.

To, co pani opisuje, może prowadzić nie tylko do chaosu, lecz także wręcz do anarchii lub dualizmu prawnego. Łatwo sobie wyobrazić taki scenariusz po tym, co widzieliśmy w ostatnich latach w Polsce.

Tak – a wszystko pod pretekstem, że sędzia wskazany przez KRS prezydentowi RP i powołany na stanowisko sędziowskie nie jest sędzią, gdyż KRS został ukształtowany nieprawidłowo. TSUE nie spełnił oczekiwań „buntowników", gdyż nie zanegował wyboru KRS i procedury nominacyjnej obowiązującej w Polsce. Wszystko pozostawił sądom krajowym.

eprasa.pl e8066a002f

ETPC jest mniej powściągliwy. Zamiast orzekać w oparciu o przepisy Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności ocenia konstytucyjność ustawy o KRS.

Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedziała pani, że Temida jest ślepa, a „sędziowie absolutnie nie mogą patrzeć na to, kto staje przed ich obliczem, bo wymierzając sprawiedliwość, muszą wszystkich traktować jednakowo niezależnie". Zaraz się okaże, że zamiast tego będą oceniać składy sędziowskie.

Będą odchodzić od istoty postępowania. W sprawach cywilnych istota sprawy sprowadza się do rozstrzygnięcia sporu, w sprawach karnych – do orzeczenia o odpowiedzialności karnej za zarzucony czyn, czyli o winie i karze. Wzajemne testowanie się sędziów nie stanowi wymiaru sprawiedliwości.

Premier Mateusz Morawiecki wielokrotnie zapowiadał, że nowelizacja ustawy o SN musi gwarantować z jednej strony nienaruszalność polskiej konstytucji, a z drugiej nienaruszalność prerogatyw prezydenta. Ten projekt spełnia te założenia?

Wydaje się, że już odpowiedziałam na to pytanie. Dodam jednak, że możliwość kwestionowania powołania sędziego powoduje, iż sędzia pozbawiony zostaje jednej z gwarancji niezawisłości – nieusuwalności. W konsekwencji niektórzy będą wydawać orzeczenia takie, które będą się podobać potencjalnym „weryfikatorom". Już obecnie pod różnymi apelami podpisują się niektórzy nowi sędziowie. Moim zdaniem czują się niepewni swojego statusu.

Rzecznik SN Aleksander Stępkowski ocenił, że nowelizacja jest „na wielu poziomach niezgodna z konstytucją i pozwala na osiągnięcie skutków, które starano się uzyskać niekonstytucyjną uchwałą zdekompletowanych trzech izb SN w styczniu 2020 r.". Jego zdaniem: „Ustawa pozwala na trwałe odsunięcie od orzekania legalnie wybranych sędziów". Czy to nie oznacza de facto przekreślenia reformy wymiaru sprawiedliwości?

Nie doczekaliśmy się kompleksowej reformy wymiaru sprawiedliwości. Reforma polegająca na zmianie reguł wyboru sędziowskiej części KRS dawała szansę zerwania z personalnymi powiązaniami w sądownictwie, które wciąż sięgają głębokiego PRL. Dopóki ustawodawca nie zrezygnuje z obecnego kształtu KRS, dopóty ta szansa pozostaje otwarta. Jednak kompleksowa reforma sądownictwa wymagałaby większych zmian instytucjonalnych. KRS jest owocem ustaleń Okrągłego Stołu. Jego skład osobowy z pierwszych posiedzeń jest interesujący. Na przykład z urzędu wchodził prezes SN kierujący pracami izby wojskowej, były prokurator z lat 50. i wiele innych interesujących postaci. Tak ukształtowany skład wybrał na jednym posiedzeniu cały Sąd Najwyższy. Potem nie można było już zostać kandydatem do Sądu Najwyższego bez zgody zgromadzenia Sądu Najwyższego. W związku z tym nie są uprawnione stwierdzenia, że obecnie orzekający sędziowie nie mają związków z PRL.

W Sejmie żadna z 14 poprawek opozycji do noweli nie uzyskała poparcia, ale prawdopodobnie uwzględni je Senat. Czy propozycje opozycji mogą ulepszyć ten projekt? Czy wręcz przeciwnie – czekałby nas jeszcze większy chaos?

Ani projekt, ani poprawki opozycji niczego nie rozwiązują. Projekt przenosi chaos z SN do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Myślę, że politycy liczą, że NSA lepiej sobie poradzi z „gorącymi" sprawami. Jednak te nadzieje mogą się okazać iluzoryczne. NSA też ma zaległości. Tam też są sędziowie różnie nastawieni. Wszystko będzie zależało od tego, kto zostanie przydzielony do danej sprawy. Przerzucenie spraw dyscyplinarnych i testów do NSA stwarza także ryzyko wydłużenia postępowań sądowoadministracyjnych.

W poprzednim numerze „Do Rzeczy" opublikowaliśmy list otwarty ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry do prezydenta Andrzeja Dudy ws. nowelizacji ustawy o SN. Jak go pani odebrała?

Prezydent będzie podejmował decyzję, co dalej z ustawą. W związku z tym jest naturalnym adresatem listu. Ponadto, już tylko jako obywatel, chciałabym poznać tzw. kamienie. Opinia publiczna ich nie zna. Chciałabym się dowiedzieć, czy te „kamienie" zostały Polsce narzucone czy też rząd sam je wpisał do programu KPO. Zwracam uwagę, że jeżeli w KPO zapisano „kamień" dotyczący możliwości badania przez sądy legalności powołania sędziego i bezkarności sędziego, to projekt przedłożony przez pana prezydenta w ubiegłym roku nie spełniał tego warunku, niezależnie od poprawek, które zostały do tego projektu wprowadzone przez Parlament.

Zbigniew Ziobro w liście do prezydenta wskazuje m.in., że nowelizacja ustawy o SN „prowadzi do anarchii i demoluje zaufanie do państwa", a także że „nie ma ani jednego kraju w Unii Europejskiej, w którym taki mechanizm podważania statusu sędziów obowiązuje".

Nic mi nie wiadomo, aby w innym kraju na świecie sędziowie toczyli między sobą i z własnym państwem wojnę. Status sędziów co do zasady nie wymaga żadnej specjalnej regulacji, bo na gruncie przepisów obowiązujących przed tzw. ustawą kagańcową kwestionowanie decyzji prezydenta o powołaniu sędziego nie było dopuszczalne, gdyż powołanie sędziego nie należy do sądu, ale leży w kompetencjach prezydenta. Takie zachowanie zawsze stanowiło przewinienie dyscyplinarne, a tzw. ustawa kagańcowa jedynie wyodrębniła kwalifikowany delikt dyscyplinarny, polegający na kwestionowaniu umocowania sędziego i innych organów konstytucyjnych, wprowadzając obligatoryjną karę w przypadku sędziego Sądu Najwyższego w postaci tzw. złożenia z urzędu, a w przypadku sędziego sądu powszechnego – przeniesienia na inne miejsce służbowe bądź złożenia z urzędu. Czym innym jest instytucja wyłączenia sędziego z uwagi na podejrzenie braku bezstronności w danej sprawie.

Nic mi nie wiadomo, aby w innym kraju na świecie sędziowie toczyli między sobą i z własnym państwem wojnę. Status sędziów co do zasady nie wymaga żadnej specjalnej regulacji

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Na podstawie art. 4 ust. 1 oraz ust. 2 pkt 2 ustawy z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (tj. z dnia 9 listopada 2022 r. (Dz.U. z 2022 r. poz. 2279)) oraz rozporządzenia Ministra Funduszy i Polityki Regionalnej z dnia 14 grudnia 2022 r. zmieniającego rozporządzenie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w sprawie konkursów na stanowiska Dyrektora i zastępcy Dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (Dz.U. z 2022 r. poz. 2645).

MINISTER FUNDUSZY I POLITYKI REGIONALNEJ OGŁASZA KONKURS NA STANOWISKO DYREKTORA NARODOWEGO CENTRUM BADAŃ I ROZWOJU

Kandydatem na stanowisko Dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju może być osoba, która:

1. korzysta z pełni praw publicznych,
2. nie była skazana prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe,
3. posiada co najmniej stopień naukowy doktora,
4. posiada znajomość języka angielskiego w stopniu umożliwiającym swobodne porozumiewanie się, również w sprawach dotyczących działalności naukowej,
5. posiada co najmniej 5-letnie doświadczenie w kierowaniu zespołami pracowniczymi oraz w sektorze badawczo-rozwojowym, gospodarczym lub finansowym,
6. w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do dnia 31 lipca 1990 r. nie pracowała w organach bezpieczeństwa państwa w rozumieniu art. 2 ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów (Dz.U. z 2022 r., poz. 2731), nie pełniła w nich służby ani nie współpracowała z tymi organami.

Kryteria oceny zgłoszeń oraz liczba punktów przyznawana za stopień spełniania poszczególnych kryteriów na podstawie załączonych do zgłoszenia dokumentów:

1. osiągnięcia zawodowe, zajmowane stanowiska i pełnione funkcje – od 0 do 30 pkt,
2. międzynarodowe doświadczenie zawodowe – od 0 do 10 pkt,
3. doświadczenie w zarządzaniu zespołami ludzkimi – od 0 do 20 pkt,
4. przedstawiona koncepcja funkcjonowania Centrum – od 0 do 30 pkt,
5. znajomość języka angielskiego w stopniu umożliwiającym swobodne porozumiewanie się lub potwierdzona certyfikatami lub doświadczeniem wynikającym z pracy za granicą – od 0 do 10 pkt.

Wymagane dokumenty:

1. koncepcja funkcjonowania Centrum opracowana przez osobę przystępującą do konkursu w formie prezentacji multimedialnej, zapisana na nośniku elektronicznym,
2. informacja o dotychczasowym przebiegu pracy zawodowej, w tym o zakresie obowiązków związanych z zajmowanymi stanowiskami i pełnionymi funkcjami, okresie ich pełnienia, liczbie podległych pracowników oraz osiągnięciach zawodowych,
3. poświadczone za zgodność z oryginałem kopie dokumentów lub oświadczenia potwierdzające:

a) przebieg pracy zawodowej,
b) wykształcenie,
c) ukończenie kursów i szkoleń mających znaczenie dla oceny kwalifikacji zawodowych, wiedzy i predyspozycji kandydatów do zarządzania dużymi zespołami ludzkimi, budowy i rozwoju instytucji oraz do rozwoju kapitału ludzkiego zespołów pracowniczych,

4. oświadczenie o niekaralności za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe,
5. poświadczona za zgodność z oryginałem kopia dowodu osobistego lub innego dokumentu potwierdzającego tożsamość,
6. oświadczenie o wyrażeniu zgody na przetwarzanie danych osobowych w ramach konkursu,
7. oświadczenie, o którym mowa w art. 7 ust. 1 ustawy z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów (Dz.U. z 2022 r., poz. 2731),
8. oświadczenie o wyrażeniu zgody na przeprowadzenie postępowania sprawdzającego, o którym mowa w art. 22 ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 5 sierpnia 2010 r. o ochronie informacji niejawnych (Dz.U. z 2022 r. poz. 1933) lub kopia poświadczenia bezpieczeństwa upoważniającego do dostępu do informacji niejawnych oznaczonych klauzulą „tajne".

Na stronie internetowej Centrum w Biuletynie Informacji Publicznej udostępnione są następujące materiały informacyjne dotyczące funkcjonowania Centrum:

1. sprawozdania z działalności Centrum za lata 2020 i 2021,
2. sprawozdania finansowe Centrum wraz z opiniami biegłych rewidentów za lata 2020 i 2021,
3. plan działalności Centrum na 2022 r.
4. podstawa prawna funkcjonowania Centrum (ustawa z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju oraz akty wykonawcze obowiązujące w chwili ogłoszenia konkursu na stanowisko Dyrektora Centrum).

Na stronie internetowej Centrum w Biuletynie Informacji Publicznej zamieszczona zostanie wyłącznie informacja o wybranym kandydacie.

Termin składania dokumentów: 10 dni, liczonych od dnia następującego po dniu ukazania się ogłoszenia o konkursie na stronie internetowej Centrum w Biuletynie Informacji Publicznej. O zachowaniu terminu decyduje data wpływu zgłoszenia.

W celu umożliwienia Komisji Konkursowej przekazywania informacji o terminach i miejscu przeprowadzania czynności w ramach drugiego etapu konkursu kandydaci proszeni są o przekazanie adresów e-mail oraz numerów telefonów.

Miejsce składania dokumentów:
Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej
Biuro Ministra
ul. Wspólna 2/4
00-926 Warszawa
(w zamkniętej kopercie z dopiskiem „Konkurs na stanowisko Dyrektora NCBiR")

W celu zapewnienia sprawnej komunikacji uprzejmie prosimy o kierowanie ewentualnych pytań dotyczących konkursu na adres e-mail: sekretariatBM@mfipr.gov.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl e8066a002f

Wmuszany fetysz

Rafał A. Ziemkiewicz

Nie minęło nawet pół dnia od przegłosowania w Sejmie „uzgodnionej z Komisją Europejską" (choć KE tego nie potwierdziła, a dwóch komisarzy publicznie zaprzeczyło) ustawy o Sądzie Najwyższym, gdy ta postawiła kolejny warunek „odblokowania środków z KPO"

FOT. ADOBE STOCK

Jak donieśli korespondenci z Brukseli, nowym warunkiem jest przegłosowanie „ustawy wiatrakowej". Bez tego, według „nieoficjalnego" stanowiska KE, nawet całkowite rozwiązanie problemu ustroju sądów w Polsce (czytaj: całkowite podporządkowanie się w tej kwestii dyktatowi KE) do wypłacenia Polsce pierwszej transzy KPO nie wystarczy.

Że tak będzie – to znaczy, że natychmiast po przeczołganiu polskiego rządu, łudzącego się, iż wreszcie zasłuży na łaskę wypłacenia należnych nam pieniędzy, „odblokowanie" uzależnione zostanie od kolejnych żądań – od dawna wydawało się wszystkim poza liderami PiS oczywiste. Eurokraci okpili przecież nasze władze w ten sposób już cztery razy. Za każdym razem za cenę niejasnych obietnic (a ściśle: za niezaprzeczanie, gdy rząd łudzi Polaków, że takie obietnice otrzymał) uzyskiwała Bruksela zgodę na rozszerzenie palety wymagań. O ile uzależnianie wypłaty pieniędzy od „stanu praworządności" było oparte na krańcowo naciąganej interpretacji prawa unijnego, o tyle odcięcie Polakom dostępu do funduszy pochodzących z zaciągniętego na ich koszt długu za utrudnianie budowy elektrowni wiatrowych nie ma w prawie unijnym żadnej już, najbardziej nawet wątłej, podstawy. Jest skutkiem zobowiązania dobrowolnie przyjętego przez rząd Mateusza Morawickiego w ramach „kamieni milowych".

Tak też wyjaśnił rząd i orzekły rządowe media, by zaprzeczyć upokorzeniu: to wcale nie nowy warunek; do przyjęcia „ustawy wiatrakowej" zobowiązaliśmy się już dawno i sprawa szybko zostanie załatwiona. Faktem jest, że wspomniana ustawa złożona została w Sejmie już dawno, ale dotąd leżała w marszałkowskiej „zamrażarce", skąd została wydobyta nieoczekiwanie w przededniu cytowanego wyżej, nieoficjalnego komunikatu Komisji.

WIATROWY INTERES

Próbując przekuć sprawę w sukces, premier Morawiecki urządził natychmiast konferencję prasową, na której przekonywał, że budowa wiatraków będzie dla Polski wielce korzystna, że zmodernizuje naszą energetykę itd. Nie zająknął się o tym, dlaczego, skoro jakoby energetyka wiatrowa jest tak dobra, dotąd jej rozwój blokowaliśmy. W końcu nikt nam przez ostatnie lata stawiania wiatraków nie zabraniał, przeciwnie – byliśmy do tego usilnie zachęcani.

Otóż na budowę „elektrowni wiatrowych" nałożył ograniczenia sam PiS, w początkach swych rządów, kierując się troską o zdrowie Polaków. Istnieją bowiem powody, by twierdzić, że przebywanie w sąsiedztwie wiatrowych generatorów powoduje rozmaite przewlekłe schorzenia. Dlatego w wielu krajach istnieją limity odległości od siedzib ludzkich, poniżej których wiatraki nie mogą być stawiane. Ustawa z początków rządów PiS krytykowana była za nadmierny poziom tych restrykcji, w praktyce paraliżujących rozwój wiatrowej industrii. Dla odmiany w projekcie, którego przyjęcie uznano za

eprasa.pl e8066a002f

kolejny warunek „odblokowania" KPO, restrykcje zostają praktycznie zniesione, a mechanizmy oferowane lokalnym społecznościom dla ochrony przed pazernością „ekologicznego" biznesu wydają się już na pierwszy rzut oka pozorne.

Sprawa szkodliwości wiatraków dla zdrowia przypomina sprawę skutków ubocznych szczepień przeciwko COVID-19: choć zasadność obaw potwierdzają specjaliści, używając konkretnych, naukowych argumentów, to w przestrzeni publicznej Zachodu wszelkie wątpliwości są cenzurowane, a podnoszący je zakrzykiwani jako „klimatyczni negacjoniści". Wskutek tego prawie nikt w Polsce nie zdaje sobie sprawy, jakie naprawdę zyski i szkody niesie branża tak intensywnie dziś rozwijana za pieniądze publiczne, transferowane do kieszeni koncernów energetycznych.

Pewne wyobrażenie o sprawie daje film „Big Wind", wyprodukowany w 2015 r. przez niezależną wytwórnię DLI z Montrealu i dostępny w tej chwili, mimo zdobytych nagród, chyba jedynie na jej stronie internetowej. Reżyser Abbey Jack Neidik opowiada w nim historię kilkuletniej walki grupy rolników z popieranym przez rząd koncernem, próbującym obstawić ich domy farmami wiatrowymi. Walki zresztą ostatecznie częściowo wygranej (budowy zostały zablokowane przez sąd, który zmusił również rząd do przyjęcia limitów bezpieczeństwa, tego rodzaju, które my właśnie na żądanie KE odrzucamy). Wartością filmu jest jednak nie tylko zdemaskowanie pazerności menedżerów rzekomo stroskanych o przyszłość planety i całej palety stosowanych przez nich środków, od korumpowania polityków, przez rozbijanie lokalnej społeczności prowokacjami, do nasyłania na rolników „aktywistów", Polakowi kojarzących się z posyłanymi przed laty na „rozkułaczanie wsi" działaczami ZMP. W filmie występują także specjaliści, zarówno od medycyny, jak i od energetyki.

ZŁOTY INTERES

I właśnie opinie tych ostatnich są szczególnie w tej sprawie istotne. Wiatraki to oszustwo – wynika z nich niezbicie. Elektrownie wiatrowe to gadżet, który w pewnych lokalnych warunkach może na małą skalę być pożyteczny, ale oparcie na nich dużej sieci energetycznej niesie więcej szkody niż pożytku. Wiatr jest bowiem niestabilnym źródłem energii. Kiedy się nagle zrywa, wiatrakowa część „miksu" rośnie, trzeba więc przygaszać pozostałe elektrownie; potem z kolei wiatr słabnie i trzeba podnosić moc. A zużycie paliwa zależy właśnie, zgodnie z mało znanymi prawami fizyki, od zmian w poborze i zasilaniu, a nie od liczby i mocy odbiorników. Im więcej zatem wiatraków, tym większe zużycie paliwa w elektrowniach tradycyjnych (w wypadku Kanady opalanych ropą naftową).

KARDYNALNE OSZUSTWO

Rzecz w tym, że i jedne, i drugie są, acz niejawnie, jak okazuje się to dopiero po prześledzeniu powiązań kapitałowych, własnością tych samych wielkich koncernów energetycznych, dla których „ratowanie planety" staje się w ten sposób złotym interesem: pieniądze kasowane od rządu na rozwijanie „zielonej" energetyki dodatkowo zwiększają ich zyski z wydobywania i spalania paliw tradycyjnych. O tym, że zwiększa to emisję CO_2, którego redukcja jest przecież ideologiczną przyczyną całego obłędu, nikt nie chce wiedzieć.

Tak jest w Ameryce. W Europie w miarę rozwijania „zielonej" energetyki narzuca się zamykanie elektrowni tradycyjnych. Skutkami są albo krańcowa obłuda, jak w wypadku Niemiec, albo kryzys, który dotknął tej zimy, stosunkowo przecież łagodnej, Anglię, która, mimo brexitu, trzyma się doktrynalnie brukselskiej linii „ratowania planety". Wbrew nadziejom związanym z kosztowną budową farm wiatrowych na Morzu Północnymi Wielka Brytania ma w tej chwili najdroższą energię elektryczną i stała się bodaj jedynym z państw Zachodu, które dotknęło „energetyczne wykluczenie": ponad 10 proc. gospodarstw domowych nie stać w tej chwili na rachunki za prąd. Malowniczym przejawem skutków zideologizowania energetyki stali się angielscy emeryci spędzający całe dnie na jeżdżeniu w kółko autobusami miejskimi, bo są one ogrzewane i cieplejsze od wyziębionych mieszkań, o którym to politycznie niepoprawnym fakcie odważały się informować niektóre z mediów na Wyspach.

Wszystkie kalkulacje, plany i normy unijne oparte zostały bowiem na kardynalnym oszustwie, tak prostym, że aż trudno uwierzyć: opierają się one na teoretycznej mocy „zielonych" elektrowni. Tymczasem wiatr nie wieje ani słońce nie świeci bez przerwy, więc realna moc wiatraka jest od potencjalnej znacznie niższa. W Polsce, która ze szczególnie silnych wiatrów nie słynie, ocenia się ją na ok. 40 proc. Tak więc „zastąpienie" 10 GW elektrowni tradycyjnych przez 10 GW wiatrowych oznacza de facto ubytek w systemie 6 GW; a trzeba jeszcze doliczyć stratę generowaną przez dodatkowe zwiększenie zapotrzebowania na kontrowanie niestabilności „zielonej" energii.

Wyliczanie wszystkich szkód ekologicznych, które powodowane są przez „modernizację systemu energetycznego" w kierunku „energetyki wiatrowej", wystarczyłoby do zapełnienia kilku znacznie dłuższych artykułów, począwszy od nonsensownego założenia, jakoby energia wiatru była naturalnym perpetuum mobile, które człowiek może zużywać do woli, bo w przyrodzie bierze się z niczego, nie służy do niczego i występuje w nieograniczonych ilościach. W istocie jest to myślenie równie „ekologiczne", jak przekonanie pionierów rewolucji przemysłowej, że nieprzebrane zasoby powietrza i wody przyjmą i rozcieńczą w sobie bez śladu dowolną ilość wszelkich zanieczyszczeń. Osobny z kolei tekst można by poświęcić analogicznemu oszustwu „fotowoltaiki".

Ale ideologiczny obłęd na tym właśnie polega, że pytań się nie zadaje. Ani o to, co zrobimy kiedyś z kadłubami i śmigłami wiatraków, jeszcze mniej biodegradowalnymi niż osławione skorupy NRD-owskich trabantów, ani o to, co stanie się z opartą na „odnawialnej" energii Polską, jeśli chwyci na dłuższy czas silny mróz (co w naszym klimacie może się zdarzyć), bo w czasie mrozu wiatraki nie tylko nie działają, lecz także trzeba wziąć skądś energię do ich podgrzewania, by nie uległy zniszczeniu.

Pan premier przyznał kiedyś, że w gremiach, w których podejmowane są decyzje, „klimat" jest czymś w rodzaju panującej religii. Wiatrak zaś, przynoszący ogółowi wielkie szkody, ale niektórym silnym lobbies ogromne zyski, religia ta uczyniła jednym ze swych fetyszów. W tej sytuacji lepiej nie pytać o skutki, tylko posłusznie wypełniać żądania Unii. Co najgorsze, poza Konfederacją panuje co do tego ponadpartyjny konsensus między skłóconymi skądinąd PiS a PO i jej satelitami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Z Anną Marią Siarkowską, posłanką Solidarnej Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

I ty możesz zostać ruskim agentem

RYSZARD GROMADZKI: Dlaczego wbrew stanowisku Zjednoczonej Prawicy głosowała pani przeciwko ustawie o powołaniu specjalnej komisji badającej rosyjskie wpływy w systemie gospodarczym?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Ta ustawa ma tylko bardzo chwytliwy tytuł. Myślę, że wszyscy posłowie, szczególnie ci z prawej strony sceny politycznej, życzyliby sobie, żeby organa państwa polskiego posiadały sprawne narzędzia do identyfikacji rosyjskich wpływów i ich ewentualnego oddziaływania na proces stanowienia prawa w Polsce. Uważam jednak, że jeśli ta komisja powstanie, to absolutnie nie wypełni celu, który jest przed nią postawiony. Ustawa ta, jeżeli tytuł miałby oddawać w pełni jej sens, powinna nazywać się „Ustawą o odbieraniu praw publicznych przeciwnikom politycznym". Do tego bowiem, nad czym ubolewam, obecne rozwiązania się sprowadzają.

Komisja, która ma być powołana, nie jest w żaden sposób zobligowana ustawą do udowodnienia winy osobie oskarżanej, bo efektem pracy komisji ma być zaledwie skierowanie zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Dopiero ta będzie prowadziła właściwe postępowanie dowodowe, które może – ale nie musi – zakończyć się złożeniem wniosku do sądu o ukaranie. Z jednej więc strony komisja nikomu niczego nie musi udowodnić, żadnej współpracy, wystarczy de facto samo podejrzenie, z drugiej, mogłaby już takie osoby karać, np. odbierając prawa publiczne na 10 lat. Tę formę karania uznano w projekcie ustawy za środek zaradczy, choć byłby on de facto karą wydaną bez uprzedniego udowodnienia winy i skazania przez właściwy organ sądowy.

Jednocześnie w tej ustawie zapisano, że badaniom obcych wpływów podlegają również działania, które pozostają w zgodzie z polskim prawem. To absolutne kuriozum. Czyli ktoś postępował zgodnie z polskim porządkiem prawnym, nie złamał żadnego przepisu, nie udowodniono takiej osobie nic, a jednak można by ją uznać za osobę pozostającą pod wpływem rosyjskiej agentury i pozbawić ją praw publicznych. Tego rodzaju konstrukcje są całkowicie sprzeczne z zasadą państwa prawa, gdyż nie respektują podstawowej zasady, którą gwarantuje

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 8066a002f

konstytucja, czyli prawa do sprawiedliwego procesu. Nie wolno robić takich rzeczy.

Zwracam również uwagę na jeszcze jedną symptomatyczną rzecz, którą wpisano w ustawę. Możliwości kontroli będą podlegali nie tylko funkcjonariusze publiczni, politycy czy pracownicy administracji publicznej, lecz także każda inna osoba, jeżeli jej działania, przykładowo, wpływały na organizację systemu ochrony zdrowia, w tym w szczególności zwalczanie chorób zakaźnych.

Mówiąc otwartym tekstem, wszyscy, którzy kwestionowali politykę rządu w okresie tzw. pandemii, mogą zostać zakwalifikowani jako „ruscy agenci".

Dokładnie tak. Każdy, kto krytykował obostrzenia, kto publikował informacje na ten temat, może być przedmiotem zainteresowania komisji. Dlatego nie wiem, czemu naprawdę ma ona służyć, ale na pewno nie jest to tropienie rosyjskiej agentury. Chciałabym, żeby polskie prawo zostało zmienione w taki sposób, żeby polskie służby specjalne i prokuratura, które zajmują się tego rodzaju sprawami, dysponowały odpowiednimi narzędziami i możliwościami prawnymi do tego, żeby rosyjską agenturę skutecznie identyfikować i zwalczać. W tym kierunku powinny iść zmiany prawne. Komisja w proponowanym kształcie niczego tu nie rozwiąże, niczego nie zmieni. Za to na podstawie obecnie przedłożonych Sejmowi zapisów mogłaby stać się bardzo poręczną pałką do okładania przeciwników politycznych.

Także do eliminowania z przestrzeni publicznej tych wszystkich, którzy stawialiby niewygodne, ważne społeczne pytania. Na przykład dotyczące rzeczywistego bilansu pandemii czy skutków szczepień dla zdrowia publicznego.

Oczywiście. Każda krytyka polityki rządu w tym okresie mogłaby zostać uznana za głos, na który wpływ miała rosyjska agentura. Uważam, że cała atmosfera debaty wokół tej ustawy jest bardzo niezdrowa, bo de facto wyklucza merytoryczną wymianę argumentów. Dzieje się tak z jednego, podstawowego powodu. Politycy boją się podnosić argumenty przeciwne tej ustawie, a nawet zajmować stanowisko w tej sprawie.

Bojąc się łatki „rosyjskiego agenta wpływu"...

Tak samo jak w czasie pandemii bali się protestować przeciw nadużyciom prawnym wówczas wprowadzanym, chociażby rozporządzeniami ministra zdrowia, odbierającym ludziom możliwość korzystania z gwarantowanych im konstytucyjnie praw i wolności obywatelskich, bo obawiali się etykiety foliarza, szura czy płaskoziemcy, inaczej mówiąc – wariata. Teraz politycy również boją się protestować przeciw przepisom prawnym, które mogą prowadzić do poważnych nadużyć, bo boją się być nazwanymi „rosyjską agenturą wpływu". Właśnie dlatego cała debata wokół tej ustawy wygląda tak, jak wygląda.

Po głosowaniu przeciw ustawie powołującej komisję do badania rosyjskich wpływów została pani usunięta z sejmowych komisji spraw wewnętrznych i obrony narodowej.

Koalicjanci z PiS pozbyli się problemu w postaci głosu czasami przeciwnego do tych, które są oczekiwane. Widać wyraźnie kurs na to, żeby nawet w komisjach parlamentarnych za bardzo nie wnikać w treść ustaw, nie pytać o nic, tylko przychylać się do rozstrzygnięć, które najwyraźniej zapadły gdzieś indziej.

Czyli poseł ma być tylko maszynką do głosowania, który niezależne myślenie, własną ocenę sytuacji czy sumienie może sobie włożyć do kieszeni?

Chciałabym zapytać moich koalicjantów z PiS, czy jeżeli podczas prac nad ustawami w Sejmie, kiedy w ramach klubu pojawią się w przyszłości jakieś głosy przeciwne, to czy za każdym razem zamierzają zmieniać skład komisji? To przecież prowadzi donikąd.

Jak się pani czuje w roli dysydentki?

W żadnym razie nie łączę swojej sytuacji i krytyki, którą wyraziłam, z jakąś polityczną martyrologią. Sytuacja w Zjednoczonej Prawicy jest rozwojowa. Myślę, że koalicjanci z Prawa i Sprawiedliwości, którzy podjęli takie decyzje wobec mnie, powinni wykorzystać najbliższe dni na odrobinę autorefleksji.

Czy to oznacza, że sytuacja w Zjednoczonej Prawicy jest rozwojowa?

W Zjednoczonej Prawicy mamy do czynienia z fundamentalnym sporem wokół tzw. Krajowego Planu Odbudowy. Jest to związane z naciskiem, który wywiera na Polskę Komisja Europejska, która chce ingerować w obszary, w stosunku do których nie ma żadnych kompetencji traktatowych, przede wszystkim w wymiar sprawiedliwości. Solidarna Polska bardzo mocno upomina się o polski interes narodowy i polską suwerenność. Z kolei nasi koalicjanci z Prawa i Sprawiedliwości najwyraźniej są gotowi iść na bardzo dalekie ustępstwa, byle tylko dostać pieniądze z KPO. Solidarna Polska głosowała przeciwko ustawie o Sądzie Najwyższym wymuszonej przez Brukselę. Zobaczymy, jakie będą polityczne konsekwencje tej decyzji.

Ten, kto popiera sprzedawanie elementów polskiej suwerenności za pieniądze, mające przyjść z UE, powinien liczyć się z tym, że nie będzie ani suwerenności, ani pieniędzy

Czy najbardziej prawdopodobną konsekwencją przyjęcia ustawy o Sądzie Najwyższym nie będzie oddanie Komisji Europejskiej resztek naszej suwerenności, a pieniądze z KPO przed wyborami i tak do Polski nie trafią?

Jeżeli sami politycy Prawa i Sprawiedliwości mówią publicznie bez ogródek, że te pieniądze są potrzebne PiS, żeby wygrać kolejne wybory, to nie ma w tym nic dziwnego, że opozycja robi wszystko, żeby przekonać swoich niemieckich przyjaciół w Komisji Europejskiej, żeby nie zostały one wypłacone Polsce przed wyborami. To oczywiste. Bo jeśli nawet te środki będą w końcu wypłacane, to wyłącznie transzami, a kolejne transze będą obwarowane następnymi żądaniami. Tego trzeba być świadomym.

Każdy, kto popiera sprzedawanie kolejnych elementów polskiej suwerenności w zamian za pieniądze, które mają przyjść z Unii Europejskiej, powinien liczyć się z tym, że w konsekwencji nie będzie ani suwerenności, ani pieniędzy. To ślepa uliczka. Trzeba z niej zawrócić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Wiele hałasu o nic?

Piotr Semka

Tomasz Terlikowski przejął niedobrą cechę „Wyborczej". W przypadku różnicy zdań od razu reaguje ubieraniem krytyków w strój ludzi niegodziwych

Zupełnie nie przyszło mi do głowy, że mój tekst sprzed tygodnia o medialnej i ideowej metamorfozie Tomasza Terlikowskiego da się sprowadzić, przynajmniej w pierwszej fazie dyskusji nad nim, do kwestii mojej pomyłki przy pisaniu imienia Karoliny Wigury, współautorki książki wydanej razem z Terlikowskim, i do rozważań, czy czytałem tę książkę czy nie.

Cała sprawa pokazuje bardzo dobrze całą nienormalność dzisiejszych dyskusji na Facebooku i Twitterze, gdzie wystarczy w nieuczciwy sposób zdefiniować linię sporu publicystycznego, by kolejni uczestnicy dyskusji, zazwyczaj nieznający tekstu, dzielili się na zwolenników i przeciwników którejś ze stron sporu według wyłącznie plemiennych linii podziału.

WYGODNA ŚCIEŻKA

Pierwsza na mój tekst zareagowała już wspomniana Karolina Wigura, którą przy okazji przepraszam za to, że w jednym miejscu tekstu pomyliłem jej imię. O tym, że była to jedynie pomyłka, a nie złośliwość, niech świadczy fakt, że w tym samym tekście parę linijek dalej jest prawidłowy kształt imienia i nazwiska – Karolina Wigura. To szanowna pani filozof ze środowiska „Kultury Liberalnej" jako pierwsza ułatwiła sobie zadanie i postawiła tezę, że moja skromna osoba „widocznie do książki nawet nie zajrzała". Owszem, zajrzałem. Przyznam, że dyskusja nie rzuciła mnie na kolana, ale nie o niej w tekście pisałem. Wskazałem jedynie, że pozycja „Polka ateistka kontra Polak katolik" nie wzbudziła szerszego zainteresowania w mediach katolickich i konserwatywnych, gdyż Tomasz Terlikowski wiele stracił z wizerunku wyrazistego obrońcy wiary i światopoglądu katolickiego. Tymczasem Wigura wolała iść ścieżką, która była dla niej wygodna. Orzekła, że stwierdzenie, iż „nasza wymiana poglądów ciekawi obecnie raczej czytelników liberalnych", jest bardzo poważnym zarzutem wobec środowiska konserwatywnego. Rzuciła bardzo surową ocenę: „Strona konserwatywna zamknęła w naszym kraju uszy i oczy na argumenty drugiej strony, tak samo jak niegdyś zrobiła to tzw. moja strona". Według Wigury świadczy to o osłabieniu myśli konserwatywnej w Polsce, wypłukaniu jej z kreatywności i „nieumiejętności wygrania wyborów politycznych". Sprowadziła cały mój długi tekst poświęcony Tomaszowi Terlikowskiemu do kwestii tego, czy jej rozmowa z niegdysiejszym szefem TV Republika winna przyciągać uwagę konserwatystów czy nie. Dla niej było to wygodne, bo ją w moim tekście interesowały jedynie wątki dotyczące książki, której była współtwórcą.

Tyle że chętnie przyłączył się do tego Terlikowski, który też w początkowej fazie polemik chętnie poszedł drogą wybraną przez Karolinę Wigurę.

Napisał: „Teraz będzie słów kilka o rzekomo znakomitym tekście na mój temat Piotra Semki w najnowszym »Do Rzeczy«. Jeden fragment pokazuje wszystko na temat tego tekstu". Nastąpiła potem arbitralna opinia, że książki nie czytałem, więc tym samym potwierdzam, że polska prawica się zamyka w swojej bańce. Wątek ten pociągnęli potem wydawcy niedawnej książki Terlikowskiego „Koniec Kościoła, jaki znacie", czyli publicyści „Nowej Konfederacji" – Stefan Sękowski i Jarema Piekutowski. Sękowski orzekł, że jakikolwiek krytyczny stosunek wobec dialogu Terlikowskiego z Wigurą to kompromitacja dla prawicowej inteligencji, i pozwolił sobie na wyrażenie opinii o motywach powstania tekstu: „Współcześnie nie ma bardziej śpiewającej unisono grupy niż dziennikarzo-publicyści z propisowskiej prawicy. Dochodzę do tego wniosku nie po raz pierwszy. Tym razem w kontekście wyścigów na najbardziej antyterlikowski tekst, jaki urządziły sobie tygodniki propisowskie (lub przynajmniej antyopozycyjne, jak w przypadku »Do Rzeczy«). Nie po to, żebym Tomkowi bardzo współczuł, ma gdzie pracować, mówić i pisać, co myśli, a cała sytuacja jest rodzajem darmowej reklamy, więc załamywanie rąk nad jego losem byłoby adorowaniem pluszowego krzyża. Bardziej chodzi o zjawisko. Trwa festiwal wskazania, jak to były już, jak rozumiem, »kolega« sprzedał się, »zmienił przyjaciół« i zmienił się, bo... właściwie nie wiadomo dlaczego. Nadal nie rozumiem, na czym polega ta rzekoma przemiana. Argumenty sprowadzają się do tego, że krytykuje hierarchię kościelną (jakby nie robił tego od zawsze), polityków PiS (so what?) i, o zgrozo, prowadzi rozmowy na antenie RMF FM, a nawet wydał książkę, w której dyskutuje z przedstawicielką innej opcji ideowej".

Czołowy publicysta „Nowej Konfederacji" najwyraźniej nie zauważył, że coś w publicystyce Terlikowskiego się zmieniło. Pominął też lekko, że w tekście wyraźnie wskazałem, iż zaangażowanie pana Tomasza w kwestii nagłaśniania przypadków molestowania przez księży budzi szacunek. Jeśli wypomniałem mu RMF FM, to tylko dlatego, że przypomniałem, iż wcześniej starał się on budować konserwatywne media tożsamościowe, a teraz ochoczo poszedł

eprasa.pl e8066a002f

ZASKAKUJĄCA ZAMIANA RÓL

FOTOPAN

do stacji radiowej, która ma wyraźnie liberalno-permisywne nastawienie.

SKARGI PANA TOMASZA

Sam Terlikowski też bardzo szybko podchwycił tę sugestię, że rzekomo jest na niego zlecenie ze strony wściekłego PiS i jest ono realizowane przez podporządkowane mu media. Napisał na Twitterze: „Po tekstach analizujących moją »zdradę«, »woltę«, »zaprzedanie się salonowi« w »Gazecie Polskiej« i »Sieciach« z tygodniowym opóźnieniem przyszedł czas na »Do Rzeczy«. I żeby nie było wątpliwości – nikt z moich kolegów nawet ze mną nie rozmawiał. Napisali teksty z głowy”.

Zacznijmy od pierwszego zarzutu Terlikowskiego. Jeśli jego ewolucja sprowokowała teksty na jego temat w trzech różnych mediach po prawej stronie, to jest to, jak sądzę, wynik przekraczania przez niego dotychczasowych limitów, gdyż z niczego wykręcił ataki na ministra Przemysława Czarnka i przyrównał Dawida Wildsteina do Jerzego Urbana. Zamiast więc snuć wygodne dla siebie tezy o skoordynowanym ataku „prorządowych cyngli na biednego niezależnego publicystę”, powinien się zastanowić, jakie granice publicystycznej retoryki przekroczył w ostatnich tygodniach. Przyznam, że z rozbawieniem przyjąłem skargę Terlikowskiego, iż „nikt nawet z moich kolegów ze mną nie rozmawiał”, i oburzenie, że „napisali teksty z głowy”.

Akurat w wypadku publicystów ich aktualne poglądy ocenia się na podstawie ich tekstów. Nikt nie musi dzwonić do Terlikowskiego, aby się dowiedzieć, co ma do powiedzenia w ważnych sporach obecnego czasu. Jak trafnie wskazał jeden z internautów, nic nie wiadomo o tym, by sam Terlikowski dzwonił do Dawida Wildsteina, zanim przyrównał go do Urbana.

Pozostaje mi jeszcze ustosunkować się do publicznego stwierdzenia Terlikowskiego, że mój tekst „składa się z półprawd, kłamstw i kalumnii”. Jak twierdzi: „Jest ich na tyle dużo, że trudno jest nawet odpowiedzieć na wszystkie”. Pisze dalej, ironizując: „Najzabawniejsze jest bowiem to, za co krytykuje mnie Semka. Otóż obrywam za to, że krytykuję hierarchię Kościoła (co zresztą nie jest niczym nowym), że bronię ofiar przestępstw seksualnych przed ich ujawnianiem (to, że zostali oni przez takie, a nie inne sformułowanie opisu pośrednio ujawnieni i podkreślił przewodniczący Państwowej Komisji ds. Pedofilii, przewodnicząca Fundacji św. Józefa i Rada Etyki Mediów), że uważam, że model polityki kościelnej abp. Marka Jędraszewskiego i ministra Czarnka to droga do przyspieszenia laicyzacji, a nie jej zatrzymania. Cóż, jeśli to ma być zarzut, to przyjmuję go z zadowoleniem” [pisownia oryginalna – przyp. red.].

No cóż, to bardzo sprytna technika obrony. Terlikowski najpierw sam zarysowuje karykaturę tez mojego tekstu, by potem występować jako rycerz walki o słabszych przeciw siłom ciemności.

EWOLUCJA POGLĄDÓW

Podczas lektury tych pełnych samozadowolenia tyrad przypomniały mi się słowa publicysty Piotra Zaremby, który w facebookowej dyskusji na temat sporu o tekst „Gdy sól traci smak” napisał: „Oni (to jest media prawicowe krytyczne wobec Terlikowskiego) budują wiarygodność, waląc w TT. Pan [Zaremba odnosi się do Stefana Sękowskiego – przyp. red.], waląc w nich [czyli krytyków Terlikowskiego – przyp. P.S.] – za cenę uogólnień i kampanijności. Możliwe, że wojna z Czarnkiem trochę coś przyspieszyła. Ale te różnice były realne. Tomasz Terlikowski także szukał starcia, myślę, że szuka w ten sposób nowego wizerunku. Niestety dzieje się to kosztem nieustannego pisania o sobie. To ze trzy czwarte jego wywodów. Każdy mem, każdy post należy przywołać z odpowiednim lamentem”.

Piotr Zaremba dosyć trafnie zdefiniował problem z publicystyką Tomasza Terlikowskiego. Mieszają się w niej zarówno dotykanie realnych problemów, jak i ewolucja poglądów dostosowująca się do gustów obozu liberalnego oraz nabyta z latami sprawność w prezentowaniu się w roli ofiary. Terlikowski, powtórzę to zdanie z poprzedniego mojego tekstu, sam bardzo często wali na odlew, ale gdy ktoś podejmuje z nim polemikę, z niezrównanym mistrzostwem wchodzi natychmiast w rolę prześladowanej ofiary. Oczywiście ta maniera polemiczna jest przez niego maskowana deklaracjami w stylu: „Proszę nie myśleć, że ja się skarżę, mam co robić, współpracuję z wieloma mediami”. Jednak już znacznie mniej wiarygodnie brzmią jego ciągle powtarzane, wręcz do znudzenia, mantry w stylu „światopoglądu nie zmieniłem”.

Owszem, zmiany są bardzo widoczne i w sumie dla kogoś, kto ogląda kolejne wcielenia Tomasza Terlikowskiego z perspektywy ponad blisko 25 lat, nie są one w końcu tak wielkim zaskoczeniem. Pamiętam fazy fascynacji pana Tomasza ekumenizmem, protestantyzmem, prawosławiem, mistycyzmem, judaizmem czy też dla odmiany bardzo pryncypialnym antyliberalizmem. Problem w tym, że wielu ludzi nie nadąża za tak częstą i tak gwałtowną zmianą wizerunku. A ponieważ Tomasz Terlikowski żongluje swoimi wizerunkami publicystycznymi z wyjątkową umiejętnością, zakłopotani tym nie bardzo wiedzą, jak to skomentować.

Jak już wspominałem w poprzednim tekście, sam bardzo długo zwlekałem z pisaniem takiego podsumowania. Ale w końcu, na miłość Boską, niby dlaczego mamy akceptować uzus Terlikowskiego do tego stopnia, żeby pisać o nim tylko tak, jak on sobie życzy? Jest uczestnikiem wymiany opinii na rynku idei w Polsce i może być oceniany tak samo jak publicyści „Krytyki Politycznej”, „Gazety Wyborczej” czy – dla równowagi – publicyści „Do Rzeczy”.

Problem w tym, że Terlikowski przejął niedobrą cechę „Wyborczej”. W przypadku różnicy zdań od razu reaguje ubieraniem krytyków w strój ludzi niegodziwych – agresorów, którzy nie tyle mają inne poglądy czy robią coś na czyjeś zlecenie lub w wyniku jakichś niejawnych uzależnień. Najlepiej z sugestią o czysto finansowym tle takiego uzależnienia. To fatalna maniera i Tomasz Terlikowski powinien się jej wyzbyć.

Jedyne, co mnie zadziwia, to jego przekonanie, że nikt takich manipulacyjnych technik prowadzenia sporu nie zauważy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Stop dla spowiedzi?

Zuzanna Dąbrowska

Radykalni antyklerykałowie idą na totalną wojnę z Kościołem. W sieci pojawiła się petycja dotycząca wprowadzenia zakazu spowiadania dzieci. Temat szybko podchwyciła lewica

Rafał Betlejewski chciałby zakazać katolikom praktykowania ich wiary

FOT. TOMASZ URBANEK/DDTVN/EAST NEWS

Pod koniec października performer i zadeklarowany przeciwnik Kościoła katolickiego Rafał Betlejewski udostępnił w Internecie petycję pt. „Zakaz spowiedzi dla dzieci poniżej 16. roku życia". Aktywista, związany niegdyś z wchodzącą w skład Grupy TVN stacją TTV, przekonuje, że „spowiedź przedwcześnie konfrontuje dzieci ze światem dobra i zła, gdy nie mają jeszcze w pełni rozwiniętych możliwości rozumienia swoich działań", oraz że „spowiednikami są ludzie, którzy nie mają odpowiedniego przygotowania psychologicznego". Pada oskarżenie, że spowiedź może być formą przemocy. Petycja ma trafić do Sejmu, który następnie podjąłby inicjatywę ustawodawczą realizującą założony cel.

Choć zbiórka podpisów trwa już trwa już prawie trzy miesiące, to na razie, patrząc na skalę medialnego szumu, próba odebrania osobom poniżej 16. roku życia prawa do realizowania praktyk religijnych nie spotkała się z dużym poparciem – petycję podpisało nieco ponad 6 tys. internautów. Jednakże jest blisko celu ustawionego jako 7,5 tys. podpisów.

Rafał Betlejewski z oburzeniem odrzuca zarzuty, jakoby jego akcja miała związek z promocją wydanej niedawno książki (pod wiele mówiącym tytułem „365 lekcji religii dla całej rodziny, która chce się wyzwolić"). I choć nie widać szerokiego poparcia społecznego dla ograniczenia możliwości przystępowania do spowiedzi dzieci, to temat szybko i bardzo chętnie podchwycili lewica oraz związani z nią publicyści.

CHÓR ZACHWYCONYCH

Zachwytu nie kryje prof. Magdalena Środa. „Z oświeceniowym zadowoleniem obserwuję akcję zbierania podpisów pod propozycją zakazu spowiedzi dla osób, które nie przekroczyły 16. roku życia. W ogóle uważam, że członkostwo w różnych religiach powinno być sprawą decyzji dorosłych ludzi" – przyznała na łamach „Gazety Wyborczej". Jej zdaniem „katolicka formuła odpuszczania grzechów przez spowiedź bardzo spłyca moralność". Rzecz jasna, nie brakuje żelaznego, a pozbawionego pokrycia w faktach argumentu przeciwników Kościoła o tym, że „każdy ksiądz to pedofil". „Spowiednikami są wyłącznie mężczyźni, którzy pozbawieni są normalnego życia seksualnego i – w związku z tym

eprasa.pl e8066a002f

– są dość niezdrowo zainteresowani tym życiem u innych, w tym dzieci" – peroruje Magdalena Środa.

W podobne tony uderza zadeklarowany gej, pisarz Jacek Dehnel. Rzecz jasna, również w „Wyborczej" opublikował tekst pt. „Spowiedź to dla Kościoła narzędzie tresury owieczek". Stwierdza w nim: „Mnóstwo osób LGBT wie, że spowiedź uczy braku akceptacji i nienawiści do samego siebie i nienawiści do innych (co mówię również z własnego ciężkiego doświadczenia)". Dehnel jest nieco bardziej łaskawy niż Środa, ponieważ wskazuje, że być może nie trzeba zakazać zupełnie spowiadania dzieci, a jedynie zmienić formę takiej spowiedzi. „W Polsce 15-latek może legalnie uprawiać seks, ale nie może zadecydować o tym, czy w niedzielę pójdzie czy nie pójdzie na mszę, bo jego rodzice mogą mu to w majestacie prawa nakazać" – konkluduje pisarz. Nie widzi braku logiki w popieraniu inicjatywy prowadzącej do sytuacji, w której osoba w wieku 15 lat będzie mogła uprawiać seks, ale nie będzie mogła pójść do spowiedzi.

Podobnie działacz Młodej Lewicy Krzysztof Wroński, zajmujący się w młodzieżówce kwestiami „świeckiego państwa", nie widzi braku logiki w – z jednej strony – totalnej dowolności i konieczności akceptacji wyboru przez dzieci jednej z wielu możliwych płci – a z drugiej strony zakazie spowiedzi osób niepełnoletnich. „Pora zakazać spowiedzi dzieci. Nie ma zgody na zmuszanie dziecka do traumatycznego przeżycia, które serwowane jest przez przedstawiciela kościelnej mafii" – podkreśla Wroński na Twitterze. Choć komentarze pod wpisem działacza były przede wszystkim krytyczne, to pojawiły się też pomysły – pisząc wprost – totalitarne. „Uważam, że najlepiej by było dla polskiego prawa, by uchylić tajemnicę spowiedzi i zacząć ścigać księży, którzy uchylają się od jej ujawnienia" – postuluje jeden z internautów.

Co prawda, pomysł zakazania spowiadania dzieci nie znalazł jeszcze odzwierciedlenia w programie Lewicy, jednak wydaje się, że to kwestia czasu. Na razie formacja domaga się usunięcia ze szkół lekcji religii. „Wycofamy religię ze szkół, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze przekażemy na dodatkową naukę języka angielskiego" – czytamy w części programu Lewicy zatytułowanej „Świeckie państwo".

Nieco trzeźwiej niż Betlejewski, Środa, Dehnel oraz młodzi lewicowcy spogląda na sprawę Joanna Podgórska z „Polityki". Publicystka nie nawołuje do wprowadzenia zakazu spowiadania, jednak upatruje w całej sytuacji szansę na osłabienie pozycji Kościoła. „Polska religijność to w dużej mierze bezrefleksyjne podporządkowanie się tradycji. Dziecko się chrzci, posyła do komunii, bo tak było zawsze, bo tak wypada. Choć coraz więcej osób z tych tradycji rezygnuje. Dyskusja nad petycją Betlejewskiego, choć szans na zmianę prawa nie niesie żadnych, może skłonić wiele osób, by przemyślały formę obecności Kościoła w swoim życiu" – pisze w jednym z tekstów.

KONSTYTUCJA JUŻ NIEWAŻNA?

Jednak bez względu na to, czy ktoś domaga się zakazu spowiadania dzieci „tu i teraz" czy też spogląda na ten temat w bardziej zniuansowany sposób, musi zmierzyć się z faktami. A te są następujące – art. 53 par. 1 konstytucji głosi: „Każdemu zapewnia się wolność sumienia i religii". Paragraf 3 brzmi z kolei tak: „Rodzice mają prawo do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania moralnego i religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami". Rzecz jasna, nie ma mowy o zmuszaniu do praktyk religijnych, jednak posyłanie dzieci do pierwszej komunii, z którą wiąże się „wejście" w sakrament pokuty i pojednania, bezsprzecznie stanowi realizację gwarantowanego przez ustawę zasadniczą prawa rodziców. Nie wspominając o prawie dziecka do przystępowania do spowiedzi.

Paragraf 5 art. 53 konstytucji głosi co prawda, że „wolność uzewnętrzniania religii może być ograniczona jedynie w drodze ustawy i tylko wtedy, gdy jest to konieczne do ochrony bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego, zdrowia, moralności lub wolności i praw innych osób", jednak nie jest możliwe udowodnienie, że spowiadanie osób poniżej 16. roku życia zawsze i w każdym przypadku stanowi zagrożenia dla ich zdrowia właśnie (do czego próbują przekonywać entuzjaści petycji). Katarzyna Józefowska, działaczka Lewicy z Wielkopolski, twierdzi w jednym z facebookowych wpisów, że Betlejewski powinien powołać się także na międzynarodowe przepisy dotyczące praw dziecka.

Antyklerykałom nie pomaga nawet ks. Wojciech Lemański, przedstawiciel „Kościoła otwartego". W rozmowie z „tęczowym" portalem Vibez.pl (na którym jedną z kategorii artykułów jest LGBTQ+) ksiądz wskazuje, że kapłani są przygotowani do spowiadania nieletnich. „W trakcie nauki w seminariach duchownych jesteśmy przygotowywani do pracy z dziećmi i młodzieżą niezależnie od tego, czy chcemy uczyć w szkołach i przedszkolach" – mówi ks. Lemański, znany z liberalnego światopoglądu. Twierdzi, że zajęcia prowadzone w sposób właściwy pomagają w kształtowaniu u spowiedników empatii oraz inteligencji emocjonalnej, a te pozwalają na odpowiednie podejście do dzieci i młodzieży. „A także uczą traktowania wyrzutów sumienia jako drogowskazów dla osobowości, a nie ostatecznego wyroku. Rozmawiamy o kategoriach moralnych odpowiednich dla ludzi na różnym stopniu rozwoju i w różnym wieku. Zdajemy sobie sprawę, że jak dziecko ma 10 lat, to jego rozumowanie, wrażliwość i odpowiedzialność jest inna niż u 17-latka czy u osoby dorosłej. Według mnie systemowo to działa" – wskazuje ksiądz posługujący w parafii św. Andrzeja Boboli w Łodzi-Nowosolnej. Ksiądz Lemański tłumaczy też, że rodzice mogą przecież posłać dziecko do komunii, gdy ma np. 9 lub 10 lat i jest nieco bardziej dojrzałe, a więc nie należy patrzeć na spowiedź jako krzywdę nic nierozumiejącego malucha.

Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł uważa, że postulat sformułowany przez Rafała Betlejewskiego to kolejna z odsłon trwającego od lat ataku na Kościół. – Antychrześcijańskie szaleństwo nie zna granic. Żyjemy w świecie gigantycznego ataku na najważniejsze wartości i chodzi tu o zniszczenie religii, tożsamości. To będzie trwało – przekonywał wiceszef MS w rozmowie z telewizją Trwam.

Z perspektywy prawa chęć zakazania spowiedzi dzieci wydaje się niemożliwa do wprowadzenia. Jednocześnie warto pamiętać, że nie ma wymaganej minimalnej liczby podpisów, by Sejm zajął się daną petycją (w przeciwieństwie do projektów obywatelskich). I choć najprawdopodobniej inicjatywa antykościelnego aktywisty spali na panewce, to już widać, że temat znajduje poklask i ma swoich zwolenników. Na razie nielicznych, jednak to może się zmienić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

Dla kogo są urzędy

Łukasz Zboralski

Urzędy w Polsce otwarte są w tych godzinach, w których Polacy są w pracy. Czyj interes jest ważniejszy – prawie 38 mln obywateli czy kilkuset tysięcy urzędników, którzy mają ich obsługiwać?

Każdy, kto próbował umówić się prywatnie do dentysty, doskonale wie, że mu się to uda. Zwykle dzwoni po godz. 15–16 i umawia dogodny dla siebie termin, często po południu, by zdążyć na zabieg po pracy. Dlaczego dentyści przyjmują w takich godzinach? To bardzo proste – bo chcą mieć klientów. Trudno mieć klientów, gdy przyjmuje się w godzinach, w których oni przeważnie pracują…

To dlaczego urzędy w Polsce otwarte są akurat w tych godzinach, w których przeciętny Kowalski zajęty jest zarabianiem na życie? I dlaczego, żeby załatwić rozmaite sprawy – a administracyjne nakazy zmuszają nas wciąż do załatwiania wielu spraw, m.in. wróciliśmy z powrotem do obowiązkowego zgłoszenia, że zamierzamy wyciąć drzewo na własnej ziemi, które posadziliśmy własną ręką – Polacy muszą wyrywać się z pracy albo wręcz marnować dni swojego urlopu?

GODZINY I TERMINY

Składanie podań i uzyskiwanie zgód w urzędach (a przypomnę, że np. od lat 90. objętość dokumentów związanych z pozwoleniem na budowę domu urosła 65-krotnie!), gdy ma się na to czas od godz. 7 do 15, względnie od 8 do 16, zawsze było zajęciem uciążliwym. Uciążliwym oczywiście dla petentów, bo urzędnicy mieli – i mają – komfortowe godziny pracy.

Swój komfort w pracy mocno zresztą sobie poprawili od momentu pandemii koronawirusa. Najpierw w urzędach – jak w ośrodkach zdrowia – się zabarykadowano. Potem zaczęto wpuszczać petentów, ale pojedynczo, w maseczkach i po wcześniejszym umówieniu się na wizytę. Wcześniejsze anonsowanie w wielu urzędach pozostało, choć po pandemii nie ma śladu. W ten sposób urzędnicy potrafią zapewnić sobie tylu petentów dziennie, ilu sami uznają za stosowne.

Byłoby nieuczciwie nie zauważyć, że trochę (ale tylko trochę) problem wizyt w urzędach zaczęła rozwiązywać cyfryzacja. Dzięki temu kilka spraw da się już załatwić przez Internet – choćby składając tą drogą wnioski.

Jednak wciąż tak podstawowe i częste sprawy, jak np. rejestrację samochodu, załatwiać trzeba osobiście. Bo urzędnik

eprasa.pl e8066a002f

musi wydać nam tymczasowy dowód rejestracyjny – choć dowodu od dawna wozić ze sobą nie trzeba i wpis w elektronicznym systemie jest widzialny dla wszystkich organów, w tym policji. A potem trzeba się znów pofatygować po dokument stały. Ba, można już nie zmieniać tablic rejestracyjnych po zakupie auta, ale trzeba przyjechać pod urząd, odkręcić tablice i pokazać je pani w okienku, która swoim okiem oceni, czy są jeszcze „dobre" czy jednak każe nam wziąć nowe. I nieważne, że gdyby nikt samochodu nie sprzedawał, to jeździłby dalej na tych „niedobrych" tablicach, oraz że to kierowca zgodnie z prawem sam ma dbać o to, by tablice były czytelne (a więc sam zorientuje się, że musi je zmienić).

Wydajemy na to wszystko, czyli na utrzymanie administracji w kraju, według szacunków między 20 a 25 mld zł rocznie. Czy za taką cenę możemy się domagać przynajmniej otwarcia urzędów w godzinach, w których łatwo moglibyśmy nadać bieg swoim sprawom?

Ludzie próbowali dowiedzieć się tego od dawna. W rządowym portalu biznes.gov.pl, w zakładce „Głos przedsiębiorcy", gdzie można było wyrazić swoje zdanie, są takie oto wpisy już z 2016 r.

„Godziny pracy urzędów są kompletnie niedostosowane do potrzeb korzystających. Co z tego, że niektóre urzędy są czynne w czwartek dwie godziny dłużej, skoro już w piątek kończą pracę o godz. 13.00? […] Przedsiębiorca musi zdążyć do urzędu do godz. 15.00... Urząd czynny od poniedziałku do piątku od 10.00 do 18.00 byłby dużym ułatwieniem nie tylko dla prowadzących działalność, ale i dla pracowników, którzy muszą wziąć wolne, żeby coś załatwić w jakimkolwiek urzędzie, ponieważ często pracują do godziny 16.00".

„Często jedynym momentem, w którym mam czas załatwić sprawy związane z podatkami i ZUS, są soboty. Urzędy skarbowe, ZUS-y – może trochę krócej niż w dni powszednie, ale powinny pracować w soboty".

Jest tam też odpowiedź urzędowa, która dziwnym trafem przypomina pisma, które z lokalnego GS dostawał niezadowolony klient w znanym skeczu „Skarga" z lat 70. z udziałem Jana Kobuszewskiego: „Dziękujemy za zgłoszenie pomysłu za pośrednictwem Głosu Przedsiębiorcy. W wyniku wstępnej weryfikacji stwierdziliśmy, że realizacja Twojej propozycji może napotkać istotne trudności. Dzieje się tak najczęściej wtedy, gdy jej wprowadzenie w życie wymagałoby bardzo gruntownej przebudowy obecnie funkcjonującego porządku prawno-instytucjonalnego lub nie zawiera konkretnej propozycji zmian w prawie […]".

SYSTEM ZE ZNAMIONAMI PATOLOGII

Na niedostosowanie godzin prac urzędów do możliwości pententów w Polsce wskazywano zresztą jeszcze wcześniej – dekadę temu. W styczniu 2012 r. posłowie Artur Dębski, Tomasz Makowski, Wojciech Penkalski i Adam Rybakowicz napisali „interpelację nr 937 w sprawie godzin obsługi interesantów w urzędach państwowych".

System, w którym obywatel musi dostosować się do urzędów, a nie one do niego, jest zły

Zwrócili uwagę na ten problem i wskazali jednocześnie, że „analiza przepisów prawa dotyczących administracji państwowej, szczególnie zatrudniania oraz rozkładu czasu pracy pracowników w niej zatrudnianych, nie wskazuje, aby istniały prawne przeszkody dla wprowadzenia bardziej dogodnych godzin pracy urzędów (zwłaszcza obsługi interesantów)".

Parlamentarzyści zauważyli, że prawo daje możliwość przesunięcia godzin pracy urzędu na godziny 10–18 częściej niż raz w tygodniu, i proponowali, by urzędy tak otwarte były przez trzy dni tygodniowo. Zaznaczali przy tym, że chodzi tylko o tę część urzędów, która odpowiada za obsługę interesantów. „Dostępność obywateli do urzędów wydaje się oczywistą koniecznością dla poprawnego funkcjonowania państwa. Obecny system wydaje się nosić znamiona patologii, w której to obywatel musi dostosowywać się do urzędów, a nie te drugie do obywatela" – napisali.

Posłom odpisał ówczesny wiceminister Włodzimierz Karpiński. W odpowiedzi napisał, że przede wszystkim pomylili adresata, bo to do innego kolegi z rządu powinni byli wysłać. Dodał, że samorządy mają wolność w kształtowaniu polityki kadrowej. Wyliczył akty prawne i zakończył sformułowaniem, że „tego typu rozwiązanie umożliwia pracodawcom samorządowym efektywną organizację procesu pracy urzędów administracji samorządowej, dostosowaną do potrzeb i oczekiwań mieszkańców". Krótko mówiąc – nie wykazał żadnego zainteresowania tym tematem.

Po 11 latach tkwimy więc dalej w tym samym, jak to się wyrazili posłowie, „systemie wydającym się nosić znamiona patologii". Wystarczy spojrzeć na godziny pracy urzędów na stronach internetowych.

Urząd Miasta Katowice. Biuro Obsługi Mieszkańców czynne do godz. 15.30, a w piątki tylko do 14 (wiadomo, weekend to weekend) i w dwa dni do godz. 17 (a więc, kto skończy pracę o 16 i ma blisko, może jeszcze zdąży dojechać w komunikacyjnym szczycie). Wydział Uprawnień Komunikacyjnych pracuje dokładnie tak samo.

Urząd Miasta Gdańsk pracuje codziennie do godz. 16, w piątki – do 15. Tylko w jednym dniu (środa) otwarty jest do 17.

Urząd Miasta Rzeszowa. Wydział komunikacji pracuje do 15.30, tylko w środy do 17.30. Pozostałe wydziały podobnie.

Nie inaczej jest w małych gminach. Urząd Gminy Lesznowola (Mazowieckie). Czynny codziennie do 16, tylko w poniedziałek w godzinach 9.30–17.30.

Urząd Miejski w Sokółce (Podlaskie) pracuje codziennie do 15.30, z wyjątkiem wtorków, gdy czynny jest do 16.

I tak jest prawie w całym kraju.

Oczywiście można powiedzieć, że do pewnego stopnia sami petenci winni są tego, że muszą brać urlop, by załatwić jakąś sprawę. Wszak w samorządach w bezpośrednich wyborach wybierają sobie władzę, od której zależy również to, w jakich godzinach ta władza zamierza być dla nich dostępna.

Jeśli jednak samorząd się nie kwapi, to może władza centralna powinna jednak nie tyle dozwalać prawnie na przedłużanie prac urzędów, ile to wymusić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Biuro (dla) nowej generacji:

Drucianka Campus na Pradze-Północ

W ramach rewitalizacji Warszawskiej Fabryki Drutu, Sztyftu i Gwoździ (Drucianki) na Pradze-Północ powstanie Drucianka Campus

To realizowany przez Liebrecht & wooD innowacyjny kampus mixed-use oferujący 42 tys. mkw. powierzchni biurowej oraz ponad 7,5 tys. mkw. dodatkowej powierzchni przeznaczonej na część handlową, usługową oraz eventową

TROCHĘ HISTORII

Fabryka została utworzona w 1899 r. pod nazwą Warszawska Fabryka Drutu, Sztyftów i Gwoździ, a za jej koncepcję architektoniczną odpowiadał jeden z czołowych polskich architektów końca XIX w. – Kazimierz Loewe. Przedsiębiorstwo szybko stało się głównym producentem gwoździ, łańcuchów, siatki metalowej i drutu na terenie ówczesnego Królestwa Polskiego. Ze względu na produkowany asortyment fabryka nazywana była popularnie Drucianką. Była zarządzana przez Belgów, z siedzibą zarządu spółki w Brukseli. Historia Drucianki jest niezwykle interesująca, pełna zwrotów, zmian właścicielskich i tych związanych z produkowanym asortymentem. Po przeszło 101 latach funkcjonowania fabrykę ostatecznie zamknięto w 2000 r.

Istniejąca zabudowa stanowi zwarty zespół złożony z jedno- i dwukondygnacyjnych obiektów fabrycznych z początku XX w. wpisanych do Rejestru Zabytków i ujętych w Gminnej Ewidencji Zabytków. Najcenniejsze obiekty tego historycznego zespołu są przykładem architektury przemysłowej, wykorzystującej ceglany detal architektoniczny czerpiący z form neogotyckich.

CZAS NA DRUGIE ŻYCIE

Od czasu zamknięcia w 2000 r. kompleks popadał w ruinę, a zabytkowe budynki czekały na uwolnienie swojego potencjału. W 2019 r. obejmujący ponad 5 ha teren dawnej Warszawskiej Fabryki Drutu, Sztyftów i Gwoździ nabyła firma Liebrecht & wooD, która zdecydowała się nadać temu miejscu zupełnie inny

eprasa.pl e8066a002f

charakter. Dzięki temu, pod szyldem Drucianka Campus, powstanie unikalna przestrzeń mixed-use, odpowiadająca na potrzeby zarówno pracodawców, jak i wracających do biur pracowników.

– Industrialny charakter warszawskiej Pragi kryje w sobie ogromny potencjał do tworzenia wyjątkowych miejsc. To właśnie tutaj zrealizujemy naszą kolejną miastotwórczą rewitalizację – Drucianka Campus. Doświadczenia pandemii pokazały, że najlepszą przestrzeń dla biznesu tworzą projekty biurowe, nie tylko zapewniające miejsce do pracy, lecz także uwzględniające inne potrzeby pracowników. Drucianka Campus to wielofunkcyjne przedsięwzięcie nowej generacji. To projekt nie tylko oferujący uzupełnioną funkcjami komercyjno-usługowymi nowoczesną powierzchnię biurową klasy A, lecz także inwestycja zorientowana na well-being i lepszą jakość życia całej społeczności skoncentrowanej wokół niej. Zabytkowe zabudowania zostaną odrestaurowane i uzupełnione nowoczesną, lekką architekturą, a cały teren fabryki zostanie przekształcony w atrakcyjny wizualnie obszar, pełen zieleni i miejsc do wypoczynku. Życie będzie się tu toczyło zarówno w godzinach pracy, jak i poza nimi – mówi Magdalena Bartkiewicz-Podoba, CEO Liebrecht & wooD w Polsce.

NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI ARCHITEKTURA

Kompleks fabryczny czeka spektakularna rewitalizacja. Najnowsza inwestycja Liebrecht & wooD to projekt architektoniczny autorstwa pracowni Juvenes-Projekt (pod kierownictwem architektów Jacka Świderskiego i Krzysztofa Matwiejuka). Drucianka Campus to sześciokondygnacyjne budynki biurowe o łącznej powierzchni 42 tys. mkw. oraz adaptowane do nowych funkcji obiekty zabytkowej fabryki. Zabudowę dopełnią pełne zieleni przestrzenie publiczne placów i ciągów pieszych, które w powiązaniu z funkcjami usługowymi umożliwią korzystanie z ogródków gastronomii, aktywny wypoczynek, rekreację oraz organizację plenerowych wydarzeń.

– Drucianka Campus będzie nastawiona na rozwój talentów, integrację i wymianę myśli. Inspirowaliśmy się kampusami Doliny Krzemowej, gdzie kluczowymi kwestiami są rozwój, edukacja, inspiracja, kreatywność. To inwestycja wielofunkcyjna nowej generacji i dla nowej generacji. Osoby wchodzące dziś na rynek pracy są zorientowane na rozwój osobisty oraz przykładają dużą wagę do równowagi pomiędzy pracą a życiem prywatnym. Obiekty typu mixed-use to wyjście naprzeciw tym oczekiwaniom – podkreśla Magdalena Bartkiewicz-Podoba.

Potwierdzają to także badania Liebrecht & wooD, zrealizowane przez Kantar na pracownikach biur znajdujących się na terenie Centrum Praskiego Koneser. Zdecydowana większość z nich wybrałaby pracę w biurze zlokalizowanym w zrewitalizowanej przestrzeni, która wpływa pozytywnie na ich samopoczucie.

Z MYŚLĄ O LUDZIACH

Drucianka Campus jest projektem przygotowywanym zgodnie z zasadami nowoczesnego, zrównoważonego budownictwa. Już na etapie prac koncepcyjnych uwzględniono w nim standardy zgodne z polityką ESG wdrażaną w firmie Liebrecht & wooD. Druciankę Campus wyróżniać będzie dbałość o ochronę środowiska i energooszczędność, jak również o aspekty społeczne. Najnowsze przedsięwzięcie Liebrecht & wooD będzie posiadało certyfikat BREEAM na poziomie Outstanding.

– Nie tylko wystrój biura ma wpływ na samopoczucie i efektywność pracowników. Ważne jest także jego odpowiednie otoczenie i udogodnienia, z których mogą korzystać wszyscy. Chcemy wychodzić naprzeciw oczekiwaniom rynku, dlatego kolejny raz zdecydowaliśmy się na projekt zakładający rewitalizację znacznego obszaru miasta – wyjaśnia Magdalena Bartkiewicz-Podoba.

LOKALIZACJA NA DZIŚ I NA JUTRO

Fabryka Drucianka zlokalizowana jest przy ul. Kijowskiej (przy Trasie Świętokrzyskiej) na warszawskiej Pradze-Północ, w jednej z najdynamiczniej rozwijających się dzielnic stolicy. Bliskie sąsiedztwo kluczowego węzła komunikacyjnego, którym jest Dworzec Wschodni, zapewnia szybki dostęp do licznych linii: kolejowych, tramwajowych, autobusowych, a w przyszłości – także III linii metra. Praga-Północ jest destynacją bardzo chętnie wybieraną przez polskie i międzynarodowe firmy, które poszukują oryginalnej i przyjaznej przestrzeni biurowej, stymulującej kreatywność, rozwój talentów oraz integrację pracowników.

Realizacja Drucianka Campus potrwa do 2025 r. Rozpoczął się już proces wynajmu poszczególnych powierzchni w projekcie. Koszt całej inwestycji wyniesie niemal 150 mln euro.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl e8066a002f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

O końcach świata

Piotr Gociek

„The Last of Us" to udana ekranizacja głośnej gry postapo. Ale nie w jej źródłach tkwi przyczyna sukcesu

Głośny to był spór, choć przede wszystkim w społeczności graczy: w roku 2007 znany krytyk Roger Ebert (dziś już nieżyjący) zastanawiał się w jednym z artykułów, czy gry mogą być dziełem prawdziwej sztuki (high art). Wątpił. Wytykał, że gry to przede wszystkim celowanie i strzelanie na różne sposoby w różnych fabułach, poszukiwanie skarbów (gracz rzekłby: zdobywanie trofeów) oraz kontrolowanie przez gracza biegu wydarzeń. Wszystko to razem sprawia, że nie możemy mówić o sztuce, raczej o nowym sporcie – argumentował Ebert. Gniewnie polemizował z nim wtedy Clive Barker, autor horrorów, malarz oraz twórca gier wideo („Undying" czy „Jericho").

Wiele się zmieniło od tamtego czasu, zdążyły powstać gry zachwycające grafiką, scenariuszem czy muzyką, ale pytanie pozostaje aktualne. Jedna zaś rzecz nie ulega wątpliwości: ten przemysł rozrywki rozwija się dynamicznie, a do zajęć przed ekranem, lecz z kontrolerem, a nie pilotem, przekonuje się coraz więcej osób. Jestem jedną z nich.

GRY WIDEO W HOLLYWOOD

Innym długim sporem jest ten trwający wewnątrz Hollywood: Czy da się z powodzeniem przenieść gry wideo na ekran? Doświadczenia są mieszane, filmy na podstawie wielkich hitów – jak „Tomb Raider" czy „Uncharted" – okazywały się zwykle wielkim rozczarowaniem. Nawet gdy zyskiwały popularność, trudno było je nazwać czymś więcej niż tylko raczej płaską rozrywką. Otoczoną kultem, jak seria „Resident Evil", albo po prostu familijną rozrywką, jak „Sonic The Hedgehog". Zarzuty były rozmaite, fani gier mieli pretensje o brak „ducha gry", zwykli odbiorcy dostrzegali głównie przewidywalne fabuły i płaskich bohaterów. Pieniądze zdarzało się zarabiać, i to grube, ale pieniądze można robić na wszystkim.

Premiera najnowszego serialu HBO może przynieść nową falę poszukiwań materiału źródłowego w świecie gier. „The Last of Us" to opowieść godna uwagi, zarówno z sukcesem zachowująca treść oryginału, jak i dokładająca do niego pierwszorzędne aktorstwo tudzież dobrą reżyserię. Oryginał pojawił się w roku 2013 i było to dzieło studia Naughty Dog, dystrybuowane przez Sony Computer Entertainment. Później dostaliśmy ciąg dalszy, czyli grę „The Last of Us II" (2020), a ostatnio także remake pierwszej gry przygotowany z myślą o możliwościach najnowszej konsoli Sony, czyli PlayStation 5.

Serial HBO w dziewięciu odcinkach oparty jest właśnie na pierwszej grze – na małym ekranie widzimy tych samych bohaterów, podobną fabułę, scenerię żywcem z gry wyjętą, a czasem nawet tych samych aktorów, którzy obdarzali głosem postacie z gry (choćby Merle Dandridge, znaną nie tylko z licznych seriali i teatru, lecz także z gier z serii „Half-Life" czy „Everybody's Gone to the Rapture"). Ale oczywiście

eprasa.pl e8066a002f

nazwiskami, które od samego początku sprawiły, że zrozumiały szum wokół adaptacji popularnej gry był jeszcze większy, były: Pedro Pascal i Bella Ramsey. Pascal to dziś jedna z największych gwiazd kina i telewizji, Bella Ramsey podbiła zaś serca widzów rolą młodziutkiej lady Mormont w serialu „Gra o tron".

HISTORIA POSTAPOKALIPTYCZNA

To dobry moment, by wyjaśnić, cóż to za opowieść. Trafiamy do współczesnej Ameryki, ale losy świata potoczyły się inaczej: w roku 2003 pandemia wytłukła niemal całą ludzkość. Winne nie są wirusy, lecz niebezpieczny pasożytniczy grzyb, zmutowana odmiana rodzaju *Cordyceps.* Rozprzestrzeniający się drogą powietrzną grzyb opanowuje ciała nosicieli i zamienia ich w krwiożercze bestie. To odświeżenie pomysłu znanego już w science fiction – w słynnej powieści „Cieplarnia" Briana W. Aldissa („Hothouse", 1962) inteligentne grzyby nie tylko opanowywały ludzi, lecz także potrafiły wejść z nimi w symbiozę. Podobny mechanizm wykorzystali obcy podbijający Ziemię w powieści Roberta A. Heinleina „Władcy marionetek", tyle że nie byli grzybami, lecz istotami ślimakopodobnymi.

Metoda nie ma tak wielkiego znaczenia, liczy się efekt: „The Last of Us" jest kolejną historią postapokaliptyczną o świecie, w którym mało kto ocalał, a ci, którzy jeszcze żyją, by przetrwać, nie cofają się przed niczym. W chwili, gdy pierwsza gra tej serii trafiała do sprzedaży, świat przeżywał już nową falę fascynacji końcem świata dzięki serialowi „The Walking Dead" oraz jego licznym naśladownictwom. O ile jednak „The Walking Dead" stał się czymś w rodzaju skrzyżowania bardzo brutalnego neowesternu (karawana ocalałych przeżywa kolejne przygody, mierząc się z kolejnymi zagrożeniami) oraz opery mydlanej (większość wątków zdecydowanie była przeciągnięta i historia stała się mocno powtarzalna), o tyle „The Last of Us" przesłaniem i klimatem przypomina bardziej ekranizację „Drogi" Cormaca McCarthy'ego albo „Ludzkie dzieci" nakręcone wedle prozy P.D. Jamesa.

W tego typu opowieściach zawsze najważniejszą decyzją jest ustanowienie granicy prawdopodobieństwa. Prawdziwe fabuły o tym, jak mógłby wyglądać prawdziwy koniec świata, to nie materiał na dobrą rozrywkę: są zbyt ponure. Przypomina mi się choćby sowiecki film Konstantina Łopuszańskiego „Listy martwego człowieka" (1987) wedle scenariusza Strugackich – głęboko traumatyczne przeżycie. W Polsce mieliśmy „Obi-oba: koniec cywilizacji" (1984) Piotra Szulkina, film tak okrutny w swej wymowie, że niemal nie do zniesienia. Prawdziwy koniec świata to bowiem otchłań rozpaczy i beznadziei (dlatego najbardziej wstrząsający obraz apokalipsy w kinie hollywoodzkim to wspomniana „Droga", powtarzająca ponure przesłanie literackiego oryginału, powieści Cormaca McCarthy'ego).

I kolejna ważna rzecz: widzieliśmy już tyle rozmaitych końców świata na małym i dużym ekranie, czytaliśmy tak wiele opowiadań i powieści, że cały koncept pt. „Niedobitki ludzkości na zgliszczach cywilizacji" stał się niemiłosiernie zgrany, zaczął się zamieniać we własną parodię. W tej sytuacji mniej istotny staje się punkt wyjścia (przyczyny kataklizmu, późniejsze postapokaliptyczne pejzaże) od tego, czy ktoś potrafi te zużyte motywy nie tyle ułożyć na nowo, ile raczej stworzyć z nich tło dla interesujących bohaterów – interesujących na tyle, że chce się nam emocjonalnie zainwestować w obserwowanie ich losów. No i najważniejsze – by nie być jedynie pustym ćwiczeniem z czarnowidztwa opowieść o końcu świata, musi być opowieścią o nadziei.

Tu serial „The Last of Us" sprawdza się znakomicie. Joel (Pedro Pascal), starzejący się, wciąż zżerany rozpaczą przemytnik, podejmuje się trudnego zadania – przemycenia młodej dziewczyny Ellie (Bella Ramsay) z rządzonego przez militarną juntę Bostonu na tereny opanowane przez buntowników zwanych Świetlikami. Wieść niesie, że w odróżnieniu od innych frakcji żyjących w potrzaskanym świecie Świetliki nadziei nie porzuciły i pracują nad lekarstwem. Ellie, która okazuje się odporna na infekcję, może być więc kluczem do przetrwania ludzkości. Oczywiście to też motyw zgrany, ale scenariusz i aktorzy potrafili pospołu dać mu nowe życie. Odyseja przez spustoszoną i śmiertelnie niebezpieczną Amerykę to okazja do skonfrontowania się bohaterów z rozmaitymi wersjami strategii przetrwania, ale część

„THE LAST OF US"
USA 2023

epizodów to także retrospekcje objaśniające, jak poszczególne figury znalazły się w tym, a nie innym miejscu, i dlaczego dokonują takich, a nie innych wyborów.

To wciąż nie brzmi lepiej niż opisywanie jakiejś rutyny postapo, ale zrealizowane jest tak, jak powinno być w przypadku prestiżowej produkcji HBO – w wersji premium. Nie szczędzono tu ani na aktorów, ani na efekty, ale najbardziej istotny jest fakt, że bez trudu udaje się nakłonić widza to zawieszenia niewiary: błyskawicznie zaczynamy kibicować rozbitkom z tego smutnego świata i wraz z nimi przeżywamy rozczarowanie, gdy kolejne deski ratunku okazują się przegniłe, a kolejne wersje prawdy – nieprawdziwe. Nie ma sensu, bym zagłębiał się w szczegóły fabuły; ci, którzy grali w grę, znają ją na pamięć; tym, których to ominęło, nie będę psuł oglądania. „The Last of Us" jest przedsięwzięciem udanym nie dlatego, że to ekranizacja gry wideo, lecz dlatego, że dorasta do metafory postapo jako odbicia życia każdego z nas. Każdy człowiek na świecie kładzie się spać z nadzieją, że jutro będzie lepsze lub przynajmniej nie gorsze od dnia poprzedniego. I każdego dnia jakieś bańki pękają, a inne kuszą niespodziewaną obecnością na horyzoncie. Tym, co liczy się na końcu, są rzeczy najprostsze: kogo pokochamy, komu zaufamy i dla kogo się poświęcimy. I czasem z tych rzeczy małych wyrastać mogą rzeczy wielkie.

Wracając zaś do sporu Rogera Eberta z Clive'em Barkerem, amerykański krytyk swoją ripostę zaopatrzył w uwagę tyleż celną, ile kąśliwą. Mówi się, że skoro puszka zupy Campbella może być dziełem sztuki, to wszystko może nim być. Owszem, dopowiada Ebert, ale owa puszka stała się dziełem sztuki tylko dlatego, że w ramach sztuki umieścił ją Warhol, a nie dlatego że zawiera zupę. Z samego faktu, że w grach wideo znajdziemy fabułę, bohaterów i nowy świat, nie wynika jeszcze, że są dziełem sztuki. Twórcy serialu „The Last of Us" przemienili jeden rodzaj rozrywki w inny: fakt, że niegłupi. Gry wideo wciąż nie doczekały się jednak ani swojego Rembrandta, ani nawet Warhola. Być może z samej ich istoty wynika, że nigdy ich nie doczekają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Lęki i krzyki

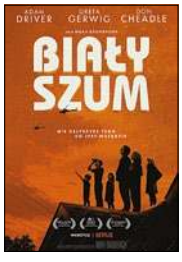

★★★★★☆

REŻ. NOAH BAUMBACH
„BIAŁY SZUM" („WHITE NOISE")
USA 2022

wyst. Adam Driver, Greta Gerwig

Witajcie w zwykłej amerykańskiej rodzinie z kręgów uniwersyteckich – on toczy spory, czy o Hitlerze (jego specjalizacja, choć nie zna niemieckiego) można opowiadać tak jak o Presleyu, ona jedzie na tabletkach, które pomagają jej zwalczać lęk przed śmiercią; są i dorastające dzieciaki ze swoimi fobiami i fascynacjami. Ekranizacja powieści Dona DeLillo „Biały szum" od pierwszych scen domowych wprowadza nas w kakofonię współczesności: wszyscy mówią jednocześnie, grają radio, telewizja, syn też gra (na odległość) – w szachy z wielokrotnym mordercą. Chaos. A w tle groźba zagłady, którą niesie skażenie zabójczym chemicznym specyfikiem.

Chociaż słynna książka DeLillo ukazała się w roku 1985, dziś zdaje się zaskakująco aktualna. Nie dlatego, że ją Noah Baumbach jakoś specjalnie uwspółcześniał, lecz dlatego, że wielcy amerykańscy pisarze ostatniego półwiecza, od Pynchona przez DeLillo do Wallace'a (dodałbym i Dicka), zmagają się z tym samym problemem w tym samym świecie – rozpadem rzeczywistości, kryzysem rodziny, niemożliwym do pogodzenia wyzwaniem powszechnej szczęśliwości dzięki powszechnej konsumpcji (nawet nadkonsumpcji – w filmie jakże ważną rolę odgrywa supermarket), ersatzami rzeczywistości (od mediów po narkotyki). Krótko mówiąc, ze światem bez Boga, w którym nic nie jest satysfakcjonujące, a wszystko – groźne. Tyle że żaden z nich nie ma odwagi Michela Houellebecqa, by wskazać przyczyny tego kryzysu.

Fani powieści mają pretensje do Baumbacha, że zrobił film zanadto po swojemu, mnie zdaje się to zaletą. Niełatwą, częściowo eksperymentalną książkę zamienił w charakterystyczną dla siebie opowieść o kryzysie rodzinnym, pozostawiając w tle wątki apokaliptyczne. Wybrał nieco bardziej farsową formę dla części scen, zachował sporo dialogów w formie wprost z kart powieści – ja to kupuję. No i nie da się nie wspomnieć o fenomenalnej robocie aktorskiej: Adam Driver (po raz pierwszy na ekranie postarzony i nieco zgorzkniały), Greta Gerwig, Don Cheadle (profesor nie tylko od Presleya, lecz także od interpretowania wypadków samochodowych w filmach jako hymnów ku czci Ameryki). Wreszcie coś w Netflixie przerasta typowy poziom netflixowy (tak jak wcześniej „Irlandczyk" czy „Roma"). A spór o sens adaptacji przeniesie się zapewne na oscarowe salony. ©℗

NOWE SERIALE: „WITAMY W CHIPPENDALES"

Goło, ale nie wesoło – opowieść o założycielu słynnej grupy taneczno-rozbieranej The Chippendales nie jest optymistyczną historią sukcesu, lecz zazdrości i zbrodni. Historię opowiadano już w różnych dokumentach true crime, serial Roberta Siegela robi zresztą wrażenie takiej fabularnej wersji dokumentu, bo poza scenami tanecznymi brakuje mu rozmachu. Uwagę zwracają aktorzy: Kumail Nanjiani jako zakompleksiony biznesmen i Murray Bartlett jako choreograf Chippendales. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Witamy w Chippendales" („Welcome to Chippendales"), USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Robert Bresson* ***„Na los szczęścia, Baltazarze!" („Au Hasard Balthazar"),*** *Francja 1966* HBO max
- *reż. Piotr Rosołowski, Elwira Niewiera* ***„Syndrom Hamleta",*** *Polska/Niemcy 2022* CANAL+ ONLINE
- *sezon 1* ***„Różowe lata 90.",*** *USA 2023*

eprasa.pl e8066a002f

Jaki jest jak

KINO

Są jeszcze takie miejsca, w których słowo „nauczyciel" brzmi dumnie. Żeby je poznać, trzeba się jednak wyprawić na koniec świata. Na przykład do Bhutanu. Ten nieduży kraj, położony u stóp Himalajów, ma problem zgoła nieegzotyczny. Młodym, wykształconym mieszczuchom marzy się emigracja. Bohater filmu, ku zgrozie babci nierozumiejącej, jak można porzucić „dobrą, rządową posadę", stara się o australijską wizę. Daje też do zrozumienia, że w szkole pracuje z musu. Przełożeni, zirytowani postawą Ugyena, każą mu spędzić kilka ostatnich miesięcy brakujących do końca kontraktu na kompletnym wygwizdowie. W tytułowej Lunanie nikt nie słyszał o Internecie, elektryczność jest efemerydą, w piecu zaś pali się wysuszonym łajnem jaków. Ugyen, ostentacyjnie odcinający się od kulturowych korzeni, myśli o dezercji.

★★★★☆☆

REŻ. PAWO HOYNING DORJI
„LUNANA. SZKOŁA NA KOŃCU ŚWIATA" („LUNANA. A YAK IN THE CLASSROOM")
BHUTAN/CHINY 2019

wyst. Sherab Dorji, Ugyen Norbu Lhendup, Kelden Gurung

Cóż, znamy ten schemat choćby z opowieści o katorżnikach, którzy pokochali Syberię. Nasz zesłaniec też w końcu oswoi się z zimnem, doceni zalety życia w zgodzie z naturą, przejdzie wewnętrzną przemianę i zrozumie, że jest „karmicznie związany" z ośnieżonymi szczytami. Odkryje, że miejscowi pasterze śpiewają lepiej niż zachodnie gwiazdy. Ba! Uwierzy nawet w misję pedagogiczną. Patriotyzm autorów filmu może jest naiwny, ale większy niż Himalaje. Szacunek! ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WŁOSKA ZARADNOŚĆ

cda.pl

Gina Lollobrigida, „najpiękniejsza kobieta świata", żyła długo, lecz z kinowych ekranów zniknęła już pół wieku temu. Przegrała rywalizację z Sophią Loren. Ostatnią okazję do udowodnienia, że ma talent aktorski, dali jej Amerykanie. W komedii „Dobry wieczór, pani Campbell" Gina zagrała rezolutną Włoszkę, która zamiast pokornie znosić los sieroty, obarczonej nieślubnym potomstwem, wyłudza alimenty od byłych jankeskich lotników. Fabuła zgrabnie ilustruje powojenny renesans Italii, zaskakująco szybko bogacącej się i odzyskującej szacunek, choć autorzy scenariusza stąpają po kruchym lodzie. Bo signora Carla, jakkolwiek urocza, jest przede wszystkim kłamczuchą oraz tupeciarą. Koncept z trzema ojcami (który nie przestaje inspirować filmowców) dał tu nadspodziewanie dobre efekty również dzięki poczuciu humoru aktorów zza wielkiej wody. Jednak to Lollobrigida rządzi i dzieli. Taką ją zapamiętajmy. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. MELVIN FRANK
„DOBRY WIECZÓR, PANI CAMPBELL" („BUONA SERA, MRS. CAMPBELL")
USA 1968

wyst. Gina Lollobrigida, Telly Savalas, Shelley Winters

SZWEJK I ZAKONNICA

arte

Każda okazja jest dobra, by przypomnieć, że europejskie kinematografie, choć wojnę z Hollywood przegrały już dawno, mają się jednak czym pochwalić. Gdy piszę te słowa, kanał Arte udostępnił dokumenty o kinie hiszpańskim oraz czesko-słowackim i zapowiada następne. W niespełna półgodzinnym filmie da się pokazać niewiele: kilka kultowych scen, urywki wywiadów z reżyserami tudzież garść ciekawostek. Autorów serii najbardziej kręcą sceny erotyczne. Chętnie też oddają głos kobietom, ponieważ patriarchatowi współczesne kino mówi stanowcze „Nie!". Czesi, reprezentowani przez dzielnego wojaka Szwejka i „złote pokolenie" lat 60., jawią się filmową potęgą. Zwłaszcza na tle Hiszpanów, których honor ratują tradycyjnie Buñuel (który prawie wszystkie filmy nakręcił poza ojczyzną) i Almodovar. O klątwie Don Kichota, kiczowatych horrorach czy komediach o głupawym policjancie Ferrantem lepiej byłoby zapomnieć. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MATTHIAS LUTHARDT, LAURENT HEYNEMANN
„120 LAT KINA!"
FRANCJA/NIEMCY 2017

GRA TYGODNIA: „ONE PIECE ODYSSEY"

★★★☆☆☆

Manga „One Piece" wydawana jest od ponad ćwierć wieku, niemal równie długo produkowane jest anime. Bohaterami historii jest grupa piratów stanowiących załogę Słomkowego Kapelusza, która marzy o odnalezieniu najwspanialszego skarbu na świecie. Gier na bazie tej franczyzy nie ma zbyt wiele, fani sięgną zatem po wszystko, co ma „One Piece" w nazwie, ale pozostali nie dostrzegą tu niczego oprócz eksploracji półotwartego świata, prostej fabuły i podobnych do wielu innych japońskich produkcji walk w systemie turowym. Czy to wystarczy? Fanom mangi być może. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *jRPG*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, PS4, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *ILCA, Bandai Namco Ent.*

eprasa.pl e8066a002f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Słowacki od początku

Od dwóch tomów korespondencji rozpoczęła się wyjątkowa edycja, jedno z najważniejszych przedsięwzięć Roku Polskiego Romantyzmu, którym był rok miniony – „Dzieła zebrane" Juliusza Słowackiego. Poprzednie pełne wydanie dzieł twórcy „Kordiana" i „Beniowskiego", dokonane przez profesorów Krzyżanowskiego i Kleinera, miało miejsce w połowie zeszłego wieku, funkcjonuje wyłącznie w obiegu antykwarycznym, nie spełnia też wymogów nowoczesnego edytorstwa, nie obejmuje notatek i listów, pomija mutacje wielu utworów, z oczywistych powodów nie uwzględnia również odnalezionych w ostatnich latach rękopisów z cennymi tekstami i rysunkami. Zresztą o czym tu mówić, odczytywanie wciąż na nowo kanonu literatury narodowej to nasza – proszę wybaczyć patos – powinność i zaszczyt. I jeśli mamy zachować naszą tożsamość kulturową, to właśnie przez takie działania. Dlatego deliberowanie nad tym, czy Słowacki nas zachwyca czy nie, nie ma sensu, bo żeby na to gombrowiczowskie pytanie odpowiedzieć, trzeba tegoż Słowackiego znać.

A z tym nie jest najlepiej. Polacy coś tam wiedzą o „Balladynie", bo – jak śpiewał Młynarski – „rwą dziewczyny z zapałem rwą, a maliny czerwone są", dzięki szkole wiedzą, że w „Kordianie" „zabił się młody", ale już „Księdza Marka" czy „Sen srebrny Salomei" spowija gęsta mgła tajemniczości, gdzieś się podział wspaniały „Horsztyński", z poematami jest bodaj jeszcze gorzej. „Beniowskiego" zbywa się ogólnikami, bo „trudny" i „nadto dygresyjny", „Anhelli" – „niezrozumiały", „Król-Duch"… Szkoda słów.

Z tym większą radością przystąpiłem do lektury pierwszych tomów przygotowanej przez PIW edycji „Dzieł zebranych" Juliusza Słowackiego pod redakcją zespołu kierowanego przez prof. Marka Troszyńskiego. Tym bardziej że listy, od których prezentacji zaczyna się to wydanie, traktowane były przez dawnych literaturoznawców po macoszemu, zupełnie inaczej niż dziś, a to – jak powiada prof. Troszyński – „za sprawą prawdziwej eksplozji tzw. dzieł otwartych i olbrzymiej kariery literatury faktu".

Listów Słowackiego nie ma wielu, tomy zawierają ich 274 (plus 26 skierowanych do niego); wobec korespondencji takiego np. Zygmunta Krasińskiego to pryszcz, a przecież ta korespondencja, przez Kleinera uważana za marginesową, objętościowo stanowi jedną piątą całego jego dorobku. Najlepiej znane są listy Słowackiego do matki, piękne, pełne wielkiej miłości, ale nie czułostkowe. Ciekawe są listy do wujostwa Januszewskich, przyjaciela poety – malarza Wojciecha Kornelego Stattlera, do Zygmunta Krasińskiego, a i do wydawcy, Eustachego Januszkiewicza, który jednak – co wynika z korespondencji – ani tej twórczości nie rozumiał, ani za jej autorem nie przepadał.

Niektóre listy Słowackiego zyskały sławę, powiedziałbym, nadmierną, jak np. ten do Zygmunta Krasińskiego z lutego 1841 r., swoją drogą widziany jedynie przez Juliana Klaczkę, któremu wypada wierzyć, ale przymusu nie ma. A proponował w nim poeta przyjacielowi po piórze: „Weźmy się za ręce i zrzućmy z Parnasu tego pijanego barda litewskiego". Cóż, stosunek Słowackiego do Mickiewicza był znany i z całą pewnością temu pierwszemu zaszkodził.

Niewątpliwie najświetniejsze są listy odnoszące się do konfliktu poety z towiańczykami, a w konsekwencji do jego wystąpienia z Koła. Adresował je do Andrzeja Towiańskiego, do Mickiewicza, do całego Koła, a wreszcie „do przyszłych pokoleń Polaków". W porę dostrzegł w działaniach Mistrza Andrzeja „dążność rosyjską", tak kłócącą się z jego nieprzejednanym stosunkiem do Moskali. Protestował po mszy za cara Aleksandra, w późniejszych poczynaniach Koła widząc już jawne akty zdrady narodowej. A przecież to Towiańskiemu dedykował „Genezis z Ducha". Tyle że odbierze mu następnie tę dedykację, przekazując ją płk. Mikołajowi Kamieńskiemu, bohaterowi spod Grochowa i Ostrołęki, który w 1845 r. nazwie wiernopoddańczy adres do cara naigrywaniem się z polskiej krwi. Skądinąd ten adres wysyłany już nie tylko przez Towiańskiego, lecz także całe Koło (towiańczycy uznali, że przyczyną buntu brata Juliusza była szatańska pycha!) nie dotrze do cara, i to z tego powodu, że brat Seweryn Pilchowski, który miał go doręczyć, przepije pieniądze na podróż do Petersburga… Właściwie to nie dziwota, że tych swoich braci nazywanych „biednymi duchami pozbawionymi ludzkiej godności" oceni w końcu poeta jako „szpital pełny zwariowanych i ugiętych materialną siłą fiksatów".

Proszę Państwa, pamiętajmy o klasykach i czytajmy ich. A Słowackiego szczególnie. Jego „Dzieła zebrane" liczyć będą 20 tomów, w tym siedem tomów dramatów, trzy poematów, dwa korespondencji, poza tym proza, publicystyka, a także nieprezentowane w ten sposób rysunki poety, z których niemałej części nigdy nie reprodukowano. Wiedzieliśmy dotąd, że Słowacki świetnie władał piórem, a teraz przekonamy się, że i z ołówkiem, kredką i akwarelą radził sobie niezgorzej. Jak to geniusz. ©℗

★★★★★★
JULIUSZ SŁOWACKI „KORESPONDENCJA". TOMY XVII I XVIII „DZIEŁ ZEBRANYCH"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2022

eprasa.pl e8066a002f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kiedyś, czyli teraz

Powieść poetycka" – twierdzą jedni, inni odpowiedzą, że „poemat prozą". „Poetycka" kojarzy nam się z eterycznością, zwiewnością, liryką, może nostalgią, ale „Szatański pomiot" to opowieść brutalna, bolesna, w treści niemal dokumentalna, w formie za to zaskakująca. I bardzo współczesna, choć u jej źródeł leżą wspomnienia sprzed wielu dekad.

Nie są to wspomnienia autora. Zoltán Mihály Nagy mówi w jednym z wywiadów: „Na świat przyszedłem w 1949 r., nie dysponuję więc własnymi wspomnieniami dotyczącymi tamtego okresu". Jakiego? Czas końca drugiej wojny światowej na węgierskim Zakarpaciu leżącym w granicach Ukrainy, gdzie wychował się i mieszka Nagy. Powieść o „ruskim mirze" wkraczającym do jego małej ojczyzny pisał w czasach komunizmu. Gdy w 1991 r. ukazała się na Węgrzech, okazała się sensacją wydawniczą. Wznawiana, ekranizowana, opatrzona przez autora kolejnymi częściami wyniosła go do panteonu współczesnych twórców węgierskich.

Łatwo byłoby ograniczyć recepcję tej opowieści o zgwałconej przez sowieckiego żołdaka dziewczynie do kwestii historycznych – tak, jest to część odzyskiwania pamięci w czasach sowieckich zakazanej: egzekucje, wywózki, tortury, gwałty i rabunki. Ale na pierwszym planie dostajemy historię dziewczyny, która gorzko zapłacić musiała za odruch w obronie zwykłej ludzkiej godności. I o maleńkiej społeczności, w której żyje bohaterka wraz z bękarcim dzieckiem (tytułowym „szatańskim pomiotem"). Z jednej strony broniona przez ojca (wspaniała figura w prozie Nagya), z drugiej bezlitośnie poniewierana przez sąsiadów, którzy zamiast ofiary widzą dziewczynę podwójnie winną: bo się wychyliła (czytaj: sama prosiła o tragedię) i szatański pomiot kocha i wychowuje.

Ta ostatnia kwestia obrasta nowym znaczeniem w czasach inwazji Rosji na Ukrainę, gdy niektórzy próbują przekonywać, że jest Ukraina „sama sobie winna". Skąd ten odruch, wtedy i teraz? Widzę w nim nieudolną próbę samoobrony tych, którzy milczeli: bo jeśli jednak ofiara, a nie współwinna, to gdzie oni sami byli, gdy trzeba było pomóc?

Poza wszystkim pozostaje wielka wartość prozy, która jednocześnie jest poematem, niby wolnym, a jednak rytmicznym, wewnętrznie ułożonym. „Szatański pomiot" to jedna z wielkich książek ostatniego półwiecza w naszej części Europy. Tyleż piękna, co rozdzierająca. ©℗

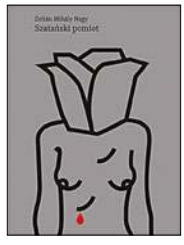

★★★★★★
ZOLTÁN MIHÁLY NAGY „SZATAŃSKI POMIOT" WARSZTATY KULTURY 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zestawione przez prof. Rafała Habielskiego wspomnienia o Mieczysławie Grydzewskim. Redaktor „Wiadomości Literackich" (i innych pism) m.in. oczami Wierzyńskiego, Wittlina, Czapskiej, Goetela czy obu Zbyszewskich.

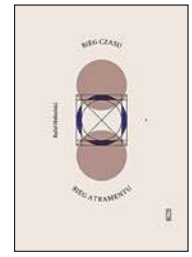

AUTORZY RÓŻNI „BIEG CZASU, BIEG ATRAMENTU" PIW

Teksty z prasy (także z „Do Rzeczy"). Od dylematów Polskiej demokracji i polityki zagranicznej, przez analizę narastającego problemu Rosji, do komentarza do sporów rozpalających widownię w dwóch kadencjach PiS.

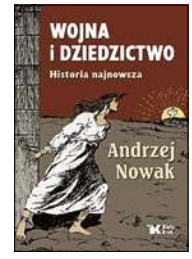

ANDRZEJ NOWAK „WOJNA I DZIEDZICTWO" BIAŁY KRUK

Zgrabna i niegłupia powieść o rozpaczy, zemście i winie ukazuje się przy okazji premiery filmu. Ekranizacja ocaliła jedynie atmosferę, książka jest dużo ciekawsza, a portret młodego Edgara Allana Poe – intrygujący.

LOUIS BAYARD „BIELMO" ZYSK I S-KA

Niezbadane są ścieżki Pana: oto okultystyczna powieść, którą za młodu napisał autor później na wskroś katolicki („Katedra"). Po wydaniu książki Huysmans się nawrócił, u kresu życia był oblatem u benedyktynów. ©℗ ***Piotr Gociek***

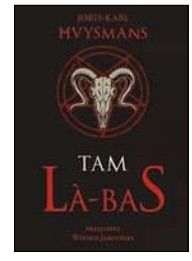

JORIS-KARL HUYSMANS „TAM. LÀ-BAS" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: „FUNKY KOVAL"

Kultowy komiks, który od 1982 r. budował legendę miesięcznika „Fantastyka" – wersja zebrana (cztery albumy) i z ciekawymi dodatkami. Przywrócono kilka kadrów z pierwotnej wersji, dołożono epizod „Na białym szumie" oraz fragment nieukończonej piątej części. Plus opowiadanie Macieja Parowskiego (scenarzysty) „Ostatnia przygoda Funky'ego" oraz opinie czytelników. Jest i wspomnieniowy tekst Krzysztofa Lipki-Chudzika. ©℗ ***Piotr Gociek***

MACIEJ PAROWSKI, JACEK RODEK, BOGUSŁAW POLCH „FUNKY KOVAL" WYDAWNICTWO KURC 2023

eprasa.pl e8066a002f

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Ikony Nowosielskiego

Sto lat temu, 7 stycznia 1923 r., w Krakowie przyszedł na świat Jerzy Nowosielski. Okrągła rocznica była dla Sejmu Rzeczypospolitej sposobnością ku temu, by ogłosić Nowosielskiego jednym z patronów roku 2023, co z kolei, rzecz jasna, owocuje wystawami i wydarzeniami kulturalnymi poświęconymi patronowi.

Malarz, rysownik, scenograf. A także filozof i prawosławny teolog. Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy ikon. I dziś właśnie o ikonach. A jak ikony, to Supraśl i tamtejsze muzeum ikon, oddział Muzeum Podlaskiego. Miejsce szczególne i zdecydowanie warte zobaczenia, miejsce, w którym od 2019 r. prof. Jerzemu Nowosielskiemu poświęcona jest jedna z sal. Od 7 stycznia natomiast sala ta „za sprawą dzieł Artysty wypożyczonych od Zgromadzenia Sióstr Oblatek w Tyńcu, staje się przestrzenią nawiązującą do kaplicy". Ikony dla sióstr oblatek są owocem przyjaźni prof. Nowosielskiego z tynieckimi benedyktynami. Wystawę uzupełniają dzieła pochodzące z kolekcji prywatnych. ©℗

FOT. MARIA BERĘSOWICZ

GDZIE? *Muzeum Ikon w Supraślu*
KIEDY? *do 19 grudnia*

FOT. DOROTA MARTA/MUFO

FOTOGRAFIKA

Termin „fotografika" wprowadził do języka polskiego Jan Bułhak w 1927 r. Po to, by odróżnić fotografię artystyczną od tej zawodowej. Słowo „grafika" włączało ją do świata plastyki. Wystawa w MuFo gromadzi niemal 150 oryginalnych odbitek fotograficznych z całego kraju, by jak najpełniej zaprezentować polski nurt artystyczny w fotografii. To opowieść o początkach i historii fotografii artystycznej w Polsce (odbitki z lat 1927–1978), ale też o fotografikach, o tworzonych przez nich organizacjach i zrzeszeniach. ©℗

GDZIE? *Muzeum Fotografii w Krakowie – MuFo*
KIEDY? *do 7 maja*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czas pożegnań

Co chwila odchodzi kolejna z wielkich postaci muzyki popularnej. Osiemdziesięcioletni Walijczyk, tak jak wcześniej Cohen, Bowie czy Dylan, mierzy się na najnowszej płycie z ostatecznością. Tyle że nie w sposób dosłowny.

John Cale już w latach 60. przeszedł do historii jako współzałożyciel Velvet Underground. Jako solista nagrywał odważne artystycznie płyty i produkował przełomowe albumy The Stooges, Nico, Patti Smith czy Happy Mondays.

Nagrywając „Miłosierdzie", zaprosił do studia młodych wykonawców, którzy mogli nadać jego kompozycjom nieprzewidywalne barwy. Byli to przedstawiciele współczesnej elektroniki (Laurel Halo, Actress, duet Sylvan Esso), poszukujące zespoły Animal Collective i The Fat White Family czy zjawiskowe wokalistki – Weyes Blood i Argentynka Tei Shi.

To mroczna, duchowa płyta, na której Cale miesza obrazy z przeszłości z rozważaniami nad problemami współczesnego świata, który zmierza do samozagłady. W piosenkach pojawiają się postacie Nico, Marilyn Monroe i Davida Bowiego, a także rytualny marsz krwi, bezrozumne zbrojenia się Amerykanów czy topniejący lód na biegunach. W tym zgiełku wizerunków i metafor przewijają się zjawy ludzkie próbujące odszukać się nawzajem. „Mercy" jest przepiękną, halucynogenną podróżą, ale wymagającą od nieprzygotowanego słuchacza pewnego wysiłku. ©℗

★★★★★★
JOHN CALE
„MERCY"
DOMINO

★★★★☆☆
IGGY POP
„EVERY LOSER"
ATLANTIC

Siedemdziesięciopięcioletni ojciec chrzestny punk rocka potwierdza ten tytuł. Jedna z piosenek nosi nawet tytuł „Neo punk". To bardzo dobry album rock'n'rollowy, choć mało odkrywczy. Grają na nim szacowni goście z zespołów Guns N' Roses, Red Hot Chili Peppers, Pearl Jam i Foo Fighters.

★★★★★☆
NEMANJA RADULOVIĆ
„ROOTS"
WARNER CLASSICS

Serbski wirtuoz skrzypiec o demonicznym wyglądzie wykonuje bałkańskie, żydowskie, latynoskie, a nawet japońskie melodie ludowe we współczesnych aranżacjach. Radulović czaruje dźwiękami i nastrojami. Radosna płyta nie tylko dla bywalców filharmonii. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

Posąg złotej waginy w Teatrze Dramatycznym
FOT. OLA SKOWRON/EAST NEWS

Bez podsumowania

Grzegorz Kondrasiuk

W światku branży teatralnej zaroiło się od podsumowań minionego roku. Krytycy na wyprzódki ogłaszają rankingi, które to panie dzieju były w nim najlepsze i najgorsze spektakle, reżyserie i role, które najkoszmarniejsze skandale. Problem polega na tym, że niesławnej pamięci roku 2022 w polskim teatrze nijak podsumować się nie da. Choćby dlatego, że nie przyniósł nam ani arcydzieła, które bezspornie pogodziłoby wszystkich, ani żadnego olśniewającego debiutu

Tak naprawdę to trudno teatralny rok 2022 zobaczyć jako osobną jednostkę, bo zgubił się w szerszym kontinuum następujących po sobie katastrof. Z normalnością w kulturze – jaka by ona nie była – pożegnaliśmy się wraz z pandemią, a zaraz potem już była wojna. Ktoś mógłby zapytać: A co to ma wspólnego z teatrem? Sporo – bo po pandemii teatr musiał odbudowywać więzi z publiką, a ta musiała przypomnieć sobie, że teatr w ogóle istnieje.

Z kolei skutkiem wojny na Ukrainie jest przekonstruowanie struktury społecznej, a więc i publiczności, wraz z przybyciem ukraińskich uchodźców. Do tego doszła radykalna zmiana akcentów w debacie publicznej. Pewne tematy i ujęcia z dnia na dzień się brzydko zestarzały, a ponieważ teatr żywi się właśnie tym bieżącym dniem, to nijak nie dało się tego ukryć. Bywało podczas przedstawień nieadekwatnie, przykro i głupio, i to pomimo starań artystów sceny, świadomych przecież, że jakże słuszny jeszcze wczoraj przekaz nagle rozpadł im się w proch. Pełnych czułości, narcyzmu i pacyfizmu emanacji – takich jak np. okrzyknięte wydarzeniem sezonu „Dziady" Mai Kleczewskiej (bo przecież nie Mickiewicza) – nie uratowała nawet ukraińska flaga wnoszona na ukłony, choć publika zazwyczaj karnie wstawała do owacji.

Z premiery na premierę polski teatr roku 2022 stawał się coraz bardziej nieadekwatny, jak kawałek wyspy, która oderwała się od macierzy i gdzieś tam sobie dryfuje, jak w pamiętnym finale „Undergroundu" Kusturicy. Niejednokrotnie, w ramach niniejszej rubryki, zdawałem państwu relacje z tych wrażeń. Szczytem zaś tego odklejenia było sławetne, rytualne wniesienie posągu wielkiej złotej waginy do „odzyskanego" przez Monikę Strzępkę warszawskiego Teatru Dramatycznego.

Ludzie teatru dobrze wiedzą, że nic tak nie wzmacnia zainteresowania jak skandal. Stosują więc tego typu tanie prowokacje, przeciągając kijem po prętach żelaznego ogrodzenia, licząc na odzew medialny i shit storm w mediach społecznościowych. Problem polega na tym, że nie są na zewnątrz, ale wewnątrz tego, kurczącego się coraz bardziej, podwórka. Gorzej, bo w pogoni za odhaczaniem aktualnych tematów, uzależnieni od poczucia przynależności do swych enklaw, gdzie każdy myśli tak samo, przegapiają prawdziwą realność.

A tymczasem ten niewyraźny rok 2022, po cichutku, na kocich łapkach, przyniósł nam naprawdę radykalny przełom. Co nim jest? Kryzys finansów publicznych, inflacja i wzrost cen prądu. Tego jeszcze dobrze nie widać, a ostatnimi, którzy to zobaczą, są wrażliwi i czuli artyści – ale cięcia w budżetach uderzą właśnie w instytucje kultury. Zgadnijcie, kto będzie pierwszy w kolejce, kiedy rząd i samorząd staną przed decyzją – czy zamknąć szkoły, przychodnie czy teatry i galerie sztuki współczesnej. Naiwnym będąc, liczyłem na jakąś debatę na ten temat, na wspólny namysł środowiska nad planem zapobiegawczym, opartym na poczuciu odpowiedzialności, racjonalizację wydatków, samoograniczenie dawnego rozpasania na publicznym garnuszku (bo zdarzało się, oj zdarzało…). Zamiast tego ten i ów (na czele z rektorem Akademii Teatralnej Wojciechem Malajkatem) ogłosił, że wina PiS, i załatwione. Na chwilę.

Gdybym miał wskazać naprawdę ikoniczne dla roku 2022 w polskim teatrze zdarzenie – to nie byłyby to ani krakowskie „Dziady" z Konradą zamiast Konrada, ani złota wagina eksponowana w foyer Teatru Dramatycznego. Dla mnie symbolem niesławnego roku 2022 – o którym więcej mam nadzieję napisać za dwa tygodnie – jest najnowszy spektakl „Imagine" Krystiana Lupy. W jego zombiastycznym zamyśle czają się cała miniona wielkość i nędza polskiego teatru. Rozpadające się strzępy mistrzowskiej szkoły reżyserskiej i aktorskiej, rozpisana na sześć godzin wiwisekcja mitu wielkiego artysty, pacyfistyczne iluzje, ślizganie się po krawędzi uniesień i autokompromitacji – oto przestrzeń, gdzie obecnie się znajduje polska kultura. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

Polityka jagiellońska na sterydach

Łukasz Warzecha

Czy Polska ma wystarczającą siłę, aby wziąć na swoje barki zadania cywilizowania ukraińskiego życia publicznego? Czy przyjęcie Ukrainy do NATO najbardziej nie obciążałoby Polski? Czy jesteśmy w stanie brać na siebie problem zrujnowanej gospodarki sąsiada?

Pojęcie polityki jagiellońskiej – postawionej w opozycji do polityki piastowskiej – przebiło się do opinii publicznej, gdy 29 sierpnia 2009 r., tuż przed 70. rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej, Radosław Sikorski, ówczesny minister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska, opublikował w „Gazecie Wyborczej" programowy tekst zatytułowany „1 września – lekcja historii". Zaczynał go następujący akapit, z dzisiejszej perspektywy brzmiący jednak dość groteskowo: „Niemcy przekształciły się w dogłębnie demokratyczne państwo. Rosja od bez mała 20 lat idzie drogą prób modernizacyjnych i demokratyzacyjnych, które – jak mamy nadzieję – uczynią z tego kraju równie wiarygodnego partnera i przyjaciela".

Nie bądźmy jednak dla Radosława Sikorskiego nadmiernie okrutni – różni politycy ulegali w różnych momentach złudzeniom na temat kursu Moskwy, z Barackiem Obamą i Donaldem Trumpem włącznie. Choć z drugiej strony trzeba pamiętać, że swój artykuł pisał Sikorski już po rosyjskim ataku na Gruzję, który nastąpił raptem rok wcześniej. Skąd zatem jego optymizm – trudno było powiedzieć wówczas i trudno powiedzieć dzisiaj. Należy go chyba po prostu umieszczać w ramach ogólnego kursu rządu Platformy na reset z Rosją, który przetrwał kilka pierwszych lat sprawowania władzy przez tamten obóz.

W swoim artykule minister Sikorski argumentował przeciwko koncepcji „polityki jagiellońskiej", wskazując, że jego zdaniem przyniosła ona Polsce klęskę w drugiej wojnie światowej, już wcześniej sprowadzając na nasz kraj poważne problemy narodowościowe. Stwierdzał: „Dlatego z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć: właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe. Jest nią natomiast nowoczesne państwo narodowe, przy czym przymiotnika »narodowy« używam nie w znaczeniu etnicznym, tylko politycznym, obywatelskim". Właściwym kierunkiem miał być ten na Zachód – w tym dobra współpraca z Niemcami i zaangażowanie w integrację europejską.

W 2009 r. Sikorski swoim artykułem i działaniami sprzeciwiał się polityce ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który starał się właśnie politykę jagiellońską realizować, wspierając m.in. Ukrainę po pomarańczowej rewolucji czy próbując ułożyć dobre stosunki z Litwą. Mało kto może to dzisiaj pamięta, ale jednym z pierwszych posunięć rządu Donalda Tuska po przejęciu władzy w 2007 r. było schłodzenie relacji z Kijowem.

PLANY OBARCZONE WADĄ

Kolejne kilkanaście lat dość boleśnie zweryfikowały niektóre tezy Sikorskiego, ale też spór o koncepcję polityki jagiellońskiej po 24 lutego objawił się w całkowicie nowym kontekście i znaczeniu. Koncepcja niegdyś lansowana przez paryską „Kulturę", szczególnie przez Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego, nabrała w dzisiejszej debacie nowego wymiaru znaczenia.

O polityce piastowskiej nikt już właściwie dzisiaj nie wspomina i nie traktuje jej jako alternatywy dla polityki jagiellońskiej, która coraz donośniej wybrzmiewa jako oficjalny program obozu władzy. Czy jest to proste powtórzenie Giedroyciowskiej idei? Nie, choćby z tego powodu, że kontekst się zasadniczo zmienił. Giedroyc i Mieroszewski uważali, że niepodległość Polski jest ściśle powiązana z niepodległością naszych wschodnich sąsiadów: Ukraińców, Litwinów, Białorusinów. Uznawali swój program wyzwolenia Europy Środkowej i Wschodniej z komunizmu oraz przyjaznych stosunków między leżącymi tam państwami za plan osiągnięcia przez Polskę trwałej niepodległości. Można by więc właściwie powiedzieć, że w dużej mierze, z wyjątkiem Białorusi, ten program został zrealizowany.

Plany i propozycje obu intelektualistów były jednak obarczone wadą, którą ma wiele podobnych koncepcji: zakładały spojrzenie w planie strategicznym, ale niekoniecznie uwzględniały bieżące i bliskie problemy. Natknął się na nie Lech Kaczyński, którego próba wprowadzenia w życie koncepcji zjednoczenia naszej części Europy pod sztandarem wspólnych celów się nie powiodła. Okazało się, że istnieje zbyt wiele odmiennych interesów.

Dzisiaj mamy do czynienia ze swego rodzaju paradoksem: animatorzy polskiej polityki zagranicznej, uniesieni falą, jak się zdaje, czysto emocjonalnego entuzjazmu wobec możliwości, które

eprasa.pl e8066a002f

rzekomo wyłaniają się z wojny rosyjsko-ukraińskiej, snują plany idące chyba znacznie dalej niż to, co postulowali Giedroyc z Mieroszewskim – a zarazem w nie mniejszym niż oni stopniu lekceważą konkretne problemy.

Polityka jagiellońska w wydaniu Giedroycia zakładała ogólnie dążenie do wyzwolenia narodów Europy Środkowej i Wschodniej. Jak pisał Zdzisław Najder: „Treść doktryny [Giedroycia] (w uproszczeniu) zawiera dwa składniki: 1. Polacy powinni się pogodzić z aktualnymi granicami ich państwa i nie wysuwać żadnych żądań rewizjonistycznych wobec Ukrainy, Białorusi i Litwy. 2. Polska powinna przyjaźnie popierać niepodległość tych państw i wzmacniać ich związki z zachodnią cywilizacją polityczną" (cytat za: P. Kowal, „Testament Prometeusza", Warszawa – Wojnowice 2018). Takie postawienie sprawy idzie jednak znacznie mniej daleko niż to, co wydaje się dzisiaj niewyrażonym wprost zamiarem polskiej elity.

Pierwszy problem z tym projektem to jego nieprzejrzystość i enigmatyczność. Można odnieść wrażenie, że zwłaszcza środowisko prezydenta, które wydaje się tu najbardziej zaangażowane, chciałoby powiedzieć znacznie więcej, niż mówi, lecz powstrzymuje się z obawy o reakcję obywateli.

Gdyby natomiast spróbować czytać między wierszami, można by zakładać, że docelową wizją jest jakaś forma bardzo bliskiego sojuszu z państwem ukraińskim. Tak można było rozumieć choćby zagadkowe słowa Andrzeja Dudy na temat braku granicy między Polską a Ukrainą, będące w części cytatem z Wołodymyra Zełenskiego, wypowiedziane podczas uroczystości rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja w ubiegłym roku. Zbiegło się to z pojawieniem się w debacie pierwszych koncepcji konfederacji czy też nawet federacji polsko-ukraińskiej.

Od tamtego czasu nie nastąpiło żadne uściślenie planów – zapewne również dlatego, że wbrew wielokrotnie powtarzanym, a całkowicie błędnym prognozom Rosja nie „przegrała", a wojna może trwać jeszcze bardzo długo. Natomiast czas na ewentualną realizację wszystkich wzniosłych wizji przyszedłby dopiero po jakimś rozstrzygnięciu konfliktu lub przynajmniej zaprzestaniu na dłużej działań zbrojnych.

WYMIERNE PROBLEMY

Druga kwestia to konkretne, wymierne problemy. Ukraina – o czym bardzo mało się dzisiaj w Polsce mówi – zwłaszcza w czasie wojny odeszła bardzo mocno od wzorca zachodniej demokracji, stając się krajem na poły autorytarnym, a do tego ogromnie skorumpowanym. To ostatnie nie jest oczywiście skutkiem wojny, natomiast wojna bardzo skutecznie zepchnęła kwestię walki z korupcją na plan dalszy. Być może nawet stworzyło wiele nowych okazji korupcyjnych, nie mamy jednak na ten temat żadnej konkretnej wiedzy. Czy Polska ma wystarczającą siłę, aby wziąć na swoje barki zadania cywilizowania ukraińskiego życia publicznego? Można poważnie wątpić. Zamiast zokcydentalizować Ukrainę, Polska sama mogłaby ulec orientalizacji. Skutkiem tego może być mnóstwo groźnych dla nas zjawisk, od rozplenienia się w naszym kraju ponownie korupcji w ukraińskim stylu do renesansu wyjątkowo brutalnej ukraińskiej przestępczości.

Wbrew wielokrotnie powtarzanym błędnym prognozom Rosja nie „przegrała", a wojna może trwać jeszcze bardzo długo

Kolejna sprawa to przyjęcie na siebie zobowiązań związanych z bezpieczeństwem Ukrainy. Znów – to nie pada wprost, ale z wypowiedzi przedstawicieli władzy można wywnioskować, że po zakończeniu działań zbrojnych na Ukrainie w taki czy inny sposób musiałaby ona zostać objęta zachodnimi gwarancjami. Podczas Forum Ekonomicznego w Davos mówił o tym w swoim zdalnym wystąpieniu nawet Henry Kissinger, stwierdzając, że dalsze wykluczanie członkostwa Kijowa w NATO nie ma sensu. Problem w tym, że takie zobowiązania z racji bliskości geograficznej obciążałyby przede wszystkim Polskę. Tym bardziej jeśli w ramach polityki jagiellońskiej „na sterydach" dodatkowo zawarlibyśmy z Ukrainą jakieś bilateralne przymierze, łączące się ze wzajemnymi gwarancjami bezpieczeństwa. Jasne jest, że takie gwarancje faktycznie działałyby tylko w jedną stronę.

Jest wreszcie zagadnienie stanu ukraińskiej gospodarki. Ukraina jest już dzisiaj państwem zrujnowanym. Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje spadek PKB Ukrainy w 2022 r. na jedną trzecią. Na ten rok MFW przewiduje bazowy scenariusz ze wzrostem o 1 proc., negatywny ze spadkiem o 12,5 proc. oraz pozytywny z 10-procentowym wzrostem. To statystyki gospodarczego upadku, który niechybnie by nastąpił bez zachodniej pomocy. Nawet gdyby przyjąć, że po wojnie – jakkolwiek i kiedy się ona skończy – Ukraina pójdzie drogą radykalnie prorynkowych reform, to bez ogromnego i niezwykle kosztownego wsparcia Zachodu nie da sobie rady. Czy nasze państwo jest w stanie brać na siebie znaczącą część tego ciężaru?

PODSTAWA DO DEBATY

Czy zatem polityka jagiellońska ma sens? Zależy, o czym konkretnie mówimy. W takiej umiarkowanej, w gruncie rzeczy, wersji, którą propagowali autorzy „Kultury", może na pewno być podstawą do racjonalnej debaty także dzisiaj, choć jej tezy wymagałyby aktualizacji. Jak np. traktować wciąż przecież niewykluczony wariant, przedstawiany jako propozycja na początku wojny przez Kijów, aby Ukraina zachowała pełną suwerenność (choć być może okrojona terytorialnie) w zamian za niewłączanie jej do struktur obronnych Zachodu? Czy dzisiaj takie rozwiązanie mieściłoby się w granicach tradycyjnej polityki jagiellońskiej czy już nie?

Trudno jednak przystać na politykę jagiellońską w jej radykalnej wersji, zakładającej przesunięcie mocno na wschód ciążących na nas zobowiązań związanych z twardym bezpieczeństwem, a na dokładkę owocującej nieuchronnym ściąganiem polskich standardów życia publicznego w dół poprzez powiązanie naszego państwa w jakiś sposób z państwem ukraińskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Janusz Korwin-Mikke

„Posłuchajcie, bracia miła!”*

FOT. ADOBE STOCK

Paweł Lisicki i Rafał A. Ziemkiewicz mają rację: opór przed podpisaniem proponowanych przez UE przepisów jest absolutnie uzasadniony

W mętnej wodzie najlepiej łowi się ryby”. To hasło przyświeca niemałej grupie ludzi, którzy w swoim czasie opanowali EWG, przerobili ją na Wspólnotę Europejską, tę na Unię Europejską – a obecnie pracują nad przekształceniem UE w państwo już jednolite. Nie da się więc dyskutować o suwerenności Polski bez zrozumienia, jak powstała Unia Europejska.

Kulisy powstania UE wyjaśniałem już niejednokrotnie – tu tylko krótki kurs. Zaczęło się od Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali stworzonej przez ludzi dość dalekich od Lewicy. Z czasem Wspólnotę rozszerzono na wszelkie towary, tworząc Europejską Wspólnotę Gospodarczą – i na tym etapie wkroczyła do niej Lewica.

Lata 60. i 70. to próba przejęcia przez Lewicę władzy siłą: w Niemczech szalała Frakcja Czerwonej Armii, we Włoszech Czerwone Brygady itp. Ruchy te poniosły klęskę – i ówczesny guru Lewicy, śp. Rudi Dutschke, rzucił wtedy hasło „długiego marszu przez instytucje”: „Koniec rzucania kamieniami w policję – wstępujemy do policji; koniec walki z opresyjnym państwem – zapisujemy się na urzędników państwowych; koniec walki z kapitalistyczną EWG – wchodzimy do EWG”.

I robimy, co trzeba.

Ta spiskowa strategia przyniosła oszołamiający sukces. Z pomocą angielskich „fabianów”, włoskich zwolenników Altiera Spinellego (wyrzuconego z Włoskiej KomPartii za... lewicowe odchylenie i przez towarzysza Benita Mussoliniego przechowywanego troskliwie na wysepce Ventotene, gdzie napisał poradnik, jak zlikwidować niepodległość państw Europy, będący biblią spiskowców), hiszpańskich bojowników z gospodarczym cudem gen. Franciszka Franco i – bodaj przede wszystkim – GOdF (czyli Wielkiego Wschodu Francji) oraz innych, pomniejszych, „Wielkich Wschodów” i podobnych pseudomasoneryj – Unię Europejską opanowała Lewica praktycznie w całości. O dziwo: d…kracje w poszczególnych krajach okazały się nieco bardziej odporne niż elity – ale tylko nieco.

ABY NIC NIE BYŁO JASNE

Strategia spiskowców polegała na komplikowaniu wszystkiego do tego stopnia, by nic nie było jasne. Pozawierano kilka sprzecznych ze sobą układów. Najważniejszy był traktat z Maastricht, w którym zawarta była gigantyczna manipulacja. Sformułowanie brzmiało: „Wysokie Układające się Strony wyrażają wolę utworzenia Unii Europejskiej” – i to zostało podpisane: jako świadectwo dobrych chęci. Tymczasem natychmiast zaczęto głosić, że tym samym UE już została utworzona – choć formalnie istniała tylko Wspólnota Europejska. Doszło do tego, że nawet część samych spiskowców jest dziś przekonana, że traktat z Maastricht Unię stworzył!

Niezrozumiałym aktem prawnym była zapomniana dziś konstytucja europejska (odrzucona przez Francję i Holandię – ludzie jej nie rozumieli i nie chcieli podpisać – ale przed tym wysłana w Kosmos (!), by mogli się z nią zapoznać również mieszkańcy Proxima Centauri). Po tej klęsce wypichcono traktat lizboński – sporządzony przezornie w formie nieprawdopodobnie zagmatwanych poprawek do odrzuconej konstytucji – i to przeszło (bo politycy nigdy nie mieli przed sobą tekstu jednolitego!). Jednak jedno było chyba oczywiste: odrzucona Konstytucja UE nie przewidywała możliwości wyjścia z UE (z EWG można było – i skorzystała z tego Grenlandia, co też jest curiosum, bo jest ona kolonią Królestwa Danii, które z UE nie

eprasa.pl e8066a002f

wyszło!) – a z UE wyjść można i w teorii, i w praktyce, co pokazało UK. To, że Polska może z UE wystąpić, nie oznacza jednak, że jest suwerenna: konstytucja sowiecka też dawała republikom „związkowym" prawo do wystąpienia z ZSRS, ale nikt nie twierdził, że np. Kazachska SRS jest suwerenna!

Akt założycielski WE był prawnym curiosum, bo składała się ona z „państw, idei i niektórych osobistości" (!), przy czym lista tych osobistości nie została nigdy ustalona (a przynajmniej podana do publicznej wiadomości). Wspólnota Europejska była zresztą przykładem kolejnej wpadki lewicowych spiskowców, bo składała się ona z trzech „wspólnot" (Euratomu, EWWiS oraz... samej EWG!); spiskowcy byli tak pewni, że do roku 2002 przeforsują utworzenie UE, że zapomnieli (!), iż EWWiS była zawarta na 50 lat... i pewnego pięknego dnia 2002 r. po prostu przestała istnieć. W wyniku tego powstał rozdźwięk: Komisja Europejska używała nazwy „Wspólnota Europejska" – twierdząc, że nie przestała ona istnieć – tyle że składa się już tylko z dwóch „wspólnot" – a Trybunał Europejski twierdził, że WE już nie istnieje, i demonstracyjnie działał w imieniu dwóch Wspólnot Europejskich!!! Albo odwrotnie. Spór ten – nigdy nienagłaśniany i nierozstrzygnięty – zakończyło powstanie UE.

Co jednak ciekawe: pomimo zjednoczenia w Unię Euratom nadal istnieje! Istniała też jeszcze Unia Zachodnio-Europejska – w odróżnieniu od UE mająca prawo mieć siły zbrojne; spiskowcy nigdy nie przyznali się do katastrofalnej dla ich planów klęski, jaką było jej rozwiązanie w 2011 r. – bo wiele państw, z UK na czele, nie chciało dać federastom prawa do posiadania wojska.

Relacjonując to, mogę popełniać nieścisłości, których nie chce mi się nawet sprawdzać, bo formułki prawne nie mają znaczenia: liczyła się żelazna wola spiskowców, zacieśniających, mimo kilku porażek, buldoży chwyt na gardłach państw d…kratycznych – a więc rządzonych przez ignorantów niemających pojęcia, co się właściwie dzieje.

Miałem w swoim czasie przyjemność rozmawiać ze śp. Józefem Oleksym, naszym przedstawicielem w Konwencie Unii Europejskiej, i spytałem go, dlaczego podpisał projekt Traktatu ustanawiającego Konstytucję dla Europy. Ciężko westchnął i powiedział: „Tak, ja wiem, że to jest dla nas niekorzystne – ale zaszliśmy tak daleko, że nie można już się wycofać..."!!!

Przewodniczący tego Konwentu, śp. Walery Giscard d'Estaing – były prezydent Francji, zmarł na COVID w 2020 r. – przeprowadził projekt DOKŁADNIE według metody podanej przez „profesora" Cyryla N. Parkinsona w satyrycznym eseju „Przewodniczenie" (p. Mętniacyzm) w zbiorze: „Jak zrobić karierę": przez pół roku zbierał poprawki do projektu, a gdy uzbierało się ich bodaj 16 tys. (!!!), 10 lipca 2003 r. poddał pod głosowanie wniosek, by odrzucić wszystkie i przyjąć pierwotny projekt. Członkowie Konwentu, przerażeni myślą o spędzeniu całych wakacyj na dłubaniu przy uzgadnianiu poprawek, przyjęli to niemal jednogłośnie. W.G. d'Estaing wziął zresztą za ten wyczyn w dziedzinie przewodniczenia stosowanego ogromne pieniądze – bodaj pół miliona euro.

Oto wpis w Wikipedii będący znakomitą ilustracją (celowego) mętniactwa: „Traktat ustanawiający Konstytucję dla Europy (Wspólnoty Europejskiej; TKE, Konstytucja dla Europy) – umowa międzynarodowa podpisana przez państwa członkowskie Unii Europejskiej 29 października 2004 r. w Rzymie. W związku z brakiem ratyfikacji przez wszystkie strony umowa nie weszła w życie". Proszę zwrócić uwagę, że traktat miał dopiero ustanowić WE – a niby podpisały go... „państwa UE", czyli tworu, który dopiero miał powstać z WE!

Ten konwent nazywał się już Konwentem Unii Europejskiej. Cała ta machlojka była zrobiona tylko po to, by ludzie myśleli, że już są w UE, a późniejszy traktat lizboński to już tylko takie drobne uporządkowanie prawne.

JAK KRAJE PRZESTAŁY BYĆ SUWERENNE

W rzeczywistości traktat ten zmieniał wszystko: zamiast Wspólnoty będącej konfederacją państw powstawało federacyjne państwo, przy czym kluczowe jest postanowienie, że „prawo UE ma pierwszeństwo przed prawem krajowym". Co, oczywiście, oznacza, że poszczególne „kraje" już nie są suwerennymi państwami. Widać to za każdym razem, gdy Komisja ds. UE oznajmia Sejmowi, że jakiejś ustawy nie można uchwalić, bo „jest sprzeczna z prawem unijnym". Państwo suwerenne uchwala, co chce.

Proszę zauważyć, że to sformułowanie NIGDZIE nie występuje w jasnej formie w traktacie lizbońskim – jest to „powszechnie przyjęta" interpretacja tego traktatu przez Trybunał Europejski. Wikipedia to obnaża, pisząc: „Nie występuje expressis verbis w traktatach, lecz jest jedną z podstawowych zasad występujących w prawie unijnym. Wynika głównie z orzecznictwa TSUE"! Gdyby to było jasne, połowa państw nie ratyfikowałaby tego traktatu!!! Jednak PRZED podpisaniem głoszono wszem wobec, że suwerenność państw nie zostanie naruszona. Ta niejasność jest tak wielka, że np. politycy amerykańscy otwarcie mówili, że nie wiedzą, czy suwerenem jest Unia czy poszczególne państwa!

Ale „d…kratyczni politycy" chcieli wierzyć, że nie sprzedali suwerenności. Wierzyli w to, tym bardziej że tych traktatów na ogół... nie czytali! Nie czytali – bo przeczytanie tak długiego dokumentu – pamiętając przy końcu, co było na początku – jest po prostu niemożliwe. Donald Tusk z rozbrajającą szczerością przyznał, że nie przeczytał traktatu akcesyjnego (bo ufał, że macherzy od UE chcą naszego dobra); natomiast śp. Lech Kaczyński starał się przeczytać traktat unijny ze zrozumieniem. Jak widać – nie do końca mu się to udało.

Procedura ratyfikacji też była dokładnie przez spiskowców przemyślana. Nie były jasne reguły głosowania – ale domniemana była jedna: jeśli referendum nie da właściwego rezultatu, to się je powtarza do skutku... Potem miały go ratyfikować głowy państw nastawionych entuzjastycznie do UE, a na końcu tych najbardziej sceptycznych.

I ta technika zadziałała! Przedostatnim była Polska – i śp. Lech Kaczyński podpisał go po wielu wahaniach. Ale podpisał. Ostatnim był czołowy uniosceptyk Wacław Klaus, prezydent Czech i Moraw... Rozmawiałem z nim na ten temat. Myślał dłuższą chwilę i powiedział: „Skoro już wszyscy ratyfikowali – to nie zdobyłem się na odmowę". Verba docent – exempla trahunt.

Z chwilą złożenia przezeń podpisu – 3 listopada 2009 r. – klamka zapadła. 9 grudnia 2009 r. wszystkie państwa (przynajmniej według interpretacji unijnej – a to przecież Trybunał Europejski interpretuje unijne prawo...) utraciły suwerenność. Mamy obecnie taki status jak stan Pensylwania – tyle że Pensylwania może karę

eprasa.pl e8066a002f

śmierci wprowadzić lub znieść – a my „nie możemy". To jest znów przykład niejasności. Traktaty unijne NIE zawierają nakazu likwidacji KS! Zawarty jest on w Protokole nr 6 Rady Europy – ciała niemającego nic wspólnego z UE – i, oczywiście, można swój podpis spod tego protokołu wycofać. Propaganda unijna głosi jednak, że jest to „niemożliwe". Dlaczego? Bo byłoby to sprzeczne z podstawowymi wartościami wspólnotowymi (czyli lewicowością) – a o tym, jakie są te acquis communautaire, decyduje Trybunał Europejski.

Niejasność służy też straszeniu Polaków, że jeśli wyjdziemy z UE, to na granicach trzeba będzie mieć paszporty. Tymczasem zarówno traktat z Schengen, jak i traktat o Europejskim Obszarze Gospodarczym nie mają nic wspólnego z UE: można być w Schengen i nie być w UE – i odwrotnie. Zabawnym przykładem było Zjednoczone Królestwo i Królestwo Norwegii: pierwsze było w UE, nie będąc w Schengen, a drugie odwrotnie – ale poddani obojga monarchów odwiedzali się wzajemnie bez najmniejszych przeszkód.

Osobnym przykładem jest Karta praw podstawowych – dzieło idące dalej niż „Manifest Komunistyczny". Polska i Zjednoczone Królestwo nie ratyfikowały KPP w całości, ale Trybunał Europejski przyjął oficjalnie interpretację, że jeśli nawet jakiś kraj jej nie ratyfikował, to gdy obywatel UE odwoła się w jakiejś sprawie do Trybunału, to będzie on orzekał tak, jakby KPP była ratyfikowana!

Chcę tu przypomnieć, że jeszcze PRZED wejściem w życie traktatu byłem (razem z kolegą Stanisławem Michalkiewiczem) na seminarium na UW, gdzie pani Magdalena Jungnikiel, orzekająca sędzia i doradczyni ministra sprawiedliwości, otwarcie powiedziała, że sędziowie w Polsce będą orzekać według orzecznictwa UE – NAWET GDYBY BYŁO TO SPRZECZNE Z POLSKĄ KONSTYTUCJĄ. W praworządnym kraju (a Polska wtedy jeszcze BYŁA niepodległa) wsadzono by ją w najlepszym przypadku na otrzeźwienie do Tower lub czegoś podobnego – ale żyjemy przecież w kraju z dykty.

W tej chwili wypróbowuje się to na Polsce – i Lisicki, i Ziemkiewicz mają rację: opór przed podpisaniem proponowanych przez UE przepisów jest absolutnie uzasadniony. Te mętne i miękkie sformułowania można by pozornie podpisać – wszelako istnieje pewność, że z chwilą podpisania będą one przez Trybunał Europejski interpretowane tak, jak życzy sobie Unia.

Polska ma pod wieloma względami mniejszą autonomię w UE niż stan Minnesota w USA

Jest to dobry przykład metod działania spiskowców. Najpierw entuzjaści Unii z poszczególnych krajów opanowują poszczególne organy UE – a potem te ciała metodą nacisków (prawnych, finansowych, zapraszania na wystawne obiady) powiększają wpływy unioentuzjastów (niekoniecznie należących do spisku!) w ich macierzystych krajach.

Dopiero długi czas po ratyfikacji traktatu i pierwszych orzeczeniach TSUE ludzie zaczęli (sic!) pojmować, że utracili suwerenność. Niektórzy nie rozumieją do tej pory – i rozważają nad tym, „jak nie utracić suwerenności". Tymczasem nie można utracić czegoś, czego się od dawna nie ma.

Działanie obrońców suwerenności można opisać słowami przyśpiewki góralskiej skierowanej do dziewczyny opłakującej utraconą cnotę: „Moje dziwce nie lamentuj / Weź-se laku, zapiecentuj / Wtedy bendzies lamentować / Kiej ci bendom jom zdejmować!".

Zaczęli praworządni Niemcy – Federalny Trybunał Konstytucyjny ogłosił, że konstytucja RFN ma pierwszeństwo przed unijnymi aktami prawnymi. W ślad za tym nasi patrioci zaczęli się tego samego domagać od naszego Trybunału Konstytucyjnego – i z triumfem ogłosili swój sukces.

Tymczasem ma to takie samo znaczenie, jakby sąd wojewódzki Mazowsza ni z tego, ni z owego ogłosił, że uchwały Sejmiku Mazowieckiego mają pierwszeństwo przed prawem polskim. Ot, statut Mazowsza przewiduje, że powiaty dzielą się na gminy – i jeśli Sejm postanowi, że zamiast gmin mają być gromady, to Mazowsza to nie dotyczy.

Nikt by tego nawet nie prostował – bo dla każdego byłoby jasne, że taka uchwala NIE MA ŻADNEGO ZNACZENIA PRAWNEGO. Przeszlibyśmy nad tym do porządku dziennego, uznając, że sędziowie się wygłupili, orzekając extra legem.

I dokładnie tak samo UE przeszła do porządku nad orzeczeniami Trybunałów RFN i RP. Ku radosnemu zdumieniu naiwnych – nie protestowała. Nie podjęła batalii prawnej. A nie protestowała – bo nie mają one żadnego znaczenia prawnego; a gdyby nagle zaczęły w jakiejś sprawie mieć jakieś znaczenie, to Trybunał Europejski orzeknie jak trzeba. I wtedy będziemy mogli sobie „polamentować".

BRONIMY TYLKO AUTONOMII

W tej chwili bronimy już tylko autonomii, gwarantowanej nam rzekomo przez niejasny traktat lizboński. Mamy np. autonomię w sprawach obyczajowych – ale o tym, co to są „sprawy obyczajowe", decyduje TSUE – i, podobnie jak w przypadku KPP, orzeka, że prawa obywateli (np. „gejów" chcących adoptować dziecko) mają pierwszeństwo. TSUE robi to ostrożnie, by nie wywołać buntu dopóty, dopóki „obywatele UE" nie przywykną, że są bardziej obywatelami UE niż swojego kraju. Przyzwyczajenie jest bowiem ważniejsze niż (niejasne...) formułki prawne.

Niektóre ustalenia dają nawet pojedynczym krajom prawo weta. Ale to nie znaczy, że Polska jest suwerenna. W I Rzeczypospolitej poseł każdej ziemi mógł zgłosić weto – i to skutecznie – ale to nie znaczy, że ziemia upicka czy chełmińska były niepodległe!!! To tylko wielkie uprawnienia autonomii.

Jak już pisałem, Polska ma pod wieloma względami MNIEJSZĄ autonomię w UE niż stan Minnesota w USA. Jest jednak pewna podstawowa różnica praktyczna: Minnesota nie ma własnego wojska – a Polska ma; Stany Zjednoczone mają własną armię – a Unia nie!

Dlatego w Trybunale Europejskim naszej autonomii (nie mówiąc już o odzyskaniu utraconej suwerenności) nie obronimy. Batalię prawną przegramy. Jednak zostaje nam ostatni środek: w ostateczności możemy osłupiałym jurystom z TSUE i KE powiedzieć – jak to był radził śp. tow. Włodzimierz Majakowski: „Głos ma towarzysz Mauser"! I wszystkie razem unijne rezolucje nie powstrzymają kul.

I dlatego pod żadnym pretekstem nie wolno nam dopuścić do powstania unijnej armii ani policji!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tytuł to pierwsze słowa „Lamentu Świętokrzyskiego" z XV w.

eprasa.pl e8066a002f

Watykan i błogosławieństwa LGBT

Paweł Chmielewski

Europa Zachodnia pogrąża się w herezjach – co najmniej za przyzwoleniem Watykanu. Przełamany został kolejny front, tym razem dotyczący par homoseksualnych. Jak zareaguje na to Kościół katolicki w Polsce?

FOT. ADOBE STOCK

W listopadzie odbyły się w Rzymie dwie niezwykle ważne wizyty ad limina apostolorum. Do Wiecznego Miasta przyjechali biskupi z Niemiec i Belgii, krajów, które wiodą prym w przebudowie Kościoła. Część komentatorów spodziewała się, że biskupi usłyszą od papieża i Kurii Rzymskiej stanowcze „nie" dla swoich idei. Tak się niestety nie stało.

Oba episkopaty zamierzają dalej iść w rewolucyjnym kierunku, przekonane, że w wielu konkretnych sprawach mają zielone światło Watykanu. Dotyczy to zwłaszcza problematyki LGBT i błogosławienia związków jednopłciowych. Będzie mieć to ogromne konsekwencje dla Kościoła powszechnego. Efekt bowiem jest taki, że Stolica Apostolska zgadza się na błogosławienie związków homoseksualnych – pod warunkiem że nie będzie się tego nazywać błogosławieniem...

PROBLEM ZWIĄZKÓW LGBT W KOŚCIELE

Czy można błogosławić pary homoseksualne, de facto zestawiając je z małżeństwem? Wydawałoby się, że odpowiedź jest oczywista: nie. Kościół katolicki wielokrotnie wypowiadał się w dokumentach urzędowych na ten temat, wskazując na całkowitą niemożliwość wyrażania aprobaty dla „homomałżeństw", jako że są obiektywnie grzeszne. Problem w tym, że zgodnie z obowiązującym obecnie paradygmatem „otwartości" i „inkluzywności" takie podejście oceniane jest jako restrykcyjne i mało duszpasterskie. Dlatego w Kościele istnieje wokół tego tematu poważne napięcie, a sama Stolica Apostolska zachowuje się bardzo niejednoznacznie.

W marcu 2021 r. Kongregacja Nauki Wiary opublikowała kolejny dokument, który przypomniał nauczanie na ten temat – na pozór porządkując sytuację i zamykając usta tym liberalnym biskupom i księżom, którzy już przebierali nogami, aby wprowadzać formalne błogosławieństwa par gejowskich lub nawet już je wprowadzali. Jednak rok później papież Franciszek wyrzucił z tejże Kongregacji abp. Giacomo Morandiego, który odpowiadał za sporządzenie dokumentu. Odczytano

eprasa.pl e8066a002f

to jako wyraźny znak: „oficjalnego stanowiska" Watykanu nie należy traktować poważnie, była to raczej „pomyłka" i papież stoi na innych pozycjach. Jak więc jest naprawdę? A przecież nie chodzi o sprawę błahą: kwestia akceptacji bądź odrzucenia związków jednopłciowych dotyka zarówno fundamentów katolickiej antropologii, jak i autorytetu Pisma Świętego i Tradycji.

DOKUMENT BELGÓW

Ostateczną odpowiedź na to, jaka jest opinia Franciszka – a to w końcu ona wyznacza kierunki, w których działają później biskupi na świecie – przynieśli nam niedawno Belgowie.

20 września 2022 r. biskupi z belgijskiej Flandrii opublikowali dokument „Duszpasterska bliskość wobec osób homoseksualnych. O gościnnym Kościele, który nikogo nie wyklucza". W tekście zawarto instrukcje dotyczące tworzenia instytucjonalnej opieki duszpasterskiej nad środowiskami tęczowymi, ale nade wszystko zaproponowano... ceremonie liturgiczne dla związków jednopłciowych. Mówiąc krótko: homoseksualną liturgię z obrzędem błogosławienia par gejowskich, lesbijskich czy „queerowych".

Koordynatorem całego projektu został niejaki Willy Bombeek, homoseksualista od ponad 30 lat pracujący w instytucjach kościelnych. Jako szef tęczowego duszpasterstwa wyjaśniał mediom zupełnie otwarcie, że dokument biskupów wprowadza błogosławieństwa dla „związku, miłości i wierności" par jednopłciowych.

Słowa Bombeeka wywołały ogromne poruszenie w mediach katolickich. Jak to możliwe: liturgiczne błogosławienie par gejowskich wprowadzone? Mamy przecież dokument Kongregacji z 2021 r.! Rozpętała się burza. Głos zabrali sami biskupi Flandrii, robiąc – tak się mogło przynajmniej wydawać – krok wstecz. Jak powiedział rzecznik episkopatu ks. Tommy Scholtes, dokument zawiera tylko „propozycję modlitwy z udziałem osób homoseksualnych, a nie błogosławieństwa par homoseksualnych".

Media kościelne w wielu krajach, w tym w Polsce, odetchnęły z ulgą: wszystko jest w porządku, to tylko jeden narwany Belg coś pokręcił i ogłosił wbrew woli biskupów, nic złego się nie stało… Cóż, problem w tym, że z racji bariery językowej nikt chyba nie zajrzał do samego dokumentu flamandzkich biskupów, zadowalając się jego zdawkowymi omówieniami przygotowanymi przez duże agencje prasowe.

Tymczasem treść zawarta w belgijskim dokumencie nie pozostawia najmniejszej wątpliwości: nie o żadną „modlitwę z udziałem osób homoseksualnych" chodzi, jak mówił rzecznik ks. Scholtes, ale właśnie o pełnoprawne wyrażenie przez Kościół katolicki akceptacji dla związków homoseksualnych – i to połączone z błogosławieństwem. W tekście dokumentu stoi bowiem czarno na białym: „Podczas spotkań duszpasterskich stawiane jest często pytanie o chwilę modlitwy do Boga, z prośbą, by zechciał On pobłogosławić i utwierdzić to zaangażowanie w miłości i wierności". (Jeśli ktoś mi nie wierzy, to proszę, oto niderlandzki oryginał, do którego zrozumienia wystarczy znajomość niemczyzny: „Tijdens pastorale ontmoetingen wordt vaak de vraag gesteld naar een gebedsmoment om God te vragen dat Hij dit engagement van liefde en trouw mag zegenen en bestendigen". Zegenen en bestendigen – błogosławić i utwierdzać).

Biskupi z belgijskiej Flandrii opublikowali dokument „Duszpasterska bliskość wobec osób homoseksualnych". W tekście zaproponowano homoseksualną liturgię z obrzędem błogosławienia par gejowskich, lesbijskich czy „queerowych"

Biskupi mogli udawać, że jest inaczej, bo zaprezentowali przykładowy przebieg homo-liturgii, w którym błogosławieństwo jest wymienione jako ostatni punkt, co może sprawiać wrażenie, jakoby miało być ogólne i dla wszystkich. Jednak, po pierwsze, w treści „teoretycznej" dokumentu czytamy co innego, a po drugie – taki przebieg to tylko propozycja. Dlatego Willy Bombeek mówiąc to, co powiedział, określił po prostu stan faktyczny. Po pewnym czasie to samo potwierdził zresztą ordynariusz Antwerpii Johan Bonny, deklarując, że Belgowie wprowadzili nic innego, jak właśnie błogosławieństwa par gejowskich.

PAPIESKA REAKCJA

Co na to papież? Niestety – nic. Przynajmniej publicznie ani on, ani żaden z urzędników Kurii Rzymskiej nie skomentowali decyzji Belgów. Nieoficjalnie wiadomo jednak, że Ojcu Świętemu to się podoba. W rozmowie z mediami Watykanu mówił o tym biskup diecezji Liège, Jean-Pierre Delville. Hierarcha powiedział, że podczas wizyty ad limina apostolorum biskupi musieli „wyjaśnić kwestie, które wzbudziły sporo kontrowersji", jak „błogosławienie par homoseksualnych". Efekt? „Odnoszę wrażenie, że zostaliśmy dobrze zrozumiani" – opisał. Bo według biskupa Stolica Apostolska „chce otwierać się duszpastersko, nie zmieniając doktryny".

Dla belgijskich biskupów to duże zwycięstwo. Część z nich już wcześniej wprowadzała błogosławieństwa par jednopłciowych. Pod koniec roku 2021 bp Delville osobiście ogłosił broszurę, w której zaproponował „spotkania modlitewne" kończące się prośbą do Boga o „pobłogosławienie życiowych planów" par homoseksualnych.

Wspomniany już biskup Antwerpii Johan Bonny mówił o swoim „wstydzie" i „wściekłości", gdy w marcu 2021 r. wydano dokument przeciwko błogosławieniu związków LGBT. Jak deklarował wówczas w mediach, biskupi z Belgii mówią temu „dość". Teraz bp Bonny wyraża swoje zadowolenie. „Wiem, że nasze wytyczne dotyczące błogosławienia par homoseksualnych, które niedawno ogłosiliśmy, są zgodne z linią papieża Franciszka" – powiedział w jednym z wywiadów. Jak dodał, on sam optuje za błogosławieniem par jednopłciowych od 2015 r.; osobiście rozmawiał o tym z papieżem i poznał jego stanowisko.

STRATEGIA

Nie ma zatem cienia wątpliwości: Belgowie wprowadzili w swoim kraju formalne błogosławienie par homosek-

eprasa.pl e8066a002f

sualnych, tym samym uznając, że życie w takich związkach miałoby być miłe Bogu; papież to po cichu zaakceptował. Kluczem do sukcesu Belgów jest to, że zrobili to, wykonując zarazem pozorny krok wstecz: udając przed światem, że chodzi o coś innego. Wszyscy są zadowoleni: Belgowie mają swoją homorewolucję, papież ma „otwarcie duszpasterskie", a centrowi konserwatyści mogą dalej pudrować rzeczywistość, dowodząc, że „przecież nic się nie zmieniło".

Bardzo odmiennie potoczyły się losy projektów niemieckich. Niemcy byli w Stolicy Apostolskiej na krótko przed Belgami, ale wyjechali z Watykanu ścigani raczej przez krytykę, a nie pochwały. Przyczyna jest banalnie prosta: inaczej niż Belgowie nie chcieli przyjąć strategii „udawania", tylko wyłożyli wszystkie karty na stół, mówiąc: błogosławimy homoseksualistów – i tak właśnie robimy, bo jest to słuszne.

Podobnie ostro Niemcy postawili inne kwestie dotyczące moralności seksualnej, a także kapłaństwa, demokracji w Kościele, roli kobiet. W efekcie ich „drogę synodalną" z dużym dystansem ocenili Luis Ladaria Ferrer, prefekt Dykasterii Nauki Wiary, oraz Marc Ouellet, prefekt Dykasterii ds. Biskupów. Wprawdzie sama „droga synodalna" nie została zawieszona (a przez chwilę była taka groźba), ale Kuria Rzymska ustami wymienionych purpuratów zgłosiła swoje zastrzeżenia.

Mamy więc sytuację, w której Niemcy proponują de facto to samo, co Belgowie (bo i oni rozmawiali w Watykanie o celibacie czy diakonacie kobiet), ale reakcja jest odmienna. Cóż, poszło o strategię. Teraz być może i nasi sąsiedzi zza Odry wyciągną wniosek, uznając, że swoją rewolucję będą musieli jednak realizować bardziej po cichu – czyli tak, jak dotąd, bo przecież w Niemczech wszystkie te absurdy są wdrażane w życie od dawna. Z formalizacją herezji muszą jeszcze poczekać…

PUNKT ZAPALNY

Jak to możliwe, że papież pozwala niektórym biskupom na działania heretyckie? Zostało to już kilka lat temu zapowiedziane przez samego Franciszka – i to w oficjalnym jego dokumencie, adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia". Papież napisał w punkcie 3: „Przypominając, że czas jest ważniejszy niż przestrzeń, pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium. Oczywiście w Kościele konieczna jest jedność doktryny i działania, ale to nie przeszkadza, by istniały różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z niego konsekwencji".

Innymi słowy: w nauczycielskich dokumentach Magisterium musi być zapisany jeden konkretny program doktrynalny, ale w praktyce może być dowolnie naginany, a nawet stosowany odwrotnie, zależnie od – jak pisał papież dalej – potrzeb „inkulturacji" oraz „wyzwań lokalnych". Róbcie, co chcecie: tylko udawajcie, że jesteście jeszcze katolikami.

POLSKA W „SYSTEMIE FRANCISZKA"

Ta sytuacja ma bardzo poważne znaczenie dla całego Kościoła powszechnego, w tym dla Polski. Wiele zależy od tego, czy „synodalny" model Kościoła się utrzyma, to znaczy, czy również kolejny papież będzie stał na stanowisku, że doktryna jest tylko zbiorem „ogólnych wytycznych" i w konsekwencji będzie spokojnie tolerować wszelkie od niej odstępstwa, o ile tylko nie nazywa się rzeczy po imieniu. Jeżeli tak, to otworzą się duże możliwości również przed środowiskami liberalnymi w naszym kraju. Wprawdzie wydaje nam się niemożliwe, żeby polscy biskupi wprowadzali błogosławienie związków homoseksualnych – ale przecież tak samo niemożliwe wydawało się to kilkadziesiąt lat temu katolikom z Belgii czy Bawarii. Współcześnie biskupi nader często zamiast nauczać świat, stają się uczniami świata – to zresztą kwintesencja „synodalności".

Biorąc pod uwagę skalę głębokich przemian ideowych w polskim społeczeństwie, nie można mieć żadnej pewności, że i u nas nie pojawią się rozmaite próby na poły jawnego dekretowania herezji. Już dzisiaj obserwujemy, jak niektórzy biskupi urządzają sobie gwoli otwartości duszpasterskiej kpiny z Mszy Świętej, organizując ją ad hoc na stadionach, ku zaskoczeniu zgromadzonego tłumu. Spotyka się to wciąż ze zdecydowaną reakcją pozostałej części episkopatu. Ale jak długo?

Biorąc pod uwagę skalę głębokich przemian ideowych w polskim społeczeństwie, nie można mieć żadnej pewności, że i u nas nie pojawią się rozmaite próby na poły jawnego dekretowania herezji

Trzeba sobie bowiem uświadomić, że to właśnie ta reakcja – i tylko ona – może stanowić w najbliższych latach zaporę przed przyjmowaniem w Polsce heretyckich koncepcji. Nie ma bowiem najmniejszego sensu liczyć na to, że w jakikolwiek sposób pomoże nam Stolica Apostolska. Wręcz przeciwnie, może tylko pogłębić chaos.

Kościół katolicki w Polsce znalazł się dzisiaj w sytuacji strażnika samego siebie. To rola nowa, niezwykle odpowiedzialna – i trudna. Mamy jednak sojuszników. To nie tylko pojedynczy biskupi ze Stanów Zjednoczonych czy z Afryki, lecz także znaczne przecież grono hierarchów w innych krajach naszego regionu. W dobie intensywnej współpracy międzynarodowej pora, by tworzyć ścisłe sojusze i bloki współpracy, tak jak to nierzadko bywało w starożytności, gdy poszczególne regiony popadały w herezję, a inne utrzymywały ortodoksję przy słabej, z racji braku narzędzi, reakcji Rzymu. Kościelne Międzymorze? Można to różnie określać, ale fakty są bezsprzeczne: tylko własnym wysiłkiem i współpracą z podobnie myślącymi o niezmienności prawd wiary obronimy katolicyzm w Polsce. Stolica Apostolska po prostu nie jest tym obecnie szczególnie zainteresowana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl e8066a002f

Pisarz powstania styczniowego

Marek Klecel

Władysław Terlecki stworzył najobszerniejsze dzieło obejmujące mniej znane poprzednio aspekty powstania, przedstawił nie tylko jego wymiar historyczny, lecz także egzystencjalny

Im więcej było sporów i dyskusji wokół powstań pod zaborami, tym więcej powstawało świadectw o nich, wspomnień, pamiętników, interpretacji historycznych, a także utworów literackich. Po powstaniu styczniowym i najcięższych represjach rosyjskich nastąpiły największy kryzys, zapaść w życiu społecznym, załamanie i rezygnacja, które mogły ostatecznie złamać ducha oporu i potrzeby narodowego przetrwania, w ten sposób doprowadzając do jeszcze większego rosyjskiego zniewolenia. Poczucie beznadziejności wynikało z przekonania, że wyczerpały się wszelkie sposoby wybicia się na niepodległość, że nie sposób wydobyć się z rosyjskiej niewoli.

Ale powstanie i represje miały także pewien oddźwięk w Rosji, pobudziły organizacje konspiracyjne, prądy i ruchy przeciw carskiej władzy, ferment narodników, socjalistów, anarchistów. Powstawała ideologia terroru jako jedynej metody zmian w Rosji. W 1881 r. dokonano kolejnego, udanego zamachu na Aleksandra II, w którym brał udział Polak Ignacy Hryniewiecki. Z Rosji zaczęły przenikać do kraju buntownicze nastroje, tak że w latach 80. powoli przezwyciężano rezygnację i marazm trwający po klęsce powstania. Wchodzące na widownię dziejową następne pokolenie powoływało już własne grupy i tajne jeszcze kontakty, powstawały nowe konspiracyjne prądy społeczne i polityczne, odżyła pamięć powstania, a z nią nowe rozrachunki, a także nowe koncepcje odbudowy polskości nawet w danych przez zaborców granicach.

PISARZE O POWSTANIU

Pamięć powstania powróciła razem z dalszymi rozrachunkami, a także z nieuniknioną legendą, która miała poniekąd

FOT. ZBIGNIEW MATUSZEWSKI/PAP

eprasa.pl e8066a002f

nobilitować i przezwyciężać klęskę. Zaczęły powstawać utwory literackie, które nie tylko przypominały, lecz także przywracały realia powstania, ludzi i wydarzenia, ujęte w literackim już przesłaniu. W dość zawoalowany jeszcze sposób, aluzyjnie ze względu na rosyjską cenzurę, nawiązywała do powstania w „Nad Niemnem" Eliza Orzeszkowa (która w młodości przewoziła konspiracyjnie Traugutta do Warszawy), dużo śmielej już poczynali sobie Żeromski czy Przyborowski, który wcześniej spisywał kroniki i powieści o powstaniu.

Odtąd każde następne pokolenie odwoływało się do tradycji powstania, a następni pisarze poczuwali się niemal do obowiązku przedstawiać swój do niego stosunek i własny jego obraz, zmieniający się z czasem pod wpływem następnych wydarzeń. Tak powstały powieści mniej może znane, ale zasługujące na uwagę, bo wyrażające ducha swej epoki, książki Juliana Wołoszynowskiego, Zofii Kossak, która swe „Dziedzictwo" zaczęła na powojennej emigracji, a skończyła po powrocie, w PRL. Bo nawet w PRL temat powstania się pojawiał – nie był zabroniony, bo przecież przedstawiał walkę z caratem, popieraną już przez władzę bolszewicką, ale powstawało wokół niego wiele manipulacji. Nawet w latach stalinowskich Tadeusz Łopalewski mógł napisać swe „Kroniki polskie" o powstaniu, choć była to wtedy sytuacja bardziej dwuznaczna, kostium historyczny stanowił często alibi literackie, sposób na ucieczkę od obowiązującej (w socrealizmie) tematyki i poetyki komunistycznej. Tylko Stanisław Rembek musiał pisać opowiadania o powstaniu do szuflady, bo jako autor powieści o wojnie 1920 r. był zakazany w PRL.

Pisarz młodszego już pokolenia, Władysław Terlecki (1933–1999), mógł po 1956 r. zająć się w pełni tematyką powstania i to on stworzył w istocie najobszerniejsze dzieło obejmujące mniej znane poprzednio aspekty powstania, przedstawił nie tylko jego wymiar historyczny, lecz także egzystencjalny, często tragiczny w losach poszczególnych ludzi, podejmujących obowiązki walki, organizacji lub wciągniętych w jego bieg.

Terlecki nie zajmował się już militarną, bojową stroną powstania, nie pokazywał jego walk, kampanii, wszystkich przywódców, lecz skupił się na wewnętrznych przeżyciach wybranych postaci, swych bohaterów, którzy znajdowali się w krytycznych momentach i warunkach, dokonywali ostatecznych wyborów, decydujących zarówno o losach powstania, jak i o własnym życiu czy śmierci. Przy czym najbardziej interesowały pisarza losy i wybory tych postaci: jak się zachowują, po której stają stronie pod wpływem presji wydarzeń, czy ulegają czy trwają, czy zachowują lojalność wobec wspólnej sprawy czy decydują się na jej porzucenie lub zdradę i z jakiego powodu – ze słabości, strachu, z powodu tortur w śledztwach czy policyjnego szantażu czy też nieraz z wyrachowania i zmiany frontu politycznego.

HEROIZM CZY UGODA?

Niektóre postaci, wzorowane oczywiście na postaciach autentycznych, przewijają się i powtarzają w powieściach i opowiadaniach Terleckiego, tworząc z innymi, mniej znanymi, krąg osób działających w prawdziwym labiryncie powstańczych wydarzeń, w sytuacjach niejasnych i w konsekwencji niepewnych, często ryzykownych. Nieraz postacie takie jak Stefan Bobrowski działają niemal samotnie (tak jest w powieści „Spisek"), częściej w grupie powstańczej, nieraz przeciw sobie, po dwóch stronach polskiej i rosyjskiej, nieraz to przypadki załamania i klęski także osobistej, tragedii bez wyjścia.

Mało jest w utworach Terleckiego postaci i sytuacji heroicznych, mogących być wzorem dla powstańczej legendy. Już właśnie w pierwszej powieści powstańczego cyklu, w „Spisku" z 1966 r., wchodzimy w krąg wydarzeń, które mają charakter niejasnej intrygi przeciw pierwszoplanowej postaci na początku powstania – Stefanowi Bobrowskiemu, młodemu i niezwykle sprawnemu przywódcy, pierwszemu dyktatorowi Warszawy w pierwszych miesiącach 1863 r. Bobrowski był szwagrem pisarza Apolla Korzeniowskiego, który był inicjatorem pierwszego komitetu powstańczego, później Komitetu Centralnego Narodowego. Został on szybko wyeliminowany z konspiracji przez służby rosyjskie i skazany na zesłanie z rodziną w głąb Rosji. Musiał osiedlić się w Wołogdzie na północy Rosji z żoną i małym synem Józefem. Syn Józef to przyszły Józef Conrad Korzeniowski, który spędzał dzieciństwo w cieniu wydarzeń powstania dopóty, dopóki nie zdecydował się na wyjazd spod zaborów na Zachód. Stefan Bobrowski, wybitny i tragicznie kończący przywódca, był więc stryjem Conrada, ale o tym Conrad ani Terlecki już nie pisali.

Radykalny Bobrowski miał przeciwników wśród białych, którzy uknuli spisek, by usunąć go jako radykalną konkurencję. Bobrowski odkrył oszustwo podstawionego agenta „białych", niejakiego Grabowskiego, którego demonstracyjnie zlekceważył, a tamten honorowo zażądał satysfakcji. Sprawa była błaha, ale sąd szlachecki, zapewne ustawiony, potwierdził prawo do pojedynku. Bobrowski również honorowo się nie wycofał, bo żądano przeprosin bez żadnej jego winy i doszło do tragicznego finału. Doprowadzono do pojedynku na pistolety, wiedząc, że Bobrowski przegra, bo jest krótkowidzem. Ten tragiczny epizod z początku powstania opisuje Terlecki w swej powieści, w szczególności zaś podróż Bobrowskiego koleją na miejsce pojedynku, które wyznaczono na terenie neutralnym, w Wielkopolsce, już poza granicą rosyjsko-pruską.

Wszystko odbywa się niby w konspiracji, ale służby rosyjskie już wiedzą, podstawiają swego agenta, który jedzie w przedziale z Bobrowskim, w innym czuwa rosyjski oficer. Nie interweniują, a tylko kontrolują sytuację, jakby byli pewni finału. Bobrowski, który ma pomoc w zakonspirowanym kolejarzu, orientuje się w sytuacji, jeden z agentów zostaje usunięty. Na miejscu Bobrowski mógłby wycofać się ze sprawy, ale w dziwny sposób godzi się na taki finał, jakby w jego losie spełniał się tragiczny fatalizm wydarzeń, które miały dopiero nastąpić.

Te wszystkie okoliczności nie są w powieści jawne, jasno obiektywnie przedstawione, są niejako zaszyfrowane, czytelnik musi sam je odkryć i zrekonstruować, złożyć z rozbieżnych w toku opowieści fragmentów. Narracja prowadzona jest niejako z wewnętrznego punktu widzenia bohatera, pełna niejasnych wrażeń, myśli, skojarzeń, wspomnień, oddaje atmosferę niepewności, jego niepokoju, przeczucia wydarzeń przed tragicznym finałem, a mimo to niejako zgodę bohatera na swój los.

Terlecki pokazuje w swych utworach ten dramatyczny rys i wymowę powstańczych wydarzeń, losy postaci podlegające im, a zarazem dokonujące wyborów

eprasa.pl e8066a002f

w takich warunkach, chcące zaznaczyć zarówno swą obecność, jak i wierność sprawie lub w konflikcie zaprzeczenie jej, rezygnację lub zerwanie, przejście na drugą stronę, zgodę na klęskę.

W zbiorze opowiadań „Powrót z Carskiego Sioła" autor przedstawił kilka epizodów i postaci z nimi związanych, powracając do czasu przed wybuchem powstania, a także kilka późniejszych. Już od 1861 r. narastała atmosfera wybuchu społecznego pod wpływem rosyjskich represji – reakcje po demonstracjach, krwawo tłumionych, patriotycznych nabożeństwach w kościołach, którym to wydarzeniom towarzyszyły próby polityki ugodowej czynników polskich z margrabią Wielopolskim postawionym na czele rządu. Jedno z opowiadań przedstawia zamach na gubernatora Warszawy gen. Lüdersa, po spisku oficerów w Cytadeli, ukaranych przykładnie śmiercią, dokonany w odwecie przez ukraińskiego oficera Andrzeja Potebnię, który zginie potem w jednej z powstańczych potyczek. W opowiadaniu Terleckiego Lüders rozmawia z rosyjskim agentem, zdegradowanym w Warszawie, który kiedyś zasłużył się, odkrywając tajną grupę pietraszewców w Rosji (był w niej Dostojewski, skazany najpierw na śmierć), ale teraz już się nie liczy. W zamian za przysługę informuje Lüdersa, że jest przygotowywany zamach na niego. Gubernator, który gardzi podupadłym agentem, nie zwraca uwagi na jego ostrzeżenia. W Parku Saskim, gdzie ma zwyczaj spacerować, strzela do niego Andrzej Potebnia i ciężko go rani.

SŁABOŚĆ CZY ZDRADA?

W innych opowiadaniach pojawiają się postaci Wielopolskiego i Andrzeja Zamoyskiego, wzywanych przez cara do jego siedziby. Wielopolski ma się wytłumaczyć z niepokojów w Warszawie, przy okazji dowiaduje się, że są w Rosji czynniki, którym zależy na wybuchu w polskiej stolicy, które będzie można krwawo stłumić, postanawia jednak zgodnie z życzeniem cara uspokoić sytuację i nie dopuścić do wybuchu powstania. Jednakże ogłaszając przymusową brankę do wojska jesienią 1862 r., by temu zapobiec, prowokuje w istocie i przyspiesza wybuch powstania planowany przez jego przywódców dopiero na wiosnę 1863 r.

Natomiast Zamoyskiego, polityka bardziej sprzyjającego sprawie polskiej, car chce unieszkodliwić. Wzywa go do Rosji, by go w istocie skazać na banicję.

Terlecki był autorem powieści historycznych pisanych w sposób współczesny, odnawiający tę prozę

W innych opowiadaniach pojawiają się postacie bp. Szczęsnego Felińskiego, który stracił popularność po tym, gdy zakazał patriotycznych nabożeństw, chcąc uspokoić sytuację – w dyskusji z pisarzem Józefem Ignacym Kraszewskim, uznawanym za sumienie narodu. Postać Kraszewskiego pojawia się w rozmowie z bankierem Kronenbergiem, w tle przewija się zagadkowa figura donosiciela generała J., który brał udział jeszcze w powstaniu listopadowym. W dwóch opowiadaniach przedstawione są postacie kobiet, które prowadzą działalność patriotyczną i jednocześnie normalne życie rodzinne, załatwiają lokale konspiracyjne dla ukrywających się przywódców. Tutaj właśnie autor przedstawił epizod z Elizą Orzeszkową, która przewoziła Traugutta, asekurując go przed rosyjską policją.

Jeśli Terlecki zaczynał swój cykl powstańczy tragicznym wydarzeniem intrygi wokół pierwszego, wybijającego się przywódcy Stefana Bobrowskiego, to w następnej powieści „Dwie głowy ptaka" (1970) przedstawia ostatniego przywódcę Warszawy – Aleksandra Waszkowskiego i jego niejasny, trudny do zrozumienia przypadek, zakończony również śmiercią, tyle że już nie honorową i nie bohaterską. Powstanie już upadało, Waszkowski długo ukrywał się, stracił kontakty i orientację w sytuacji powstańczej i popadł, według późniejszych źródeł policyjnych, w rodzaj obłędu. Schwytano go przypadkowo, nie był źle traktowany w śledztwie, liczono, że da się go zwerbować. Zdradził bez żadnych warunków, wydawał kontakty i tajemnice powstania, związane z emigracją. Nic nie uzyskał i został pokazowo stracony na początku 1865 r. Rosjanie demonstrowali pełne zwycięstwo i zniszczenie legendy powstańczej, która mogłaby powstać.

Zbiór opowiadań „Rośnie las", a przede wszystkim powieść „Lament" napisana w stanie wojennym to już podzwonne powstania, rzecz o pełnym panowaniu policji i agentury rosyjskiej, której sieć powstawała przez XIX w. i stworzyła ochranę. Jej celem było przeniknięcie do wszystkich struktur konspiracyjnych i opanowanie ich od środka, w wypadku powstania – dokończenie akcji zbrojnej i przy tej okazji założenie także całej sieci wywiadowczej, która mogła kontrolować całe już społeczeństwo. W wielowątkowej i „labiryntowej" powieści „Lament" są dzieje prowokacji rosyjskiej już po upadku powstania, polegającej na stworzeniu własnej struktury konspiracyjnej, imitacji podziemnej organizacji, która miałaby przyciągnąć jeszcze raz elementy powstańcze, przy pomocy wiarygodnych działaczy na emigracji. Posłużono się w tej akcji tzw. sztyletnikami, którzy wcześniej wykonywali wyroki w imieniu Rządu Narodowego. Kompromitowano w ten sposób powstanie jako ruch terrorystyczny. Terlecki musiał znać podobną metodę z początków PRL, gdy w taki sam sposób opanowano i zniszczono agenturalnie od środka kolejne władze antykomunistycznej organizacji Wolność i Niezawisłość.

Terlecki był autorem powieści historycznych, nie tylko o powstaniu styczniowym, pisanych w sposób współczesny, odnawiający tę prozę, podobnie jak Teodor Parnicki, ale jego książki czytało się w PRL w sposób podwójny, aluzyjny i skojarzeniowy. Ich treść nie tylko była historyczna, lecz także podejrzanie ściśle odnosiła się do Polski opanowanej przez sowiecki system komunistyczny. W szczególności przez rodzime już służby tajne i jawne, policję polityczną i ideologiczną, własną już agenturę, która przeniknęła w całe społeczeństwo. Terlecki jako człowiek miał poniekąd również naturę konspiracyjną, jak zauważał we wspomnieniu o nim kolega po piórze – Włodzimierz Odojewski, który dużo o tych sprawach wiedział. Nie rzucał się jednak w oczy, nie udzielał się w podziemnej działalności, umiał poradzić sobie z cenzurą, a od lat 70. współpracował z Radiem Wolna Europa, o czym nikt, prócz Odojewskiego, nie wiedział, nawet jego własna żona. Pracował intensywnie, wydając kolejne książki, jakby przeczuwał przedwczesną śmierć. Pozostawił dzieło, które śmiało można uznać za wiekopomne. Dzieło o trudnej, skomplikowanej i nadal pełnej tajemnic, często tragicznej polskiej przeszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Muszkieterowie 1939–1942

Historia tej organizacji ciągle budzi zainteresowanie i nie stygną emocje. Przez brak ich archiwum trudno większość tego, co na ich temat napisano, rzetelnie zweryfikować. I ciągle jest niedosyt.

Szczególne emocje budzi dokument „Żydzi w Zuzannie" (z września 1942 r.), całkowicie niesłusznie przypisywany NSZ. I na jego podstawie dziesiątki już lat trwa wojna propagandowa, przypisująca tej organizacji nikczemne zamiary. Jednak, po pierwsze, jest to typowy meldunek wywiadowczy, bez jakichkolwiek sugestii, aby kogokolwiek pozbawić życia. Ot, rejestr osób z AK, posądzonych o żydowskie pochodzenie. Po drugie, dokument pochodzi z okresu, kiedy NSZ jeszcze nie istniały. Po trzecie, przy bardziej starannym badaniu okazuje się, że został sporządzony przez Muszkieterów („Mu"), a nie NSZ. Znamy nawet nazwisko osoby, która ten dokument sporządziła i osobiście podpisała. Był nim kpt. Stanisław Koczalski „Oskar", zastępca szefa kontrwywiadu Muszkieterów. Został on pod koniec 1942 r. aresztowany przez Niemców i zginął wkrótce w obozie na Majdanku.

Również oznaczenia kancelaryjne, uwidocznione na tym dokumencie, nie są zgodne z oznaczeniami NSZ. Poszukując innych rzeczy w państwowym archiwum, trafiłem niejako przy okazji na kilka dokumentów Muszkieterów (chyba dotychczas nieznanych) z lata i jesieni 1942 r. Przykro się to czyta, nawet po tylu latach. Widać usilne dążenie, aby odzyskać archiwum, zdaniem części kierownictwa „Mu" bezprawnie i przedwcześnie przekazane do AK. W grę wchodziły również pokaźne zasoby finansowe, skrzętnie gromadzone (na czarną godzinę) przez kpt. Stefana Witkowskiego „Inżyniera", twórcę i szefa tej organizacji. Bardzo ciekawe są wewnętrzne „porachunki" osób funkcyjnych w „Mu", np. raport z dochodzeń mjr. Wincentego Mischkego „150", który był szefem wywiadu wojskowego „Mu".

Owa rzekoma „lista proskrypcyjna NSZ", dotycząca kilku osób pochodzenia żydowskiego w AK, do dziś jest wykorzystywana w bieżącej propagandzie politycznej i pseudonaukowej. Objęła bardzo szerokie kręgi – od funkcjonariuszy PZPR i UB-SB (takich jak np. Maria Turlejska i ppłk Ryszard Nazarewicz), przez byłych działaczy AK (płk Jan Rzepecki, szef BiP KG i… wszystkowiedzący Władysław Bartoszewski), przez Annę Bikont (publicystkę „Gazety Wyborczej"), aż do historyków, w tym prof. Tomasza Szarotę i dr. Janusza Marszalca. A czasem wystarczy dołożyć „szczególnej staranności" (co jest powinnością historyka), aby dojść do prawdy. Prawda? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kabaret Dudek

W połowie lat 60. w Warszawie nie działał żaden profesjonalny kabaret. Koń zakończył działalność w 1959 r., Szpak cztery lata później, natomiast Wagabunda prowadziła wędrowny tryb życia, a premiery jej programów miały miejsce w Zakopanem. Wprawdzie cały czas funkcjonował Kabaret Starszych Panów, ale była to impreza telewizyjna, a nie regularny zespół grający dla zwykłej publiczności. Zresztą jego programy odgrywane na żywo emitowano co kilka miesięcy, zatem trudno mówić o regularnej działalności.

W gronie aktorów ze stolicy coraz częściej pojawiały się głosy, że w Warszawie powinien powstać kabaret literacki, który miałby kontynuować tradycje Qui Pro Quo. Tym bardziej że w stolicy był człowiek, który mógł zorganizować tego typu imprezę.

Edward Dziewoński, nazywany Dudkiem, miał skomplikowany życiorys. Urodził się w Moskwie w latach pierwszej wojny światowej, maturę uzyskał w Berlinie, a tuż przed agresją Niemiec na Polskę ukończył legendarny Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. Po zakończeniu drugiej wojny światowej grał w łódzkim teatrze Syrena, po czym wraz z zespołem przeniósł się do Warszawy. Był człowiekiem obdarzonym niezwykłym poczuciem humoru, dobrym organizatorem, a poza tym posiadał cechę ważną dla każdego szefa zespołu aktorskiego. Wszyscy go lubili, a on potrafił załatwiać najtrudniejsze sprawy nie tylko z uśmiechem, lecz także z wielką klasą. Dzięki temu premiera pierwszego programu kabaretu Dudek miała miejsce w kawiarni Nowy Świat w Warszawie, 13 stycznia 1965 r.

Po latach Dziewoński przyznawał, że jako szefowi kabaretu zdarzały mu się sytuacje, delikatnie mówiąc, kłopotliwe. Było to normalne zjawisko w pracy z zespołem ludzi, nawet jeżeli byli to znakomici aktorzy. A może właśnie z tego powodu. „Wymagało to ode mnie – przyznawał – rozmaitości cienkości dyplomatycznych i niekiedy niedyplomatycznego mówienia wprost, czego nie lubiłem, i zwracania nieraz prymitywnych uwag ludziom, będącym skądinąd na prawdziwie wysokim poziomie".

Inna sprawa, że Dziewoński zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który przez przypadek urodził się zbyt późno. Zdecydowanie lepiej czułby się w czasach drugiej RP, gdzie brylowałby w otoczeniu ówczesnych gwiazd teatru oraz estrady i zapewne jeszcze za życia stałby się legendą. Z tego powodu w powojennej Warszawie był zjawiskiem unikalnym i nic dziwnego, że gospodyni rodziny Osieckich dzieliła gości odwiedzających Agnieszkę na „chłopaków, dziewczyny, tzw. pospólstwo i pana Dziewońskiego"… ©℗

eprasa.pl e8066a002f

Z węgierskim generałem brygady Imrem Porkolábem
rozmawia Jacek Przybylski

Przeciąganie wojny nie leży w niczyim interesie

Podczas wojny na Ukrainie większość walk prowadzona jest za pomocą artylerii, czołgów etc. Istotne są też precyzyjne uderzenia rakietowe, amunicja krążąca, cyberarmia czy wykorzystanie kosmicznych satelitów FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

JACEK PRZYBYLSKI: W nowym rankingu Global Firepower Polska zajęła 20. miejsce, a Węgry 54. na 145 krajów. Rosja wciąż znajduje się na drugim miejscu po USA. Czy powinniśmy się obawiać, że w tym roku rosyjska armia pokaże swoją siłę na Ukrainie, a może i poza nią?

GEN. BRYG. IMRE PORKOLÁB: Muszę zacząć od tego, że w przeszłości nakreśliliśmy kilka scenariuszy dotyczących rosyjskich zdolności oraz zamiarów, lecz zupełnie rozminęły się one z rzeczywistością. Bardzo trudno jest więc przewidzieć, co tak naprawdę zamierza zrobić Rosja. Musimy być przygotowani na każdy scenariusz.

Po pierwsze, należy oddzielić możliwości Rosjan od ich zamiarów. Jeśli przyjrzymy się możliwościom, to zobaczymy bardzo dużo sprzętu, ale w większości jest to przestarzałe uzbrojenie, które nie nadaje się do użytku w tego typu konflikcie. Próba przewidzenia rosyjskich zamiarów jest o wiele trudniejszym zadaniem. Prognozy dotyczące tego, czy Rosja zamierza eskalować napięcie czy może będzie je deeskalować, zmieniają się praktycznie każdego tygodnia. Moim zdaniem w interesie wszystkich leży to, abyśmy jak najszybciej znaleźli dyplomatyczne rozwiązanie tego konfliktu, więc gdybym miał teraz udawać, że mam kryształową kulę, to powiedziałbym, że prawdopodobnie Rosjanie są gotowi pójść w kierunku szybkiej deeskalacji konfliktu.

Czyli jeszcze w tym roku będziemy świadkami końca tej wojny?

To zależy od tego, co rozumiemy przez „koniec tej wojny". Nie wykluczałbym, że w ciągu najbliższego roku uda się znaleźć jakieś pokojowe rozwiązanie i ogłosić koniec wojny. Jednak nawet jeśli w wyniku negocjacji pokojowych dojdzie do wytyczenia nowych granic na Wschodzie, to i tak należy się spodziewać kontynuacji walk w tym regionie. Będą one jednak przez obie strony utrzymywane poniżej pewnego progu intensywności, abyśmy oficjalnie nie musieli już mówić o wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Napięcia w tym rejonie pozostaną jednak na długo, więc należy być przygotowanym na wieloletni konflikt zbrojny.

Podziela pan zdanie tych ekspertów, którzy spodziewają się, że konflikt rosyjsko-ukraiński może potrwać nawet do roku 2032?

Osobiście nie wierzę, aby w czyimkolwiek interesie było przedłużanie wojny, zwłaszcza o 10 lat. Ta wojna już teraz bardzo dużo kosztuje Rosję. Jest ona również oczywiście kosztowna dla państw NATO, a zwłaszcza dla Europy. Żadna ze stron nie chce więc przedłużać wojny na pełną skalę. Z tego powodu szczerze wierzę, że w najbliższej przy-

eprasa.pl e8066a002f

szłości uda się znaleźć dyplomatyczne rozwiązanie.

Rosjanie grożą Polsce, Wielkiej Brytanii i innym krajom, które dostarczają na Ukrainę nowoczesny sprzęt wojskowy, użyciem broni atomowej. Czy rzeczywiście istnieje jakiekolwiek prawdopodobieństwo wojny nuklearnej między Rosją a NATO czy należy założyć, że nawet na Kremlu nikomu nie przyjdzie do głowy wcielać w życie atomowego scenariusza?

Znów oddzieliłbym możliwości od intencji. Wszyscy wiemy, że Rosjanie dysponują taktycznymi głowicami nuklearnymi, które w rosyjskiej doktrynie wojennej są niemalże równoważne z użyciem artylerii. Jednakże NATO bardzo jasno wyznaczyło w tej kwestii czerwone linie, precyzyjnie komunikując Rosji, że użycie taktycznej głowicy nuklearnej, nawet o najmniejszej mocy, będzie uważane za użycie broni jądrowej. Byłoby to bowiem coś niewyobrażalnego w XXI w.

Bardziej niepokoję się o wszelkiego rodzaju obiekty jądrowe, które znajdują się w obszarze działań zbrojnych, a które mogą zostać – niekoniecznie celowo – uszkodzone podczas wojny.

Rosjanie uważają jednak transfer broni na Ukrainę – zwłaszcza ofensywnej – za przekroczenie czerwonych linii wyznaczonych przez Moskwę.

Wielokrotnie już ogłaszaliśmy, że Węgry opowiadają się za pokojem. To nie oznacza, że nie pomagamy Ukraińcom, np. zapewniając szkolenia. Chcielibyśmy jednak bardzo, aby ten konflikt zakończył się tak szybko, jak to tylko możliwe.

Odbierając Ukrainie prawo do obrony?

Absolutnie nie. Ukraina ma pełne prawo do obrony. Jasno potępiamy każde działania, które naruszają suwerenność i integralność terytorialną innego kraju. W XXI w. nie może być na to zgody. Wierzę więc, że wspieranie Ukrainy za pomocą dostaw uzbrojenia lub innymi sposobami – jak robią to Węgry – jest absolutnie potrzebne, aby pomóc narodowi w potrzebie, choć trzeba się liczyć z tym, że takie działania mogą doprowadzić do eskalacji konfliktu. Dostarczanie Ukrainie zbyt dużej ilości broni niekoniecznie prowadzi do skrócenia tej wojny.

Poza tym trzeba jasno zauważyć różnicę między bronią defensywną – dostarczaną od początku konfliktu – oraz ofensywną. Czołgi nie są bronią defensywną i wszyscy o tym wiemy. Czołgi są potrzebne do przeprowadzania kontrofensyw i odbijania terytoriów, które już znajdują się pod okupacją.

Polska podejmuje więc duże ryzyko, dostarczając czołgi Ukrainie?

Nie będę tego komentować. To decyzja Polski, do której ma ona prawo, jeśli czuje taką potrzebę. Takie działanie z pewnością zdecydowanie zmienia możliwości sił ukraińskich.

Węgry są jednak jedynym sąsiadującym z Ukrainą krajem NATO, który nie tylko nie wysyła uzbrojenia, lecz także oficjalnie nie pozwala nawet na transfer broni dla Ukrainy przez swoje terytorium. Nie brakuje głosów, że Węgry są koniem trojańskim Putina w sojuszu...

To niedorzeczne. Od dawna jesteśmy lojalnym członkiem NATO. Węgierskie gripeny do niedawna pełniły dyżur polegający na ochronie litewskiego nieba w ramach misji Baltic Air Policing. Udzielamy również Ukrainie wszelkiej pomocy potrzebnej złagodzenia humanitarnych skutków tego konfliktu. Rzeczywiście Węgry postawiły pewne granice dotyczące rodzaju udzielanej pomocy. Musimy bowiem chronić zamieszkującą obszary przygraniczne mniejszość węgierską przed potencjalnymi uderzeniami ze strony Rosji. Widzieliśmy już przykłady rosyjskich ataków na szlaki dostawy broni. Nie możemy narażać Węgrów na niebezpieczeństwo, zwłaszcza że broń dla Ukrainy dociera do nich przecież innymi kanałami.

Zanim dojdzie do zawarcia układu pokojowego, Rosja może jednak spróbować swojej ulubionej taktyki „deeskalacji poprzez eskalację". Ponoć wkrótce do wojny jawnie po stronie agresora dołączyć ma Białoruś. To istotnie zmieniłoby obraz konfliktu?

Ze strategicznego punktu widzenia: tak. Walka na dwa fronty wymagałaby jednak od Ukrainy innego podziału sił. Udział Białorusi w konflikcie zbrojnym nie ułatwiłby również rozmów pokojowych. Przeciwnie – włączenie kolejnych państw doprowadziłoby do poważnej eskalacji konfliktu. Jeśli tak by się stało, to oznaczałoby, że Rosjanie podjęli jednak decyzję o przedłużeniu i zaostrzeniu wojny.

Rosjanie we współpracy z Białorusinami jeszcze przed otwartym atakiem na Ukrainę prowadzili akcje dywersyjne przeciw Polsce, kierując na granicę białorusko-polską tysiące nielegalnych migrantów.

We współczesnym świecie większość konfliktów ma charakter hybrydowy. Ich częścią są nie tylko cyberataki, z którymi już od dawna mamy do czynienia. Ważnym elementem jest też domena informacyjna. To właśnie tu można dostrzec wrogie działania, zanim jeszcze konflikt zbrojny się rozpocznie. W dzisiejszych czasach wszyscy toczą więc wojnę informacyjną. Elementem wojny hybrydowej są również akcje przerzutu nielegalnych migrantów. W czasach, gdy islamscy terroryści byli jeszcze dość silni, wiele osób w Europie bało się – nie bez przyczyny – że na Stary Kontynent wraz z migrantami dostaną się muzułmańscy bojownicy, którzy mogą przez lata pozostać w uśpieniu, czekając na odpowiedni rozkaz. Podczas współczesnych wojen nie od razu można rozpoznać wroga. Nawet podczas konfliktu na Ukrainie obserwujemy, że poza głównymi siłami rosyjskiej armii funkcjonują np. Grupa Wagnera czy inne paramilitarne, prywatne firmy.

Kiedy armie takich krajów Polska czy Węgry będą na tyle nowoczesne i dobrze wyposażone, że Polacy i Węgrzy będą mogli przestać się bać ewentualnego ataku, np. ze strony Rosji?

Jako członkowie NATO już teraz możemy się czuć bezpieczni i nie obawiać się rosyjskiej agresji. Wszystkie symulacje wojny między Rosją a NATO, które wykonywaliśmy, nie kończyły się dobrze dla Rosjan. I Rosja dobrze zna te wyniki i rozumie ewentualne konsekwencje. Rosjanie próbują testować granice tego, jak daleko mogą się posunąć ze swoją inwazją. Jestem jednak przekonany, że są świadomi tego, iż istnieje potężna czerwona linia, której nawet oni nie będą chcieli przekroczyć, bo doskonale wiedzą, jak to się dla nich skończy. Jednocześnie mam ogromną nadzieję, że nie zmierzamy do eskalacji konfliktu na Ukrainie, bo doprowadziłaby ona do zaangażowania najróżniejszych krajów i do wybuchu wojny totalnej.

Z drugiej strony rosyjska agresji wpłynęła na przyspieszenie modernizacji europejskich sił zbrojnych.

Tak, Węgry w szybkim tempie budują swoją Żelazną Kopułę, która nie tylko

eprasa.pl e8066a002f

będzie chronić suwerenność Węgier, lecz także będzie służyć całemu NATO.

A co z pieniędzmi? Przed wybuchem wojny na Ukrainie wiele europejskich rządów oszczędzało na wydatkach na zbrojenia i nie wydawało nawet wymaganych przez NATO 2 proc. PKB. Rosja rocznie na wojsko przeznacza ponad 4 proc. PKB. Nastawienie Europy do wojska wreszcie się zmieniło?

Cieszę się, że Węgry osiągną już w tym roku poziom 2 proc. Biorąc pod uwagę węgierskie ambicje, wierzę, że powinno się jeszcze mocniej podnieść poziom wydatków na zbrojenia. Niektóre kraje już wydają ponad 2 proc. i widzą tego rezultaty. Odpowiedź zależy od tego, jak szybko politycy danego państwa chcieliby widzieć nie tylko zmodernizowane siły zbrojne, lecz także np. rozbudowany własny przemysł zbrojeniowy. Trzeba też mądrze wydawać pieniądze, a więc nie tylko kupować nowe uzbrojenie, lecz także produkować je we własnych fabrykach. Dzięki temu nie tylko można taniej pozyskać nowy sprzęt, lecz także taniej go utrzymywać.

Czyli wojna na Ukrainie paradoksalnie sprawiła, że Europa Środkowa ma szansę stać się bezpieczniejsza, niż była w lutym 2022 r.?

Rzeczywiście, jednym z wniosków wyciągniętych w wyniku tej wojny jest to, że powinniśmy być w stanie sami się obronić. Od dawna toczyła się dyskusja o tym, że nie możemy w tak dużym stopniu opierać własnej obrony na Stanach Zjednoczonych, które coraz mocniej skupiają się na Azji i Pacyfiku. Zarówno budowa nowoczesnych sił zbrojnych w Europie, jak i odbudowa przemysłu zbrojeniowego z pewnością pozytywnie wpłyną na bezpieczeństwo regionu. Inwestycje w innowacje wojskowe napędzą również inne dziedziny gospodarki, wiele wynalazków wojskowych może mieć bowiem także cywilne zastosowanie.

Rosyjska agresja, pandemia oraz kryzys energetyczny uświadomiły też młodemu pokoleniu, że pokój nie jest dany raz na zawsze. Myślenie młodych naprawdę się zmienia.

W NATO jest pan jednym z oficerów odpowiedzialnych za innowacje i przekształcanie armii w wojska na miarę XXI w. Jak wojna na Ukrainie wpłynęła na modernizację sił zbrojnych w Europie Środkowej?

Rosyjska agresja, pandemia oraz kryzys energetyczny uświadomiły młodemu pokoleniu, że pokój nie jest dany raz na zawsze

Obserwujemy, co jest najistotniejsze w przebiegu wojny, i wyciągamy wnioski, które wykorzystujemy przy modernizacji naszych sił zbrojnych. Precyzyjne uderzenia rakietowe, amunicja krążąca, rola cyberarmii, skala wykorzystania kosmicznych satelitów, nowoczesne drony – to elementy, które na współczesnym polu walki odgrywają istotną rolę. Ciekawe jest również to, że większość walk prowadzona jest tradycyjnymi środkami, czyli za pomocą artylerii, czołgów, a na terenie miast za pomocą broni palnej, gdzie wymiana ognia prowadzona jest przeważnie na dystansie do 100 m. Nie są to szczególnie zaawansowane technologie. Wojna rosyjsko-ukraińska to jednak stosunkowo nietypowy konflikt między dwoma stosunkowo dużymi narodami.

Każdy kraj powinien znaleźć właściwy balans między tradycyjnymi siłami zbrojnymi, które będą stanowić podstawę odstraszania wroga, a nowoczesnymi technologiami, które mogą istotnie zwiększyć jakość sił zbrojnych i być czynnikiem decydującym o zwycięstwie podczas konfliktu.

Na przykład?

Szalę zwycięstwa podczas wojny mogą przechylić np. zdolności cyberofensywne. Kolejnym przykładem są z pewnością nowoczesne drony, a także roje dronów wojskowych, składające się z setek, a nawet tysięcy maszyn w jednym roju. Sposób prowadzenia wojny zmienia również sztuczna inteligencja (AI). Średnio co sześć tygodni następuje pewien przełom i uczymy się czegoś nowego w sferze AI. Cyfrowe technologie zmieniają zaś nie tylko sposób, w jaki myślimy o wojnie, lecz także nasze zdolności do uczenia się i dostosowywania do nowych warunków. Sądzę, że w przyszłości zwycięstwa na polach bitew będą odnosić te siły zbrojne, które są bardziej elastyczne i które potrafią jak najlepiej wykorzystać posiadany sprzęt.

Kiedy tradycyjne armie zmienią się w siły zbrojne na miarę XXI w.?

Myślę, że to będzie stopniowy proces, a data zależy od tego, o którą armię konkretnie pan pyta. Amerykańscy marines autonomicznych pojazdów na polu bitwy używają już od trzech, czterech lat. A w ich bazie w Quantico można oglądać wojskowe drony, z których część jest tak stara, że nie jest już nawet wykorzystywana. Z kolei w innych siłach zbrojnych pojazdy autonomiczne i drony są dopiero wprowadzane do użytku. Oczywiście w początkowym okresie wymaga to większej liczby żołnierzy, bo żeby skutecznie walczyć dronem, potrzebny jest jego operator. W ciągu pięciu, góra 10 lat powinniśmy jednak dojść do momentu, w którym te urządzenia – zarówno operujące na lądzie, jak i w powietrzu – będą w dużo większym stopniu autonomiczne. To doprowadzi do jakościowej zmiany w siłach zbrojnych. Będzie potrzeba mniej ludzi, ale dużo lepiej wykształconych, doskonale rozumiejących nowoczesne technologie i nadążających za nowymi trendami. Zarówno sprzęt, jak i oprogramowanie będą się bowiem zmieniać jeszcze szybciej niż obecnie. W innowacjach chodzi zaś nie tyle o wymyślane nowych technologii, ile o ich wdrażanie. Historia zna wiele podobnych przykładów: samuraje zostali pokonani za pomocą odpowiednio zastosowanej strategii wykorzystania muszkietów.

Nie oglądał pan chyba „Terminatora"...

Wiem, że wszyscy się boją systemów autonomicznych. Od dawna różne technologie mogą być wykorzystywane zarówno w dobrych, jak i w złych celach. Większość ludzi nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że technologie militarne są o wiele bezpieczniejsze niż cywilne, bo podlegają tak wielu różnych procedurom i regulacjom, że czasem trudno uwierzyć, iż w ogóle udaje się je opracować. Nie trzeba się więc bać powrotu Terminatora.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

gen. Imre Porkoláb
– węgierski generał brygady, w grudniu 2022 r. został wybrany na zastępcę szefa rady dyrektorów NATO-wskiej sieci innowacji Defence Innovation Accelerator for the North Atlantic (DIANA).

eprasa.pl e8066a002f

Wszyscy wrogowie Zełenskiego

Maciej Pieczyński

Na Zachodzie uważany jest za bohatera narodowego bez skazy. Również we własnym kraju cieszy się ogromnym poparciem, ma jednak także nieprzejednanych przeciwników politycznych. Kim są i jakie argumenty mają ukraińscy krytycy Wołodymyra Zełenskiego?

W ubiegłym tygodniu rezygnację ze stanowiska doradcy biura prezydenta złożył jeden z najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli ekipy rządzącej nad Dnieprem. „Chcę pokazać przykład cywilizowanego zachowania. Popełniłem zasadniczy błąd, więc muszę odejść" – tak swoją decyzję wyjaśnił w mediach społecznościowych Ołeksij Arestowycz. Błędem, do którego się przyznał, było publiczne podanie najwyraźniej nieprawdziwej informacji o tym, jakoby w blok mieszkalny w Dnieprze uderzyła rosyjska rakieta, zestrzelona przez ukraińską obronę przeciwlotniczą. Co więcej, tę wersję wydarzeń zaprezentował w jednej z licznych rozmów z opozycyjnym rosyjskim prawnikiem Markiem Fejginem. Opozycyjni deputowani do Rady Najwyższej zaczęli zbierać podpisy pod petycją do Andrija Jermaka, szefa biura prezydenta, o dymisję Arestowycza, który postanowił jednak odejść z własnej woli.

CZŁOWIEK ROKU 2022?

Zanim wybuchła afera z rakietą, Arestowycz kilkukrotnie pozwolił sobie na otwartą krytykę Zełenskiego. Zarzucił prezydentowi złamanie wyborczych obietnic. W programie „Romanenko. Rozmowy" stwierdził, że Zełenski zrezygnował z tego, co było jego atutem, czyli z bezpośrednich spotkań z Ukraińcami. „Kiedy on ostatnio występował publicznie, nie przed kamerą, a przed ludźmi?" – pytał retorycznie. Krytykował nie tylko prezydenta, lecz także generalnie ekipę rządzącą, przy czym używał pierwszej osoby liczby mnogiej, podkreślając swoją współodpowiedzialność: „Kim się staliśmy? Biurokracja, protokoły, raporty… Mocniejszego ciosu w jaja nie mogliśmy sobie wymierzyć. Zrobiliśmy ze sobą najgorsze, co można było zrobić – zbiurokratyzowaliśmy się. Mieliśmy być wesołymi chłopakami, którzy są po stronie ludu, mszczą się na oligarchach, reformują kraj. Gdzie to wszystko?". Arestowycz krytykował też władze za walkę z Ukraińską Cerkwią Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego. Jest ona uważana za rosyjską agenturę wpływu, ale zdaniem byłego już doradcy biura prezydenta próba delegalizacji UCP PM to idiotyzm, który może zepsuć wizerunek Ukrainy na Zachodzie i zadziałać na korzyść Rosji. Idiotyzmem Arestowycz nazwał również ukrainizację i kulturową walkę z językiem rosyjskim (sam jest rosyjskojęzyczny).

Jeśli tego typu wypowiedzi były prawdziwą przyczyną odejścia, to Arestowycz do dymisji mógł zostać nakłoniony. Gdyby sam chciał odejść, powodowany niezadowoleniem z działań Zełenskiego, ogłosiłby taką właśnie przyczynę, zamiast przyznawać się do kompromitującego błędu, szkodliwego dla wizerunku Ukrainy. Przy czym, co ciekawe, w przeszłości, zanim wszedł w skład ekipy rządzącej, Arestowycz wielokrotnie negatywnie wypowiadał się o ekipie Sługi Narodu. Kilka lat temu stwierdził, że głosować na Zełenskiego mogły tylko poj.by. „Jesteśmy w stanie wojny z Rosją, która nigdy się nie skończy. Jak można było w tej sytuacji wybrać człowieka, który mówi, że wojna nie znajduje się w sferze jego priorytetów?! To nie był nawet strzał w stopę, to była seria z karabinu maszynowego w tępy łeb, która jednak nikogo ni cholery niczego nie nauczyła. Trzeba być skończonym kretynem, żeby w kraju, który prowadzi wojnę, wybierać człowieka, który mówi, że nie lubi wojny i chce ją zakończyć" – tłumaczył Arestowycz.

To kolejna z jego nietrafionych analiz – „pacyfista" Zełenski okazał się bowiem bardzo sprawnym liderem na czas wojny. Niechętnie przyznają to nawet jego przeciwnicy polityczni. Symptomatyczna jest ankieta portalu Glavcom.ua. Zapytano w niej ukraińskich polityków o to, kto ich zdaniem jest człowiekiem roku 2022. Jarosław Żelezniak z partii Hołos, Ołeksij Kurczenko z partii Julii Tymoszenko Batkiwszczyna oraz Mykoła Skoryk z Platformy „Za Życie i Pokój" (dawna, zdelegalizowana po 24 lutego prorosyjska partia Platforma Opozycyjna „Za Życie") – zdecydowanie i bez niuansowania wskazali na Zełenskiego. Wprost prezydenta nie pochwalił jedynie Wołodymyr Wiatrowycz. W Polsce znany głównie jako piewca kultu OUN-UPA, obecnie jest parlamentarzystą Solidarności Europejskiej – partii Petra Poroszenki, najgroźniejszego rywala Sługi Narodu. Zdaniem Wiatrowycza człowiekiem roku jest cały naród ukraiński, dla wielu personifikowany przez Zełenskiego.

Poroszenko i Zełenski oficjalnie zakopali topór wojenny na czas wojny. Powstrzymują się od wzajemnych ataków personalnych w imię walki ze wspólnym wrogiem ze wschodu. Jednak konflikt nie został całkiem zażegnany. Walka

eprasa.pl e8066a002f

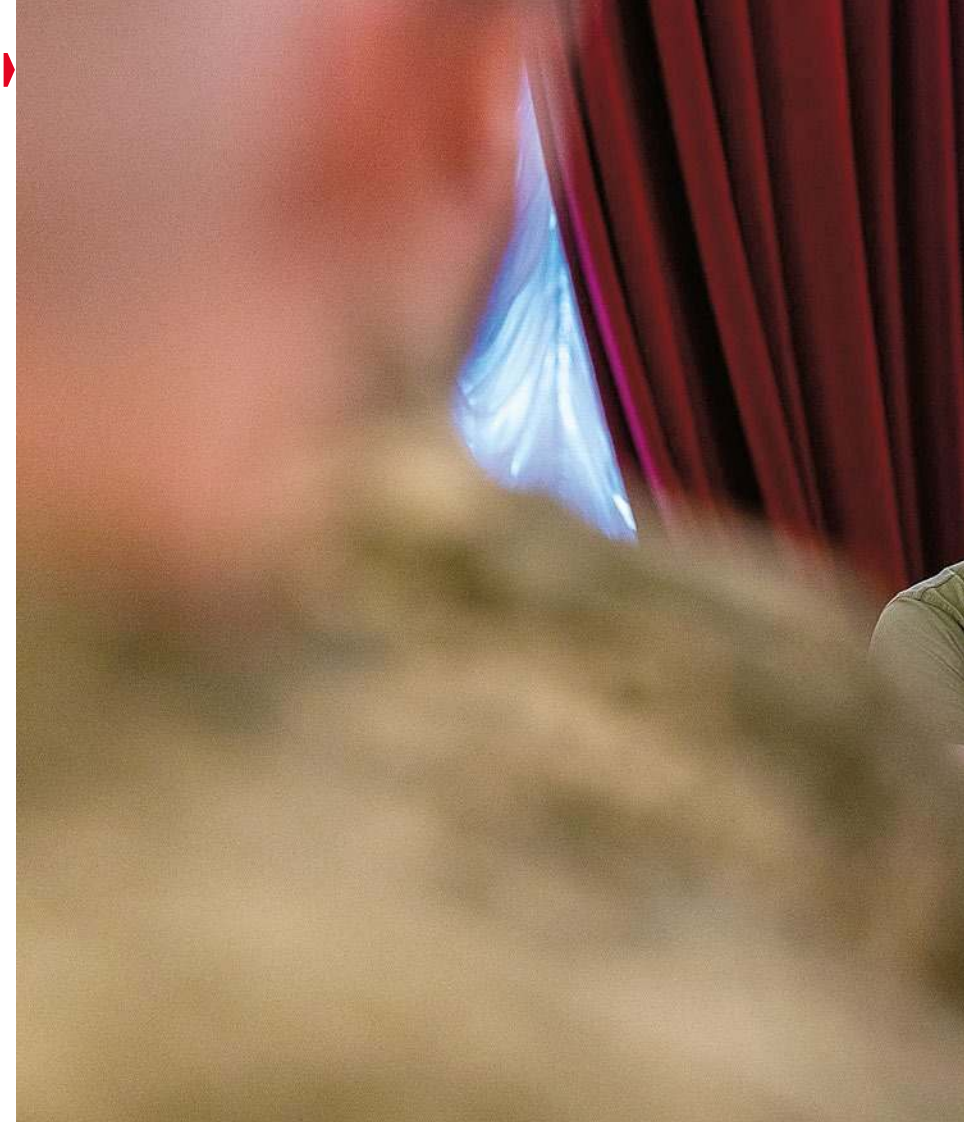

polityczna trwa. Władze wyłączyły nadawanie związanych z Poroszenką kanałów telewizyjnych, które nie krytykowały otwarcie prezydenta, a także nie powtarzały słowo w słowo oficjalnego przekazu. Można je oglądać wyłącznie w Internecie. Niedawno Poroszenko został wykluczony z ukraińskiej delegacji na posiedzenie Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Wcześniej kilka razy liderowi opozycji zabraniano wyjazdu z Ukrainy, oficjalnie z powodu braku odpowiednich dokumentów. Sam zainteresowany twierdził jednak, że pogranicznicy działali na zlecenie biura prezydenta. Wówczas ostatecznie dostał zgodę na wyjazd po tym, jak zwrócił się o to z prośbą bezpośrednio do Zełenskiego. Inna sprawa, że na Poroszence ciążą zarzuty o zdradę stanu i wspieranie terroryzmu. Chodzi o handel z separatystami i współpracę z prorosyjskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem, którego zeznania Poroszenkę obciążają.

WOJNA UKRAIŃSKO-UKRAIŃSKA

Spór Sługi Narodu z Solidarnością Europejską to prawdziwa „wojna ukraińsko-ukraińska". Podczas gdy Poroszence nie wypada otwarcie atakować Zełenskiego, jego ludzie z krytyką się nie kryją. Cały zachodni świat i ogromna większość Ukraińców zachwycały się noworocznym przemówieniem Wołodymyra Zełenskiego. Powszechnego wzruszenia słowami prezydenta nie podzielali jednak działacze Europejskiej Solidarności. „Prezydent sam jeden na koniu z mieczem w ręku nie broni państwa ukraińskiego. Za nim stoją miliony żołnierzy i wolontariuszy. Dlaczego więc podczas przemówienia stał sam?" – pytała na antenie kanału Perszyj Sofia Fedyna, znana z tego, że kiedyś publicznie groziła Zełenskiemu śmiercią za to, iż podniósł głos na żołnierzy na linii frontu w Donbasie.

Komentując noworoczne przemówienie, po raz kolejny powtórzyła listę zarzutów pod adresem prezydenta i jego ekipy. Warto przytoczyć jej argumenty, ponieważ bardzo rzadko pojawiają się one w polskiej i zachodniej przestrzeni publicznej, gdzie dominuje jednoznacznie pozytywny obraz władz w Kijowie. Otóż zdaniem Fedyny inwazja poszła Rosjanom zbyt łatwo. Zbyt szybko padł m.in. Chersoń. Po drugie, parlamentarzystka z partii Poroszenki krytykuje Zełenskiego za to, że zignorował ostrzeżenia zachodnich partnerów i, nie wierząc w pełnowymiarową agresję, zaniechał przygotowań do obrony.

To zarzut dość często formułowany przez opozycję oraz sprzyjające jej media. „Z powodu kłamstwa Zełenskiego zginęły dziesiątki tysięcy ludzi [...]. Putin ma ręce umoczone we krwi Ukraińców, jest mordercą. Zełenski ma we krwi portfel i język. Jest kłamcą" – stwierdził pod koniec listopada 2022 r. znany dziennikarz śledczy Jurij Butusow na antenie należącej do Poroszenki telewizji – Kanał 5. Butusow przypomniał swoją kłótnię z Zełenskim podczas konferencji prasowej, kilka miesięcy przed inwazją. Zapytał wówczas prezydenta, dlaczego z naruszeniem prawa o lustracji na stanowisko szefa komitetu ds. wywiadu mianował „rosyjskiego agenta" Rusłana Demczenkę. Co istotne, Demczence agenturalnej działalności nigdy nie udowodniono, niemniej wiele wskazuje na jego związki z Moskwą. Jako szef komitetu ds. wywiadu przy prezydencie odpowiadał m.in. za rozpoznanie planów Rosji.

Z tego zadania się nie wywiązał, jako że kraj – zdaniem Butusowa – nie był przygotowany do obrony, a sam Zełenski w inwazję nie wierzył. Mimo to dopiero po kilku miesiącach Demczenko stracił posadę, a po dymisji nie trafił za kratki. Według Butusowa tolerowanie „agenta Rosji" w najbliższym otoczeniu prezydenta tłumaczy, dlaczego: oddano bez walki Melitopol i Berdiańsk, co otworzyło Rosjanom „korytarz na Krym"; nie przygotowano masowej ewakuacji ludności cywilnej, co doprowadziło do licznych ofiar; nie zniszczono mostów na Dnieprze w Chersoniu; „zamiast umocnień obronnych do ostatniego dnia budowano drogi na trasach najazdu Rosjan"; z terenów walk nie zostały ewakuowane strategiczne zakłady przemysłu zbrojeniowego; w ciągu trzech lat prezyden-

eprasa.pl e8066a002f

W dziejach niepodległej Ukrainy żaden prezydent nie miał tyle władzy, co Wołodymyr Zełenski

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

tury Zełenskiego nie kupowano w ogóle pocisków artyleryjskich; kierownictwo SBU (zdymisjonowane po 24 lutego) obwiniane jest dziś o zdradę stanu, choć o jego związkach z Moskwą mówiono już przed inwazją. „Wielomiesięczne ostrzeżenia ze strony państw NATO o planowanym ataku Zełenski i jego „słudzy" nazywali prowokacjami i zamiast ogłosić mobilizację, okłamywali ludzi, nie dając im możliwości samodzielnego działania" – grzmiał Butusow. Zełenski, wielokrotnie odpowiadając na oskarżenia o zaniechanie przygotowań, argumentował, że nie chciał siać paniki w społeczeństwie i odstraszać inwestorów.

Międzynarodowa sława Zełenskiego jest solą w oku jego przeciwników politycznych. Gdy występował przed Kongresem USA, Wiatrowycz przypominał, że przed nim takiego zaszczytu dostępowali również Poroszenko i Juszczenko. Recenzując kolejną pochwalną biografię Zełenskiego, historyk nie bez racji przekonywał, że Zełenski nie zawsze był wielkim patriotą, że dopiero wojna zmieniła go na lepsze, jak zresztą zmieniła większość Ukraińców. Zwolennicy Poroszenki często ironizują, że jedyną zasługą Zełenskiego jest to, iż odmówił ewakuacji z Kijowa. Stąd złośliwy przydomek prezydenta „bonewtik" („bonieuciekł"). Oburzają się, że Zełenski wszedł w buty Poroszenki, wbrew swoim dawnym poglądom de facto realizując program „Armia, język, wiara". Co rozsądniejsi krytycy prezydenta cieszą się z tego faktu.

OGROMNE POPARCIE

Ludzie Poroszenki nieśmiało oskarżają ludzi Zełenskiego o współpracę z wciąż obecnymi na Ukrainie prorosyjskimi siłami politycznymi. Po inwazji władze zdelegalizowały Platformę Opozycyjną „Za Życie". Należący do tego ugrupowania deputowani w obawie przed konsekwencjami zmienili front i opowiedzieli się po stronie Kijowa. A dokładniej – po stronie Sługi Narodu, stając się maszynkami do głosowania dla partii rządzącej. Solidarność Europejska zyskała w ten sposób pretekst, by uderzyć w Zełenskiego. Niedawno jednak parlamentarzysta Sługi Narodu Ołeh Dunda zebrał 150 podpisów pod wnioskiem do przewodniczącego Rady Najwyższej o rozpatrzenie pozbawienia mandatów pogrobowców po rosyjskiej piątej kolumnie. To jednak nie przekonało polityków SE. Podpisy składane były pod pakietem propozycji, a sprawa deputowanych była tylko jedną z nich. Odmowę podpisu władza przedstawiła jako odmowę walki z rosyjską piątą kolumną, umiejętnie uderzając w polityków Poroszenki, którzy nie chcieli poprzeć wniosku. Zdaniem Wiatrowycza, gdyby słudzy narodu naprawdę chcieli walczyć z deputowanymi z POZŻ, ci ostatni już dawno siedzieliby w więzieniu. Zbieranie podpisów nazwał „tanim spektaklem", imitacją walki z rosyjskimi wpływami. Z drugiej strony wypada pamiętać, że Zełenski nie tylko zdelegalizował Platformę Opozycyjną, lecz także, jeszcze przed inwazją, pozbawił wpływów kuma Putina Wiktora Medwedczuka, któremu w czasach Poroszenki ani jeden polityczny włos z głowy nie spadł.

W dziejach niepodległej Ukrainy żaden prezydent nie miał tyle władzy, co Wołodymyr Zełenski po 24 lutego. Poroszenkowska opozycja zarzuca mu autorytarne tendencje, cenzurę mediów, wykorzystywanie służb do walki politycznej (vide: sprawa Poroszenki i jego powiązań z Medwedczukiem), wciąż jednak Zełenski cieszy się ogromnym poparciem. Obraz sympatii wyborczych daje sondaż, w którym Centrum Razumkowa poprosiło Ukraińców o wskazanie człowieka roku 2022. Pięćdziesiąt dziewięć procent zagłosowało na Zełenskiego. Dziesięć procent otrzymał głównodowodzący gen. Walerij Załużny. Po 2,4 proc. głosów zdobyli Arestowycz i Poroszenko. Po jednym procencie respondentów wyróżniło doradcę prezydenta Mychajła Podolaka oraz popularnego wolontariusza Serhija Prytułę, który może być przyszłością ukraińskiej polityki. Jesienią 2023 r. powinny odbyć się wybory parlamentarne, z kolei wiosną 2024 r. – prezydenckie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Trup w garażu prezydenta

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Piotr Włoczyk

Joe Biden dorobił się kolejnego politycznego trupa w szafie. Tym razem amerykańska opinia publiczna dowiedziała się o tajnych dokumentach przechowywanych w garażu obok ukochanego auta prezydenta

Mina Bidena mówiła wszystko. Prezydent USA uważa takie sytuacje za kompletnie dyskwalifikujące dla polityka. „Jak to się mogło stać? Jak ktoś może być tak nieodpowiedzialny? Zastanawiałem się, co tam mogło być, co mogło spalić nasze metody i źródła. To było totalnie nieodpowiedzialne" – odpowiedział Biden na pytanie dziennikarza stacji CBS w sprawie tajnych dokumentów odnalezionych w posiadłości Donalda Trumpa w Mar-a-Lago.

Wywiad nagrany został w październiku zeszłego roku, gdy prezydent USA nie wiedział jeszcze, że trzy miesiące później jego słowa będą powszechnie odebrane jako szczyt hipokryzji.

W tym czasie bowiem okazało się, że Biden przez sześć lat po zakończeniu pracy u boku Baracka Obamy przetrzymywał w dwóch – kompletnie do tego nieprzystosowanych – miejscach tajne dokumenty. Najciekawsze jednak jest to, że o ile 2 listopada pracownicy Bidena poinformowali służby o swoim „odkryciu", o tyle opinia publiczna nie została o tym fakcie powiadomiona. Obóz Bidena musiał wtedy przeżywać wyjątkowo stresujące chwile, mając nadzieję, że ta żenująca historia nie ujrzy światła dziennego jeszcze przynajmniej przez kilka dni, czyli do wyborów do Kongresu.

Na szczęście dla Białego Domu polityczna bomba wybuchła dopiero po Nowym Roku. Amerykańscy wyborcy dowiedzieli się poniewczasie, że ich prezydent trzymał ściśle tajne dokumenty w co najmniej równie nieodpowiednich miejscach, co jego poprzednik, którego oskarżał o „totalną nieodpowiedzialność". Pierwszą partię rządowych dokumentów z gryfem „top secret" zlokalizowano w Penn Biden Center for Diplomacy and Global Engagement. Ten powstały w 2017 r. think tank Bidena działa w ramach University of Pennsylvania, a jego istnienie zbiega się w czasie z niezwykle wysokimi datkami z Chin. Od momentu powstania think tanku Bidena University of Pennsylvania zainkasował ponad 50 mln dol. pochodzących od anonimowych darczyńców z Chin. Oczywiście prawdą jest, że samo Penn Biden Center for Diplomacy and Global Engagement nie notowało podobnych wpłat, ale jednak think tank działa w ramach University of Pennsylvania i finansowany jest przez tę instytucję.

Republikanie głośno dziś pytają, czy chińskie datki nie miały przypadkiem związku z działalnością skompromitowanego syna prezydenta Huntera, który bez żenady oferował partnerom biznesowym spotkania ze swoim ojcem wiceprezydentem oraz innymi ważnymi urzędnikami federalnymi. W 2017 r. gazeta „The New York Post" ujawniła, że Hunter Biden miał otrzymywać rocznie 10 mln dol. od jednego z chińskich miliarderów w zamian za usługi lobbystyczne. Chodziło o przedstawianie jego ludzi odpowiednio ważnym amerykańskim urzędnikom.

W chińskim wątku biznesów Huntera Bidena pojawia się również Biden senior.

eprasa.pl e8066a002f

W 2013 r. ówczesny wiceprezydent USA pojechał z oficjalną wizytą do Pekinu. Na pokładzie samolotu znalazł się Hunter, dla którego ta wycieczka okazała się niezwykle opłacalna. Syn zastępcy Baracka Obamy poznał wówczas bankiera Jonathana Li, który dwa tygodnie później załatwił mu pracę w radzie nadzorczej kierowanej przez siebie spółki. Republikanie zapowiadają, że dokładnie sprawdzą, na jakiej zasadzie działał think tank Bidena, gdzie trafiały chińskie pieniądze i komu konkretnie mogły służyć przechowywane tam tajne dokumenty rządowe. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że część odkrytych materiałów dotyczy Iranu, Wielkiej Brytanii i Ukrainy.

POLITYCZNA BOMBA

Kilka dni po wybuchu tej politycznej bomby doszło do kolejnej sensacji. Tym razem okazało się, że tajne rządowe dokumenty przechowywane były również w prywatnym domu prezydenta w Wilmington w stanie Delaware. A konkretnie w garażu obok jego 60-letniej corvetty. Podczas konferencji prasowej prezydent USA bronił się, podkreślając, że dokumenty nie leżały przecież na ulicy, tylko były trzymane w „zamykanym garażu". W obu przypadkach znalazcami nie byli agenci federalni, lecz pracownicy Bidena. Za drugim razem przy „odkryciu" byli już jednak obecni jego prawnicy, co pozwala podejrzewać, że niewiele było w tym przypadku. Stan wiedzy prezydenta jest tu rzeczą kluczową. Amerykańskie prawo przewiduje bowiem karę w przypadku umyślnego przetrzymywania tajnych dokumentów w miejscach do tego nieprzystosowanych i po okresie sprawowania danej funkcji. Joe Biden przekonuje wprawdzie, że nie miał zielonego pojęcia, iż „ktoś" wyniósł z Białego Domu tajne dokumenty i wsadził je do jego garażu oraz do biura jego think tanku, ale jego przeciwnicy polityczni są mocno sceptyczni wobec tej wersji.

Nietrudno sobie wyobrazić, ile radości sprawiły te doniesienia Donaldowi Trumpowi, który mierzy się z podobnymi problemami.

„Mar-a-Lago jest bardzo bezpiecznym obiektem, pełnym kamer i pilnowanym przez naszych pracowników i nasze wspaniałe Secret Service. Mam informacje na temat wszystkich!" – zachwalał swoją posiadłość były prezydent, komentując wybuch afery z dokumentami Biedna. Jak widać, Trump wciąż uważa Mar-a-Lago za doskonałe miejsce do trzymania sekretów amerykańskiego rządu.

Sensacyjne odkrycia w domu i w biurze Bidena sprawiły, że w Partii Demokratycznej zaczęły kwitnąć teorie spiskowe

Teczki z napisem „top secret" stały się koszmarem demokratów. Wszyscy bowiem doskonale pamiętają, jak łatwo przychodziło czołowym politykom ich partii krytykowanie Donalda Trumpa w tym kontekście. Jeżeli więc prokurator generalny USA, Merrick Garland, powołał specjalnego śledczego, którego zadaniem jest prześwietlenie zachowania republikańskiego prezydenta w kontekście tajnych dokumentów przetrzymywanych w Mar-a-Lago, to czy kolejny śledczy nie powinien się przyjrzeć papierom wyniesionym przez Bidena? Ostatecznie Garland podjął taką właśnie decyzję i tym samym dwóch uznanych prokuratorów prowadzi śledztwa w sprawie tajnych dokumentów, niezbyt poważnie potraktowanych przez dwóch kolejnych prezydentów USA.

SZCZYTY HIPOKRYZJI

Sensacyjne odkrycia w domu i biurze Bidena sprawiły, że po stronie demokratycznej zaczęły kwitnąć kolejne teorie spiskowe. Niektórzy demokraci zaczęli nawet wskazywać na funkcjonariuszy Secret Service, którzy – kierując się chorą lojalnością wobec Trumpa – mieli rzekomo podrzucić tajne dokumenty kompromitujące obecnego gospodarza Białego Domu. Inni twierdzą, że może to być próba utrącenia dalszych ambicji prezydenckich Bidena przez kierownictwo jego partii, które widzi już, że z takim kandydatem nie ma szans na wygraną w 2024 r.

„Kto powiedział prawnikom, jak znaleźć tajne dokumenty Bidena? Kto wiedział, gdzie to jest schowane? Dlaczego w Wilmington nie pojawiło się na przeszukaniu 22 funkcjonariuszy FBI, jak miało to miejsce podczas szaleństwa w Mar-a-Lago?" – pytał Newt Gingrich, były republikański spiker Izby Reprezentantów.

Republikanie zasiadający w Kongresie zapowiedzieli, że dokładnie prześwietlą ten temat, choć z drugiej strony nie są zainteresowani sprawdzeniem Trumpa i przetrzymywanych przez niego pudeł z tajnymi dokumentami. Obie sprawy wiele łączy, ale główna różnica polega na tym, jak obaj politycy zachowali się po upublicznieniu wiadomości o nieprawidłowo przechowywanych materiałach rządowych. Trump do końca bronił się przed wydaniem pudeł i uparcie twierdził, że jako były prezydent miał prawo być w ich posiadaniu (twierdził nawet wbrew faktom, że z mocy urzędu był w stanie w swoich myślach odtajnić dokumenty).

„Bardzo niepokoi, że tajne dokumenty były nieprawidłowo przechowywane w domu prezydenta Bidena przez co najmniej sześć lat, co każe nam się zastanawiać, kto mógł je przeglądać i mieć do nich dostęp" – oświadczył James R. Comer, republikanin z Kentucky, który stoi na czele Komitetu Nadzoru i Odpowiedzialności Izby Reprezentantów. Republikanie wyrażają jednak obawę, że wszelkie działania wyjaśniające prowadzone przez ich kongresmenów mogą być utrudniane przez specjalnego śledczego. To on będzie miał bowiem pierwszeństwo w dostępie do wszelkich materiałów i świadków.

Sprawa tajnych dokumentów w prywatnych posiadłościach Trumpa i Bidena zapewne jeszcze przez wiele miesięcy będzie nam przynosiła nowe rekordy, jeżeli chodzi o szczyty hipokryzji w polityce. Ta historia to też test na wiarygodność mediów. Wśród logicznych wygibasów czołowych medialnych gwiazd sympatyzujących z Partią Republikańską palmę pierwszeństwa należałoby przyznać Joy Behar, współprowadzącej szalenie popularny talk-show „The View".

„Wszyscy wiemy, że Trump to kłamca i złodziej. Wiemy to. Więc nie trzeba zbyt wiele, by móc powiedzieć, że utrudniał śledztwo i kłamał. Z drugiej strony nie uważamy Bidena za kłamcę i złodzieja, więc dajemy mu kredyt zaufania" – skomentowała w „The View" wybuch afery wokół tajnych dokumentów Bidena.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Ostatnie ostrzeżenie kardynała Pella

Tomasz Rowiński

Śmierć byłego arcybiskupa Melbourne nie jest dobrą wiadomością dla Kościoła

Kardynał George Pell został niesłusznie oskarżony i niesłusznie wtrącony do więzienia FOT. PAUL CROCK/AFP/EAST NEWS

Zmarły 10 stycznia kard. George Pell był jedną z najciekawszych postaci kolegium kardynalskiego ostatnich dziesięcioleci. Od czasów Jana Pawła II był znany jako inteligentny publicysta, polemista i obrońca katolickiego nauczania, szczególnie w kontekście dyskusji Kościoła ze światem laickim. Jego teksty ukazywały się w najbardziej znanych tytułach prasowych świata anglosaskiego. Niedługo przed śmiercią napisał artykuł bezwzględnie krytyczny wobec promowanej przez papieża Franciszka idei synodalności, a także wobec trwającego synodu. Ukazał się on na łamach „Spectatora" 11 stycznia.

Włoski watykanista Sandro Magister po śmierci Pella poinformował, że opublikowany na jego blogu wiosną 2022 r. dezyderat przeciwko temu, co dzieje się w Kościele w czasie pontyfikatu argentyńskiego papieża, także był autorstwa australijskiego hierarchy. Wiele wskazuje, że opozycyjne stanowisko Pella wobec Franciszka było znacznie bardziej zdecydowane, niż mogłoby się dotąd wydawać.

SPRAWNY OPONENT FRANCISZKA

Nawet gdyby wspomniany dezyderat nie był napisany bezpośrednio przez Australijczyka i miał wielu autorów – tak sugerował dziennikarz „National Catholic Register" Edward Pentin – a Pell po prostu zainicjował jego powstanie, śmierć byłego arcybiskupa Melbourne nie jest dobrą wiadomością dla Kościoła. Jego odejście oznacza, że frakcja kościelna dążąca do rewolucji doktrynalnej straciła kolejnego poważnego oponenta. Co więcej, był to oponent niezwykle sprawny intelektualnie, a także posiadający wpływy w najwyższych kręgach kościelnej władzy.

Jak poważnie traktowano autorytet Pella, dobrze pokazały nagłówki liberalnych mediów, które do końca starały się zdezawuować jego pozycję. Choćby w Polsce niegdyś katolicki „Tygodnik Powszechny" pisał o „kontrowersyjnym kardynale"; inne media przede wszystkich podkreślały, że „przebywał w więzieniu" lub że „był oskarżony o wykorzystywanie seksualne dzieci". Wszystkie wyróżnione sygnały nosiły znamiona działań mających na celu zaciemnienie obrazu człowieka, który będąc niewinnym, odsiedział 13 miesięcy w izolatce więzienia dla szczególnie niebezpiecznych przestępców.

Kardynała po śmierci spotkała zniewaga także ze strony australijskich władz. Stan Victoria, w którym Pell spędził większość życia, odmówił mu państwowego pochówku, choć należy się on osobom pełniącym ważne funkcje kościelne. „Nie mogłem sobie wyobrazić niczego bardziej stresującego dla ofiar niż taki publiczny pogrzeb" – wyjaśniał decyzję Daniel Andrews, stanowy premier. Problem polega jednak na tym, że żadnych ofiar nie było, a oskarżyciel, którego zeznania miały być dowodem przeciwko Pellowi, okazał się kłamcą.

Andrews zapewne wystraszył się atmosfery, która panuje w Australii od czasu procesu kardynała. Wielu Australijczyków z jawną nienawiścią domagało się ukarania duchownego niezależnie od tego, czy zostanie dowiedziona jego wina. Gdyby Sąd Najwyższy ugiął się przed żądaniami opinii publicznej, stalibyśmy się świadkami zastępczego linczu dokonanego przez instytucje demokratycznego państwa na niewinnym człowieku. Nastroje wrogości wzmogły się na nowo po śmierci Pella.

ODZYSKANE SETKI MILIONÓW EURO

Sytuacja kardynała w ostatnich latach życia była trudna. Najpierw w 2013 r. został dołączony przez Franciszka do Rady Kardynałów, której powołanie stanowiło wyraz nieufności papieża do Kurii Rzymskiej. W 2014 r. Pella skierowano na stanowisko prefekta Sekretariatu ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej, gdzie zajął się naprawą watykańskich finansów. Te były fatalne. Praca Pella, który rzeczywiście podjął konieczne reformy, zaczęła przynosić efekty. Odzyskano setki milionów euro znajdujących się poza oficjalną księgowością państwa watykańskiego.

eprasa.pl e8066a002f

W konsekwencji tych działań kardynał Pell zaczął mieć wielu przeciwników w Rzymie. Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy Australijczyk postanowił zatrudnić zewnętrznego audytora w celu przywrócenia w możliwie najszerszym zakresie przejrzystości watykańskich finansów. Prace te zlecono w grudniu 2015 r. firmie PricewaterhouseCoopers, co, jak się zdaje, przelało czarę goryczy u beneficjentów patologii watykańskiego systemu gospodarczego. Wtedy też prawdopodobnie rozpoczęły się zabiegi mające na celu usunięcie Pella. Problemem mogły zresztą być nie tylko prywatne fortuny takich postaci jak kard. Becciu, lecz także niebezpieczeństwo ujawnienia, że fundusze ze zwyczajowej daniny na rzecz Stolicy Świętej – świętopietrza – przekazywano na wsparcie kampanii wyborczej proaborcyjnej kandydatki na urząd prezydenta USA, czyli Hillary Clinton.

Kardynał Becciu w tej sprawie pojawia się nieprzypadkowo, ponieważ to on właśnie podejrzewany jest o zawiązanie spisku – razem z australijskimi organami ścigania – który zakończył się wysunięciem przeciw kard. Pellowi oskarżeń o gwałt na dwóch ministrantach po mszy w katedrze w Melbourne. Miało to mieć miejsce w roku 1996, jednak długotrwały proces i wielokrotne szczegółowe badanie sprawy, zarówno przez obronę, jak i rzesze dziennikarzy, dowiodło niemożliwości popełnienia przestępstwa przez Pella. Pomimo tego został on skazany na więzienie w dwóch instancjach. Także jego apelacja do sądu stanu Victoria została odrzucona w sierpniu 2019 r.

Trudno – znając fakty i przebieg procesu – powiedzieć, dlaczego tak się stało. Czy mają z tym związek podawane przez media informacje o licznych i opiewających na znaczne kwoty przelewach pomiędzy Watykanem a Australią? Czy mogły one służyć wspieraniu akcji kompromitującej Pella, który stał się problemem dla finansowej mafii z Watykanu? Czy nie stał za tym wszystkim kard. Becciu, przeciw któremu w Watykanie trwa proces o przestępstwa finansowe? Wiele pytań pozostaje wciąż bez jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba dodać, że dopiero decyzja Sądu Najwyższego Australii z 7 kwietnia 2020 r. uchyliła zasądzony wcześniej wyrok, całkowicie oczyściła Pella z zarzutów i nakazała jego uwolnienie.

Te liczne okoliczności sprawiły, że kardynał Pell stał się w ostatnich latach dla wielu katolików świadkiem niezłomnego oporu wobec niesprawiedliwości tej, jaka może katolika spotkać zarówno ze strony świata, jak i od ludzi w Kościele. „Urodzony w Australii kardynał, który przed uniewinnieniem przeszedł straszliwą mękę uwięzienia w swoim rodzinnym kraju pod fałszywymi zarzutami wykorzystywania seksualnego, był odważny. Nie wiedział, że zaraz umrze, kiedy pisał ten artykuł; był przygotowany na wściekłość papieża Franciszka i organizatorów [synodu – przyp. red.] po jego opublikowaniu. W tej chwili jego nagła śmierć może dodać mocy jego słowom, gdy synod spotka się w październiku" – napisał w krótkim wstępie do ostatniego eseju Pella publicysta „Spectatora" Damian Thompson.

ZARZUTY WOBEC SYNODU

Jak wyglądają zarzuty Pella wobec Synodu o Synodalości? Najgłębszy teologicznie wydaje się być ten, w którym kardynał mówi, że nieustanne powoływanie się przez dokumenty robocze synodu na Ducha Świętego zdaje się służyć marginalizacji Chrystusa. Tymczasem to właśnie Chrystus powinien być postawiony w centrum synodalności. To Chrystus bowiem jest źródłem wiary i jej prawd. Równocześnie Duch np. w „Vademecum synodalnym" wydaje się być raczej metaforą nieokreślonej woli Ludu – złożonego z wierzących i niewierzących – który ma rozstrzygać o prawdach wiary niezależnie od treści Objawienia.

Pell w swoim artykule zwraca uwagę, że cały proces synodalny, mający się zakończyć jesienią, rozpoczął się od „konsultacji", w których brała udział niewielka liczba katolików, a równocześnie do głosu dopuszczono wiele osób kwestionujących nauczanie Kościoła. Oznacza to, zdaniem kardynała, że synod jest na drodze do bycia sfałszowanym. Dlaczego? Ponieważ wszystko wskazuje na to, że uczestnicy synodu – biskupi z całego świata – nie zostaną dopuszczeni do głosowania nad treściami dokumentów synodalnych. Cała idea szerokiej synodalności pominie opinię tych, którzy są powołani, by wiary strzec, czyli biskupów. Opinie sekretariatu synodu, luźno oparte na dokumentach przygotowanych przez kościoły lokalne, zostaną przekazane papieżowi Franciszkowi, „aby zrobił to, co zadecyduje".

Taka zresztą, wydaje się, była opinia Pella. Synod o Synodalności służy temu, by papież otrzymał uzasadnienie dla własnej, sprzecznej z katolicką tradycją wszechwładzy nad Kościołem, prawdami wiary i doktryną. Po co Franciszkowi taka turbowładza? Na to pytanie Pell nie daje odpowiedzi w tekście ze „Spectatora", ale pewne wskazówki znajdujemy w wiosennym dezyderacie opublikowanym przez Sandra Magistra. Zwraca się tam uwagę, że papież nie reaguje na to, że główny relator Synodu o Synodalności, kard. Jean-Claude Hollerich, zupełnie wprost kwestionuje katolickie nauczanie moralne. Papież nie reaguje też na postulaty niemieckiej tzw. drogi synodalnej, na której biskupi coraz jawniej dystansują się od katolickiej doktryny moralnej. Czy Synod o Synodalności nie jest zatem sojuszem przeciwko prawdzie?

Z krytyki synodalności opublikowanej na łamach „Spectatora" wprost wynika obawa kard. Pella, że papież widzi Kościół jako relatywistyczną, panreligijną wspólnotę, w której nie pilnuje się już granic ortodoksji, ale pilnuje się, by zachowywany był pluralizm poglądów. Dlatego katolicy, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, muszą być albo spacyfikowani, albo wykluczeni z kościelnego forum. Już jest to zresztą czynione choćby za pomocą szykan, które spotykają wiernych przywiązanych do starszej formy rytu rzymskiego, i nie tylko. Czym innym było usunięcie wszystkich katolickich badaczy z Papieskiej Akademii Życia i zastąpienie ich zbieraniną ateistów, zwolenników aborcji czy osób postulujących reformę katolickiej etyki?

W 2014 r. kard. George Pell mówił do uczestników pielgrzymki Summorum Pontificum do Rzymu: „Historia papieży przerasta wyobraźnię, ale dziedzictwo wielu dobrych papieży dalece przeważa nad grzechami i pomyłkami mniejszości". Czy w ostatnich dniach swojego życia podpisałby się pod tymi słowami odnoszącymi się przecież do papieża Franciszka, z którym kardynał wciąż pokładał wtedy pewne nadzieje? A może zostało mu już tylko przekonanie, że obecny pontyfikat „przerasta wyobraźnię"? Miejmy nadzieję, że odważny Australijczyk nie poddał się u kresu swojej drogi takiemu zwątpieniu. Jednak na tak postawione pytania w tym świecie odpowiedzi już nie poznamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

FOT. FEDERICO GAMBARINI/DPA/JAPP/EAST NEWS

AWANTURA O NIEMIECKI WĘGIEL

W dobie przymuszania wszystkich do tzw. zielonej energii Niemcy chcą... wykopywać więcej węgla i firma RWE zamierza zamienić wieś Lutzerath w kopalnię odkrywkową. Tym planom sprzeciwili się aktywiści klimatyczni, którzy, jak na ironię, nie znaleźli poparcia w tej sprawie w rządzie, w którego skład wchodzą Zieloni i socjaldemokraci. Ba, rząd ten wysłał do ich usunięcia policję. Nie pomogło wsparcie Grety Thunberg, która razem z innymi została usunięta z terenu przyszłej kopalni.

GROŹNY PODAREK OD UKRAIŃCÓW?

Szef polskiej policji dostał od Ukraińców granatnik i wszyscy wiemy, jak się to skończyło. Nieciekawie wyglądało to też w Mołdawii, gdzie jeden z mieszkańców jako podarek za pomoc uchodźcom z Ukrainy otrzymał lwa z zoo w Odessie, który miał być przywieziony przez uciekających przed wojną. Lew uciekł. Widziany był przez wędkarzy, gdy przechadzał się po lesie w okolicach wsi Palanki. Na szczęście udało się go odłowić.

PRAWIE 20 LAT UDAWAŁA PSYCHIATRĘ

Zholia Alemi w latach 80. studiowała medycynę, ale nie zdała egzaminów. Bardzo jednak chciała leczyć, więc sfałszowała dyplom ukończenia studiów medycznych. Dzieki temu od 1998 r. pracowała jako lekarz psychiatra w Anglii, Irlandii Północnej i Szkocji. Przez ten czas w brytyjskiej służbie zdrowia zarobiła ponad milion funtów. Na Wyspach właśnie rozpoczął się jej proces.

PO TRENINGU DO SZPITALA

Kilkunastu uczniów Rockwall-Heath High School z Heath w Teksasie trafiło do szpitala po treningu drużyny futbolowej. Nauczyciel kazał im wykonać m.in. 400 pompek, nie pozwalając w tym czasie na przerwę, by napić się wody. U jednego z uczniów zdiagnozowano zespół objawów chorobowych spowodowany przez rozpad tkanki mięśniowej. Trener został wysłany przez placówkę na przymusowy urlop.

ZUCHWALCY Z USA

Czy pamiętają państwo scenę z filmu „Dzień świstaka", gdy powtarzający się dzień pozwala bohaterowi dokładnie wyliczyć czas, w którym zabiera ochroniarzom gotówkę z banku pakowaną do samochodu? Dokładnie taki scenariusz obrali dwaj złodzieje w Nowym Jorku. Jeden zagadnął ochroniarzy o drogę, drugi ze zderzaka opancerzonej ciężarówki zabrał torbę z 300 tys. dol. Są poszukiwani. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Chińczycy trzymają się... słabiej

JACEK PRZYBYLSKI

Populacja Chin, najludniejszego kraju na świecie, zmniejszyła się w 2022 r. To pierwszy taki rok od 60 lat. Oficjalnie Narodowe Biuro Statystyczne zarejestrowało 9,56 mln urodzeń i 10,41 mln zgonów. To historyczna zmiana, której skutki odczuje cały świat. Nie tylko dlatego, że prawdopodobnie ubiegły rok był ostatnim, gdy zamieszkane przez ponad 1,4 mld osób Chiny były najludniejszym państwem świata (zapewne już w 2023 r. na najwyższe miejsce podium wskoczą Indie).

Kryzys demograficzny w Państwie Środka, niewykluczone, że jeszcze większy, niż pokazują to oficjalne dane, może znacząco osłabić wzrost chińskiej gospodarki. Szybko może się bowiem okazać, że w Chinach jest coraz mniej rąk do pracy i płaconych podatków, a to z kolei sprawi, że chińskiemu budżetowi coraz bardziej ciążyć będzie system emerytalny.

Według „Financial Times" historyczny punkt zwrotny, którego jesteśmy świadkami, będzie mieć długoterminowe konsekwencje nie tylko dla stanu gospodarki chińskiej – nadzieje na szybki wzrost produktu krajowego brutto w 2023 r. mogą okazać się płonne – lecz także dla gospodarki globalnej.

Kłopoty Chińczyków mogą też odbić się czkawką w światowym systemie bezpieczeństwa. Jedną z przyczyn rosyjskiej inwazji na Ukrainę była przecież chęć odwrócenia uwagi Rosjan od problemów wewnątrz kraju. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Euro na siłę?

Jak wiadomo – uważnym obserwatorom prasy codziennej – nową świecką tradycją dziennika „Rzeczpospolita" od kilku lat jest zamęczanie swych czytelników każdego pierwszego stycznia kolejnego roku akcją wbijania im do głów, że powinni się opowiadać – najlepiej bez cienia wątpliwości – za jak najszybszym porzuceniem przez Polskę złotego i przyjęciem w jego miejsce euro.

Jak się nietrudno domyślić, organizatorzy tegorocznej odsłony tej kampanii mogli liczyć na nowe atuty, których dostarczył im Putin, najeżdżając Ukrainę, a raczej konsekwencje tegoż najazdu dla kondycji naszej waluty – kondycji gorzej niż marnej. Wszelako marnej nie tylko za sprawą inwazji Putina, bo złoty mocno słabował już i przed nią – lecz także z powodu kiepsko ostatnio prowadzonej polityki monetarnej, bo wszak jeszcze kilka lat temu polski złoty chlubił się być jedną z najlepszych, najstabilniejszych walut na świecie.

Innym argumentem za przyjęciem euro ma być dziś – według organizatorów kampanii – porzucenie przez Chorwację 1 stycznia 2023 r. kuny i zastąpienie jej euro, a także to, że do eurolandu dołączyć chcą jeszcze Bułgaria w 2024 r. i Rumunia w 2029 r.

„Euro do 2030 r." – ogłoszono więc z emfazą pierwszego dnia tego roku w tytule artykułu na pierwszej stronie „Rzeczpospolitej", dodając w podtytule niepozostawiający miejsca na domysły instruktaż dla władz: „Niech politycy wyznaczą datę przyjęcia euro. W ostatnich latach własna polityka pieniężna przestała być atutem".

Tak? Naprawdę? A kto uznał, że własna polityka pieniężna przestała być atutem? Czy władzom i obywatelom dziesiątek państw na świecie – pominąwszy USA, ze względu na ich skalę – a więc czy np. władzom i obywatelom Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Norwegii i dziesiątek innych państw z własnymi walutami i całkiem nieźle sobie radzącymi gospodarkami, nawet jeśli – tak jak zawsze w przeszłości, raz po raz przechodzą turbulencje – dziwnym trafem wciąż umyka z pola widzenia to, co – jak twierdzą – ponad wszelką wątpliwość ustalili publicyści „Rz"?

A może jest jednak odwrotnie i to redakcji „Rzeczpospolitej" od kilku lat – od czasu, kiedy funduje swym czytelnikom coroczną kampanię w sprawie euro – umyka, że w tej kwestii nic a nic nie uległo zmianie w taki sposób, żeby przyjęcie euro w miejsce złotego mogło być dla Polski mniej nieopłacalne, niż było zawsze do tej pory? A ratowanie Polski od własnej złej polityki pieniężnej poprzez pozbycie się jej i wydanie na pastwę Europejskiego Banku Centralnego z siedzibą we Frankfurcie nad Menem – zamiast prób uzdrowienia nadal własnej polityki pieniężnej – to dużo więcej niż krótkowzroczność? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bitwa na froncie mieszkaniowym

Towarzysze, jak tam stoimy na froncie mieszkalnictwa?

– Źle, towarzyszu sekretarzu. Ludzie mieszkań nie mają, narzekają, burzą się. Kłopoty będziemy mieli.

– Ech, wszystko znowu pewnie przez tych prywaciarzy spekulantów, utuczonych na pocie ludu pracującego miast i wsi. Nakupi taki mieszkań i potem na nich jeszcze chce zarabiać. Skończyć z tym trzeba!

– Tak jest, towarzyszu sekretarzu! Zabronić trzeba! Już pędzę ustawę pisać!

Nie wiem, czy tak to wyglądało, ale wcale bym się nie zdziwił. Socjaliści zabrali się bowiem ostro do naprawiania rynku mieszkaniowego, a jeśli socjaliści zabierają się do naprawiania czegoś, to można być stuprocentowo pewnym, że to kompletnie popsują. Szczególnie jeśli działają na kilku frontach naraz, a tu tak właśnie jest.

Najpierw mamy informację, że 70 proc. mieszkań na wynajem stoi pustych, bo wynajmujący boją się przepisów – wprowadzonych, a jakże, przez PiS – które stawiają ich w o wiele gorszej pozycji niż najemców. Mówiąc krótko: nieuczciwego najemcy nie da się z mieszkania w rozsądnym czasie wyrzucić. W tej sprawie jednak władza nic nie ma zamiaru zrobić.

Za to zabiera się za „spekulantów", którzy mają mieszkań jej zdaniem za dużo. Ci mają zapłacić specjalny podatek, a w dodatku mają nie móc kupić tych mieszkań zbyt wielu. Na całym świecie nieruchomości są traktowane jako inwestycja i nie ma w tym nic niezwykłego. Zwykle też nie stoją puste, tylko są wynajmowane – o ile oczywiście prawo w danym kraju nie robi z najemcy świętej krowy – patrz akapit wyżej. Czy od zakazu kupowania zbyt wielu mieszkań i zbyt często w charakterze inwestycji mieszkań dla „zwykłych ludzi" przybędzie? Bynajmniej. „Zwykli ludzie" nadal nie będą sobie mogli na nie pozwolić. Będzie ich po prostu powstawać mniej, bo mniej będzie inwestorów kupujących na wynajem. Proste – ale nie dla socjalistów.

Wisienką na torcie są plany Ministerstwa Rozwoju i Technologii, zakładające „ucywilizowanie" deweloperki. Wśród nich są nowe normy dotyczące powierzchni lokali usługowych, nasłonecznienia, wielkości balkonów czy dźwiękoszczelności mieszkań. Przepraszam za obcesowość, ale co to obchodzi pana ministra Budę, jakiej wielkości mieszkanie ktoś chce kupić? Oczywiście jedynym skutkiem będzie to, że mieszkań będzie mniej i będą droższe.

Pozwól socjalistom zarządzać Saharą, a wkrótce zabraknie na niej piasku. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

Igranie z inflacyjnym ogniem

Jakub Wozinski

Stale podnosząc stawkę płacy minimalnej w warunkach galopującej inflacji, rząd prowadzi bardzo ryzykowną grę

FOT. ADOBE STOCK

W samym szczycie kampanii wyborczej przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. prezes Jarosław Kaczyński rzucił hasło wprowadzenia płacy minimalnej w wysokości 4000 zł brutto do końca 2023 r. Jako że w momencie, gdy wypowiadał te słowa, wynosiła ona zaledwie 2250 zł, zdecydowana większość komentatorów przyjęła te słowa z niedowierzaniem lub co najmniej z głęboką rezerwą. Oznaczało to wszak, że w ciągu zaledwie czterech lat najniższe wynagrodzenie będzie w Polsce zaledwie 800 zł niższe niż ówczesna średnia płaca. Z tej perspektywy zapowiedź prezesa PiS mogłaby się sprawdzić jedynie pod warunkiem, że Polska wkroczy na ścieżkę niezwykle dynamicznego rozwoju.

POMOCNA INFLACJA

Nie wiadomo, co dzisiaj rządząca partia zrobiłaby ze swoją wyborczą obietnicą sprzed czterech lat, gdyby na pomoc nie przyszła jej galopująca inflacja. A ściślej rzecz biorąc, Zjednoczona Prawica pomogła sobie sama, ponieważ wbrew wszelkim opowieściom o „putinflacji" i braku wpływu na światowe trendy to właśnie polityka rządu wpłynęła najmocniej na to, że od kilkudziesięciu już miesięcy inflacja pustoszy majątek Polaków. Trudno oczywiście zakładać, aby już latem 2019 r. lider Zjednoczonej Prawicy wiedział, że w kolejnym roku jego formacja przystąpi do tak drastycznego psucia siły nabywczej pieniądza w imię walki z tajemniczym wirusem, lecz koniec końców jego zapowiedź jest już bardzo bliska realizacji (choć odrobinę spóźniona).

W obecnym roku zaplanowano dwie podwyżki płacy minimalnej: od 1 stycznia wynosi już 3490 zł, a od 1 lipca ma wzrosnąć do 3600 zł brutto. Zdaniem przedstawicieli rządu takie zmiany to konieczność wynikająca ze stałego wzrostu średniego wynagrodzenia dyktowanego przez rynek. Wiadomo jednak, że w kręgach rządowych już teraz planowane jest dalsze podniesienie stawki, a ogłoszenie tego może nastąpić ponownie – jak przed czterema laty – w okresie letnim. Minimalne wynagrodzenie wynoszące ponad 4000 zł może stanowić jedną z głównych obietnic kampanii wyborczej oraz symbol dotrzymywania słowa.

Tak wysoka stawka prezentuje się bardzo okazale, a – jak wiadomo – już w ubiegłym roku polska płaca minimalna prześcignęła pod względem siły nabywczej poziom płacy minimalnej w Stanach Zjednoczonych. W istocie jednak płace w Polsce zaczęły w ubiegłym roku spadać, a w obecnym trend ten jeszcze bardziej się nasili. W 2022 r. wynagrodzenia w naszym kraju spadły realnie (tj. przy uwzględnieniu inflacji) aż o 6,9 proc., co stanowi jeden z najgorszych wyników w całej Unii Europejskiej (gorzej wypadają jedynie Czechy i kraje bałtyckie).

Polski rząd postanowił najwyraźniej pójść w ślady Węgier, które pomimo

eprasa.pl e8066a002f

ogromnych trudności gospodarczych postanowiły zaordynować bardzo wysokie podwyżki w sferze budżetowej, dzięki czemu w statystykach odnotowały realny wzrost wynagrodzeń. Tego rodzaju zabiegi są jednak niezwykle krótkowzroczne, ponieważ upychając portfele obywateli w sposób, który nie znajduje odzwierciedlenia w wyższej produktywności ich pracy, rządzący jedynie nakręcają zjawiska inflacyjne.

WYŻSZE CENY W PAKIECIE

Mamiąc obywateli, wydawałoby się jeszcze do niedawna zupełnie nieosiągalną stawką płacy minimalnej w wysokości 4000 zł, rząd tak naprawdę daje im w pakiecie jeszcze wyższą inflację, która z każdym dniem zbiera coraz bardziej ponure żniwo. Uczciwe wobec obywateli, szczególnie w sytuacji, gdy rząd nie zamierza ograniczać niemal żadnych wydatków, byłoby przyznanie wprost, że stałe podwyższanie pensji minimalnej może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. Najwyraźniej jednak rządzący uznali, że cel, którym jest powtórna reelekcja, uświęca wszelkie środki.

Zabiegom podwyższania płacy minimalnej towarzyszy przy tym stała retoryka chęci niesienia pomocy kilku milionom najgorzej zarabiających osób. Dolewając oliwy do inflacyjnego ognia, kręgi rządowe uderzają jednak najmocniej właśnie w najgorzej usytuowanych. Osoby o najniższych dochodach mają zawsze najmniej narzędzi do ucieczki przed inflacją, gdyż nie stać ich na inwestycje w finansowe aktywa czy np. nabycie nieruchomości.

Złudna hojność rządu wcześniej czy później na pewno się skończy. Obrana przez gabinet Morawieckiego strategia wychodzenia z wysokiej inflacji oparta jest na założeniu, że należy przede wszystkim uniknąć głębokiej recesji. Z tego względu rządzący nie palą się do zbijania inflacji za wszelką cenę, a niekiedy wyrażają wręcz coś na kształt zadowolenia z jej przejściowego wzrostu. Minister finansów Artur Soboń przedstawił nawet kilka miesięcy temu wyliczenie, zgodnie z którym każdy punkt procentowy inflacji to 4,7 mld zł więcej dochodów w budżecie państwa. Tego typu kalkulacja nie powstała z pewnością bez powodu.

Ciężar walki z inflacją zrzucony został w znacznej mierze na Radę Polityki Pieniężnej. Zaowocowało to zapaścią na rynku kredytów hipotecznych, która zaczyna powoli rozlewać się na pozostałe sektory gospodarki. Rząd pozostawił sobie wolną rękę do wydawania pieniędzy w nadziei, że inflacja w końcu spadnie i po przejściowym okresie wolniejszego wzrostu PKB oraz spadku wynagrodzeń wszystko wróci do normy, a obywatele nawet tego nie odczują, ponieważ zostaną obsypani deszczem pieniędzy i wsparci wyższą płacą minimalną.

UCIERPIĄ PRZEDSIĘBIORCY

Coraz bardziej okazuje się jednak, że przedłużający się okres bardzo wysokiej inflacji, która jest w Polsce znacznie wyższa niż w zdecydowanej większości krajów Europy, może wpędzić nas w jeszcze większą recesję niż ta, której pierwotnie chciano uniknąć. Przysłuchując się rządzącym powtarzającym jak mantrę, że inflacji winny jest Putin, można coraz bardziej odnieść wrażenie, że sami uwierzyli we własną propagandę i że to właśnie wojnie, a nie swoim własnym działaniom przypisują zasadniczą sprawczość w zakresie walki z inflacją.

Długotrwałe igranie z ogniem, którym jest zmierzająca coraz bardziej ku 20 proc. inflacja konsumencka, przynieść może jedynie nagromadzenie problemów w całej gospodarce. Realna groźba, przed którą obecnie stoimy, jest taka, że wzrost gospodarczy się zatrzyma, a mimo tego inflacja jeszcze długo pozostanie ponadnormatywnie wysoka. Państwo sobie z tym poradzi, ale obywatele mogą za to zapłacić najwyższym od lat spadkiem dochodów.

Stale podwyższając płacę minimalną, obóz Zjednoczonej Prawicy wskazuje nieustannie, że negatywnym punktem odniesienia są dla niego polityka Leszka Balcerowicza z lat 90. i początku dwutysięcznych oraz późniejsze poczynania z czasów rządów Donalda Tuska. Zdaniem Mateusza Morawieckiego tym razem działania osłonowe rządu oraz ochrona grup szczególnie wrażliwych pomogą ochronić miejsca pracy i uniknąć masowego bezrobocia. Władza tym razem nie pozostawi zaś ludzi samym sobie – tak przynajmniej brzmią jej deklaracje. Ostatnie dane z gospodarki pokazują jednak, że niestety sytuacja znów może się powtórzyć. Wobec pogarszającej się koniunktury wiele firm zwalnia pracowników, liczba nowych ofert pracy spada, a spory udział w tym ma właśnie coraz wyższa płaca minimalna.

Widać to najlepiej na przykładzie gastronomii, w której aż dwukrotna podwyżka minimalnego wynagrodzenia w obecnym roku doprowadziła wiele lokali do bankructwa. Cała branża ucierpiała mocno najpierw w czasie pandemii oraz wprowadzanych wówczas drakońskich ograniczeń i gdy w ostatnich miesiącach zaczęła pomimo horrendalnych podwyżek cen energii częściowo odrabiać straty, władza wyprowadziła kolejny, dla wielu śmiertelny, cios. W całym 2022 r. do zawieszenia działalności zostało zmuszonych nawet 6,5 tys. lokali gastronomicznych w całym kraju. Pierwsze tygodnie obecnego roku pokazują, że niestety może być jeszcze gorzej.

Stopa bezrobocia wynosi obecnie zaledwie 5,2 proc., co może stwarzać złudne wrażenie, że sytuacja jest pod kontrolą. Zastosowawszy jednak tak wiele proinflacyjnych działań osłonowych, rządzący mocno zapracowali na to, aby w nadchodzącym czasie sytuacja materialna Polaków wydatnie się pogorszyła. Pod płaszczykiem „troski społecznej i solidarności" rząd Mateusza Morawieckiego wdrożył rozwiązania, które świadczą raczej o chęci instrumentalnego wykorzystania najmniej zarabiających do odniesienia politycznych korzyści. Po raz kolejny ucierpią także przedsiębiorcy, którzy będą musieli zmierzyć się z coraz większą presją płacową w sytuacji, gdy kryzys energetyczny i tak powiększa koszty do niebotycznych rozmiarów.

Trzeba sobie powiedzieć wprost, że dwukrotne podnoszenie płacy minimalnej w ciągu jednego roku jest w obecnych warunkach zwyczajnie nieodpowiedzialne. Przyjęte przed czterema laty założenia od początku były nierealistyczne i nawet pomimo dwucyfrowej inflacji należałoby się z nich obecnie pospiesznie wycofać. W przeciwnym razie aspirujący do miana „wrażliwych społecznie" rządzący zapracują w pamięci wielu na miano równie szkodliwych co Balcerowicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

Forszlak, żółwie i usypiacze

Goście jednej z warszawskich restauracji, lata 20. lub 30. FOT. NAC

Joanna Bojańczyk

Knajpy, których nie ma, dania, których nazw ani składników nie znamy. Barwną rzeczywistość dawnej/niedawnej gastronomii przedstawia książka „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary i kawiarnie"

W Warszawie jest 2,5 tys. lokali gastronomicznych wszelkiego rodzaju, jak podaje GUS. Barów mamy 1 tys., tyle samo restauracji i punktów gastronomicznych, ponad 400 stołówek. Czy to dużo w dwumilionowym mieście, nie wiem, wiem, że głodny i spragniony człowiek nie ma problemu ze znalezieniem w stolicy miejsca, gdzie można coś zjeść, choćby był to kebab, ponoć najbardziej lubiana przez rodaków kuchnia egzotyczna.

W przedwojennej Warszawie, która w PRL i w II RP obrosła już mitem wspaniałości, gastronomia wytworzyła osobny mit. Te opowieści skamandrytów kończących zabawowy wieczór kolacją u Simona i Steckiego, wirujący parkiet w Adrii, kolacje w Oazie, pogawędki przy stoliku w Ziemiańskiej... Bardziej mroczne zaplecze knajpianego interesu pokazał Henryk Worcell w książce „Zaklęte rewiry", potem Janusz Majewski w filmie pod tym samym tytułem. Opowieści o bujnym życiu towarzyskim i jedzeniowym dwudziestolecia sama nasłuchałam się od babci, która (według jej przekazów) rzadko jadała kolacje w domu...

Udokumentowaną relację o przedwojennej gastronomii otrzymujemy w książce „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary i kawiarnie" Bartosza Paluszkiewicza, która właśnie ukazała się w wydawnictwie BookEdit. Lektura ciekawa, choć uciążliwa, jak to bywa z książkami dużego formatu i dużej wagi… Ale nie tylko format. Także układ książki relacjonującej po kolei warszawskie lokale z ich historią, zmianami własnościowymi, jest mało przejrzysty dla czytelnika, szczególnie nieznającego topografii Warszawy. Szkoda, że autor nie pokusił się o bardziej syntetyczny sposób przedstawienia tego ciekawego zjawiska, jakim była działalność gastronomii w okresie międzywojennym.

eprasa.pl e8066a002f

Dokumentacja jest jednak staranna. Przemierzamy ulice Warszawy, zaglądając do eleganckich restauracji, luksusowych dansingów, kawiarni, jadłodajni, barów przesyconych zapachem cebuli, kiełbasy i piwa. W tych ostatnich bywał Nikodem Dyzma, zanim został członkiem elity.

„Rozkwit stołecznej gastronomii rozpoczął się w latach 80. XIX stulecia i trwał z przerwami aż do wybuchu drugiej wojny światowej – pisze autor. – Kryzys gospodarczy lat 1929–1935 odcisnął ogromne piętno na rodzimej gastronomii, jednak nie był on tak tragiczny, jak go w niektórych publikacjach malują. Ile było w Warszawie punktów gastronomicznych? Prawdopodobnie nigdy nie uda się ustalić pewnej liczby. Z informacji zawartych w dawnych księgach i książkach adresowych i teleadresowych wynikałoby, że średnia liczba lokali w Warszawie w okresie międzywojennym rocznie oscylowała na pułapie 800–900 miejsc".

Eleganckie lokale znajdowały się w centrum stolicy. Plac Teatralny i okolice, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat. Marszałkowska, jedna z głównych ulic stolicy, dzisiaj trupiarnia zamordowana przez centra handlowe, przed wojną mieściła kilkanaście modnych barów i restauracji. Handel i gastronomia kwitły. Restauracje Tivoli, Marysieńka-Goplana, Rapcewicza, bary: Corso, à la Hawełka, Satyr, Syrena, cafe Mignon…

HAUTE CUISINE

Co jadało się w czasach sprzed najazdu na polską kuchnię smaków multi-kulti? W czasach, kiedy jedzenie mięsa nie było grzechem śmiertelnym, o pizzy, sushi, kebabie, chińszczyźnie nie słyszano, a dzieci nie domagały się na obiad spaghetti?

Głodu nie było. Smaczne jedzenie oferowały liczne lokale z wyższej półki, a także jeszcze liczniejsze tańsze bary, jadłodajnie. Paszteciarnie były zapewne rodzimym odpowiednikiem francuskich „patisserie"; w gastronomii dwudziestolecia obowiązywał język francuski. A w nich dania dziś rzadko spotykane, uchodzące za rarytasy kuchni polskiej: nóżki cielęce, móżdżek, wątróbki gęsie, sztuka mięsa. Nie było brokułów i kapusty pak choi, fasolka, groszek i szparagi wystarczały. Nawet kryzys gospodarczy lat 1929–1935 nie zdusił gastronomii. Jadłospisy połowy lat 30. wyliczają dania całkiem niekryzysowe: sztufada z makaronem, comber barani w śmietanie, flaki z pulpetami zapiekanymi, prosię pieczone z kaszą. Dla bardziej wybrednych i zamożniejszych gości lokale serwowały świeże ostrygi i homary każdego dnia. Zmęczonym nocnymi rajdami po dansingach słynny lokal Simona i Steckiego na Krakowskim Przedmieściu 38 oferował stawiające na nogi śniadania. A w nim jajka à la Villeroi od Marii Monatowej. Subtelny, pracochłonny przepis, który pokazuje, że zrobienie kanapki – „tartynki", jak wtedy mówiono – nie ograniczało się do włożenia w bułkę kawałka sera i wędliny.

„Ugotować potrzebną ilość jaj na twardo, a włożywszy je do zimnej wody, obrać następnie z łupy i przekroić na połówki. Na cztery jajka wziąć parę kiełbasek, obrać je ze skórki, posiekać drobno wraz z kilkoma pieczarkami i szczyptą zielonej pietruszki, wyjąć żółtka z białek, posolić je, nałożyć tym farszem i trzymać w cieple na parze aż do wydania. Osobno udusić na maśle z cebulką uszatkowane grzyby, borowiki lub pieczarki, a wydając, ułożyć je na spodzie półmiska, na wierzch dać połówki faszerowanych dań i przefasować na nie przez rzadkie sito pozostałe żółtka".

BARTOSZ PALUSZKIEWICZ „WARSZAWSKIE PRZEDWOJENNE RESTAURACJE, BARY I KAWIARNIE. KRONIKA" BOOKEDIT 2022

Do jajek i tartynek podawana jest Madera, wszak jesteśmy w składzie win Simona i Steckiego. Na obiad do mięsa szparagi w sosie mousseline, czyli francuskim sosie na bazie żółtek, białego pieprzu i masła, z winem Engelholler…

Restauracja Stępkowskiego przy ul. Wierzbowej, późniejsza słynna Oaza, oferowała nawet dania z żółwi, co dziś ma posmak niemal zbrodniczy. „Dla rozwinięcia interesu swego pod względem gastronomicznym P. Antoni Stępkowski, właściciel handlu przy ulicy Wierzbowej, zaopatrzył się w żółwie żywe, które w tych dniach złożyły jaja". „Żółwie liczą się za pokarm rybny, zdrowy i bardzo smakowity" – zachwalała książka „Kuchnia postna". Z roku 1848. Jaki użytek z żółwi robił pan Stępkowski, nie wiadomo, wiadomo, że sprowadzał także homary, langusty i ostrygi.

W eleganckich lokalach dla przyciągnięcia klientów serwowano także tańsze dania. „Wartość złotego w życiu codziennym ocenić można należycie w smacznym a tanim obiedzie w barze grill room Oaza. Już za jeden złoty – obfite dania gorące z bufetu". Flaczki po polsku, boczek

Załoga kucharzy z warszawskiej Oazy

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl e8066a002f

Dansing w Oazie na pl. Teatralnym FOT. NAC

po bretońsku... W barze Wiktor przy ul. Wierzbowej, a więc w lokalizacji prestiżowej, serwowano na szybko dania à la minute w cenie od 50 gr za bigos, kiełbasę firmową, za 1 zł żołądki gęsie w sosie grzybowym. Za 1,3 zł był forszlak cielęcy, za 2 zł befsztyk komierowski. Cokolwiek te nazwy mówią współczesnemu czytelnikowi, dla którego cielęcina jest luksusem.

W roku 1931 przy Krakowskim Przedmieściu 51, w pobliżu Zamku, otwarto paszteciarnię, która „dla spopularyzowania swej firmy będzie wydawać śniadania, obiady i kolacje już od jednego złotego, co na dzisiejsze czasy nie jest drogo, biorąc pod uwagę zapewnienia szefa kuchni, że wszystkie potrawy będą gotowane ze świeżych produktów, a mięso smażone tylko na świeżym maśle".

AWANTURY I WYBRYKI

Czytając prasowe kroniki policyjne, których sporo przytacza autor książki, można odnieść wrażenie, że przestępczość w Warszawie skupiona była głównie wokół lokali gastronomicznych. Waga tych przestępstw oceniana z dzisiejszej perspektywy wydaje się niewielka, większość byłaby zapewne zakwalifikowana jako „czyny o niskiej szkodliwości społecznej".

Oto mężczyzna, który zwinął ze stołu serwetę, kelnerka, która ukradła koleżance sukienkę, gość, który stłukłszy butelkę przyniesionego z domu spirytusu, wzniecił pożar, inny, który ukradł platerowane sztućce... Kelnerzy kradnący jedzenie i sztućce, awanturujący się nietrzeźwi goście, nierzadko wygrażający bronią palną. Z niewiadomych powodów restauracje były również ulubionym miejscem samobójców, którzy wybierali je na miejsce zakończenia życia. Często zresztą próby te kończyły się niepowodzeniem.

Menu baru-restauracji Mars

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Osobliwy rodzaj przestępców stanowili tzw. usypiacze, którzy wiosną roku 1936 grasowali po warszawskich lokalach gastronomicznych. W skład szajki wchodzili mężczyźni i kobiety, wszyscy elegancko ubrani, skorzy do rozmów, sprawiający wrażenie zwyczajnych zamożnych bywalców lokali. W czasie kolacji przysiadali się do upatrzonej ofiary, nawiązywali z nią rozmowę, po czym dosypywali do napoju środek usypiający. Gdy ofiara zapadła w głęboki sen, pod pozorem opieki wychodzili z nią, pakowali do dorożki, wywozili za miasto, okradali i rozebraną zostawiali w polu. Bandę ujęto w czasie specjalnie zorganizowanej operacji przy restauracji przy ul. Chmielnej, jej członków skazano na kilkuletnie wyroki.

Cóż, był to prototyp pigułki gwałtu. Pomysłowość przestępców ma tylko inne wsparcie technologiczne. Wszystko musiało się zmienić po to, żeby nie zmieniło się nic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e8066a002f

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl e8066a002f

TEST „DO RZECZY": PROJEKTOR EPSON CO-FH02

Dobra jakość obrazu, wysoka jasność, świetny system smart TV, banalnie łatwa konfiguracja, długi czas deklarowanej przez producenta eksploatacji lampy i atrakcyjny stosunek ceny do jakości – to największe zalety nowego projektora japońskiej firmy Epson.

Model CO-FH02 to kompaktowe urządzenie, które waży zaledwie 2,6 kg, ma 32 cm szerokości, 8,7 cm wysokości i 21,1 cm głębokości. Niewielki, klasycznie zaprojektowany i starannie wykonany projektor łatwo wpasuje się więc do wystroju salonu. Może się też sprawdzić w małym biurze, sali lekcyjnej etc. Niewielkie urządzenie potrafi wyświetlić obraz w jakości Full HD (1920 x 1080), częstotliwości odświeżania 60 Hz oraz przekątnej od 26 do aż 391 cali! (aby móc uzyskać tak duży obraz, trzeba odsunąć projektor od ściany lub ekranu o 10,4 m).

Rozdzielczość może nie rzuca na kolana, ale w zupełności wystarcza do oglądania filmów i seriali, a także do prezentowania kontrahentom efektownych pokazów slajdów czy pokazywania szefom wykresów z arkuszy kalkulacyjnych. Kolory są żywe i nasycone, a obraz naturalny. Na pochwałę zasługuje również maksymalna jasność (3000 lumenów w trybie normalnym i 1500 w trybie eko). Tak wysoka jasność pozwala cieszyć się domowym seansem filmowym, zanim jeszcze zajdzie słońce.

Poziom hałasu w trybie normalnym wynosi 37 dB (szału nie ma), a w ekonomicznym 29 dB (wówczas szum już naprawdę nie powinien nikomu przeszkadzać).

Zaletami testowanego modelu są również prosta konfiguracja i obsługa (w zestawie są dwa piloty, ale na co dzień spokojnie wystarczy jeden) oraz zastosowanie systemu Android, dzięki któremu można łatwo korzystać z popularnych serwisów streamingowych, takich jak Netflix, Amazon Prime, Disney+ itp., czy aplikacji typu YouTube etc. Do płynności działania nie można się przyczepić. Za pomocą wejścia HDMI do projektora można również oczywiście podłączyć dekoder lub np. konsole do gier.

Plusem jest również deklarowana trwałość zastosowanej w tym modelu lampy. Według producenta powinna ona wytrzymać 12 tys. godzin w trybie ekonomicznym, co oznacza – jak obliczył Epson – że przeciętnemu użytkownikowi lampa powinna wystarczyć na 18 lat rozrywki.

Wady? Największym minusem tego projektora jest wbudowany w niego głośnik. I nie chodzi tylko o moc (5W), ale zwłaszcza o jakość wydobywającego się z niego dźwięku. Niestety, jest ona istotnie gorsza od jakości obrazu. Brakuje również przydatnej funkcji, jaką jest Lens Shift – umożliwia mechaniczne pochylanie obiektywu i łatwą korektę geometrii obrazu – ale w tej kategorii cenowej jej brak bardzo nie dziwi. Podobnie sprawa ma się tylko z jednym portem HDMI, przydałoby się więcej, ale zapewne byłoby drożej. Częstotliwość odświeżania na poziomie 60 Hz może z kolei rozczarować zagorzałych graczy.

Mimo tych wad Epson CO-FH02 to niezłej jakości budżetowy projektor multimedialny, w którego przypadku stosunek ceny do jakości jest bardzo dobry. Tym bardziej że cena ta w ciągu ostatnich tygodni spadła z ok. 3,8 tys. zł do nieco ponad 2,7 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

NOWY WALKMAN OD SONY

Japońska firma powiększyła ofertę odtwarzaczy muzycznych Walkman. Nowy model popularnej niegdyś serii to NW-A306. Elegancko wyglądające urządzenie posiada akumulator, który pozwala na słuchanie na jednym ładowaniu nagrań w formacie FLAC do 36 godzin, a także na słuchanie muzyki z serwisów streamingowych przez 26 godzin. Producent zapewnia, że ważący 113 g i bez trudu mieszczący się w kieszeni Walkman zapewnia m.in. wysokiej jakości brzmienie, głównie dzięki ramce z frezowanego aluminium, której sztywność i niska impedancja zapewniają czysty dźwięk oraz dużą moc basu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Urządzenie jest także wyposażone w unowocześniony system DSEE Ultimate polepszający jakość muzyki w transmisji strumieniowej, wbudowaną pamięć 32 GB oraz port na karty microSD. Premiera w lutym. Cena nie powinna przekraczać 2 tys. zł.

SŁUCHAWKI NA SEN

LG Breeze. Tak nazywa się niewielkich rozmiarów gadżet, którego zadaniem jest nie tylko analiza snu, lecz także rzeczywista poprawa jego jakości. Zaprezentowane na targach CES 2023 to bowiem specjalne słuchawki do spania. Są wyjątkowo lekkie (jedna waży zaledwie 6 g) i – według producenta – potrafią odpowiednio stymulować fale mózgowe, umożliwiając szybsze zasypianie, a także wywołanie głębokiego snu, czyli najbardziej wartościowego elementu nocnego wypoczynku. Model Breeze wykorzystuje w tym celu m.in. kołysanki, relaksujące odgłosy przyrody etc. Można też połączyć słuchawki ze smartfonem i odtwarzać muzykę z YouTube. Cena i data polskiej premiery na razie nie zostały ogłoszone. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl e8066a002f

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Więzień w Krasnymstawie

Znieistniejącym dziś zamkiem w Krasnymstawie na Lubelszczyźnie związanych jest wiele historii, z których najbardziej znana to dzieje uwięzienia arcyksięcia Maksymiliana III Habsburga. Jak do tego doszło?

Otóż w 1587 r., po śmierci Stefana Batorego, na polu elekcyjnym wybrano królewicza Zygmunta, zwanego później jako Zygmunt III Waza. Konkurencyjne stronnictwo Zborowskich kazało w odpowiedzi biskupowi kijowskiemu Jakubowi Woronieckiemu ogłosić królem księcia Maksymiliana. Tak zaczęła się wojna domowa, w której po stronie królewicza szwedzkiego opowiedział się kanclerz i hetman Jan Zamoyski. Maksymilian 27 września zaprzysiągł w Ołomuńcu pacta conventa i przyjął tytuł króla Polski. Wyruszył, aby zająć Kraków i tu się koronować, ale nie przeprowadził szturmu, zwlekał, co przesądziło o jego klęsce. Kiedy wreszcie zaatakował w nocy z 23 na 24 listopada, został pobity przez Zamoyskiego. Hetman ścigał uciekającego, nawet gdy ten wycofał się na cesarski wówczas Śląsk. Zamoyski przekroczył granicę i 24 stycznia 1588 r. pobił wojska stronników Maksymiliana pod Byczyną. Arcyksiążę oblężony w mieście się poddał. Hetman zapewnił mu bezpieczeństwo osobiste, ale Habsburg miał być uwięziony do chwili, kiedy król i senat podejmą decyzję co do ich losów.

RYS. MART

Zamoyski odprowadził Maksymiliana do swoich włości. Miał w tym własny cel, gdyż w stołecznym Krakowie musiałby przekazać jeńców królowi, tymczasem pragnął zatrzymać arcyksięcia, aby wykorzystać go do własnej gry politycznej.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zawiózł arcyksięcia Krasnegostawu, osadził go na zamku pod strażą 300 żołnierzy. Pilnował go najpierw starosta chełmski Mikołaj Urowiecki, a potem Marek Sobieski, chorąży koronny, znany harcerz króla Stefana. Jeniec przetrzymywany był w wieży wjazdowej, zwanej Maksymiliańską. Prawdopodobnie, biorąc pod uwagę lustrację zamku, przytykała ona do głównego korpusu budowli, co widać jeszcze na akwareli Zygmunta Vogla z końca XVIII w.

Na przełomie lutego i marca hetman zaprosił Maksymiliana do Zamościa na mięsopusty, pragnąc rozweselić więźnia, który zachorował już w czasie drogi do zamku. Maksymilian ucztował z Zamoyskim, ale wymówił się od tańców, ciągle bowiem przeżywał klęskę, która zdjęła mu koronę z głowy. Był traktowany dobrze, co sam przyznawał w późniejszych listach do brata Macieja, jednak kanclerz ograniczył odwiedziny i korespondencję. Arcyksiążę wyczekiwał na zdecydowaną reakcję dworu w Pradze, tymczasem cesarz Rudolf, rodzony brat więźnia, nie podejmował żadnych kroków, a dodatkowo utrzymywał kontakty z Zygmuntem III, którego traktował jak legalnie obranego władcę Polski. Ostatecznie dopiero 3 kwietnia przybyli do Krasnegostawu legaci cesarscy, kontaktując się z uwięzionym. Dwór cesarski był bowiem sparaliżowany klęską pod Byczyną; nikt do tej pory nie liczył się z tym, że któryś z członków domu Habsburgów może się znaleźć w niewoli.

Maksymilian podjął dwie próby ucieczki. Pierwszą, jak podaje Aleksandra Barwicka-Makula, udaremnił sam Zamoyski, który niespodziewanie przybył do zamku i zaniepokoił się, że jeniec nie przychodzi na wezwanie. Kiedy otworzono drzwi siłą, hetman znalazł więźnia przygotowanego do drogi, Habsburg chciał bowiem się wymknąć w czasie gotowania posiłku. Wykrytego winnego sługę Zamoyski bez pardonu kazał ściąć na zamkowym dziedzińcu.

Kolejną próbę ucieczki przygotowali Zborowscy, którzy przekupili kilku strażników i zlecili im wykonanie wyłomu w ścianie pokoju sypialnego. W nocy Maksymilian miał tędy wymknąć się z zamku. Jednak spisek ten został odkryty przez Marka Sobieskiego, który schwytał więźnia, gdy ten zbierał się do opuszczenia komnaty. Był też plan dokonania zbrojnego zajazdu na Krasnystaw, który przedstawił cesarzowi Rudolfowi stronnik Habsburgów Krzysztof Warszewicki. Jednym z dowódców napadu miał być zaś znany szeroko awanturnik Stanisław „Diabeł" Stadnicki, wierny Habsburgom.

Ostatecznie arcyksiążę uzyskał wolność na mocy układu bytomsko-będzińskiego w 1589 r., w którym zrzekł się tytułu króla Polski, a Habsburgowie uznali władzę Zygmunta. Zamek w Krasnymstawie został zrujnowany w połowie XVII w. i pomimo późniejszych prób odbudowy zmienił się w ruiny. W 1824 r. zostały one rozebrane i dziś pozostała po nim tylko prowadząca do tego miejsca ul. Zamkowa. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

SIOSTRY GOTUJĄ

Styczniowe inspiracje

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Styczeń jest dla nas miesiącem długich wieczorów i jeszcze krótkiego dnia, choć i tak dni są już odczuwalnie dłuższe, a słońce świeci częściej. Dla nas jest to idealny czas, aby postanowienia noworoczne wprowadzić w życie. Zapału mamy ogrom, zaczynamy zatem od aktywności fizycznej. Odwiedzamy siłownie, biegamy, więcej spacerujemy i coraz częściej wybieramy lżejsze posiłki – choć do wiosny jeszcze sporo czasu, to warto już dziś pomyśleć o małych zmianach naszego menu.

FOT. ADOBE STOCK

Jak w każdej dziedzinie życia, również w kulinariach panują powszechnie narzucone trendy. Rok 2023 będzie pod znakiem zamienników znanych nam produktów. Będzie mniej mięsa, ryb i serów z mleka krowiego, a w zamian za to coraz częściej będziemy wybierać roślinne zamienniki – wegańskie owoce morza czy np. mleko z ziemniaka. Ten rok będzie również „rokiem wdzięczności" dla dziadków, za ich wiedzę, miłość i pasję do gotowania. Najsłynniejsi szefowie kuchni często przyznają, że gotować nauczyła ich właśnie babcia, a oni te przepisy prosto z dziecięcych lat, przepisy z nostalgią, będą przedstawiać w nowych odsłonach.

Na talerzach w nowym roku powinno być przede wszystkim zdrowo, kolorowo, oszczędnie, lekko i prosto. Wprowadzajmy zamienniki, ograniczmy nieco mięso, w zamian za to korzystajmy z doskonałych właściwości strączków grochu, soczewicy i ciecierzycy, nie bójmy się eksperymentować. Dania powinny być przygotowywane w miarę szybko, by oszczędzać prąd i gaz, ale tak, by w zamian było więcej czasu na wspólne biesiadowanie. A żeby było szybko, lekko i zdrowo, to polecamy codziennie zjadać porcje sałaty z różnymi dodatkami, duża dawka witamin, makro- i mikroelementów gwarantowana.

Sałatka z rukolą, kozim serem i komosą ryżową oraz pieczonym batatem

• 1 opakowanie rukoli lub miks sałat z rukolą • 1 duży batat wcześniej upieczony (owijamy folią, wkładamy do nagrzanego piekarnika na 30 min, wyjmujemy, studzimy i kroimy w kostkę) • ½ szklanki komosy ryżowej wcześniej ugotowanej w osolonej wodzie (płuczemy kilkakrotnie, wkładamy do garnka, zalewamy wodą ok. 1,5 cm ponad poziom, gotujemy ok. 15 min, studzimy) • 1 opakowanie serka koziego, rolady koziej • garść orzechów włoskich • garść pomidorków koktajlowych • ½ czerwonej cebuli pokrojonej w kostkę • garść liści bazylii, gałązki rozmarynu

Sos: łyżeczka miodu i musztardy dijon, sok z cytryny, sól, pieprz, oliwa z oliwek. Wszystko razem mieszamy dość energicznie w słoiku, aby uzyskać jednolitą konsystencję.

Sałatę przekładamy do misy, mieszamy z komosą, dodajemy pokrojonego batata, kozi ser, pokrojone pomidorki, orzechy włoskie, cebulę, świeże zioła. Polewamy sosem. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak ci na imię

JOANNA BOJAŃCZYK

Obok podsumowań i postanowień jednym z głównych tematów stycznia są raporty o imionach nadawanych dzieciom w minionym roku. Lubię to czytać, bo te imiona mówią wiele o rzeczywistości. Nie zdziwiło mnie, że w Polsce na świat przyszło najwięcej Antosiów i Zoś. Jest to tendencja wieloletnia, sympatyczny powrót do starych imion. Teraz w przedszkolu gdy zawołasz Antosia, to zostają tylko Zosie. Ale np. mój najstarszy syn o tym imieniu urodzony w połowie lat 70. przez szkoły i studia przeszedł, nie mając konkurencji. Jan, Piotr, Michał nie zaskakują, są to imiona ponadczasowe. Nowością jest Józef, który w 2022 r. zajmuje trzecie miejsce. Jeszcze parę lat temu Józio byłby na czarnej liście imion staromodnych, a tu nagle taki awans!

Wiadomo, że imiona przychodzą stadami i stadami także odchodzą. Tak Bartki, Marciny i Sebastiany zrobiły miejsce dla Józiów, Kaziów i Heniów. Patrycje i Nikole jakoś szczęśliwie minęły. Teraz czekam na powrót Mieczysławów, Zygmuntów, Czesławów i Zdzisławów. Jeszcze na nich nie czas, ale nie martwmy się, wrócą i oni.

O ile Antoni nie budzi mego zdziwienia (wszak sama nazwałam tak dziecko), podoba mi się Stanisław i lubię Władka, o tyle chciałabym zrozumieć, dlaczego wokół mnożą się dziewczynki o imieniu Antonina, a nie ma ani jednej Stanisławy, Józefy ani Kazimiery. Dlaczego? Przecież należą do tej samej rodziny starych, porządnych polskich imion.

We Francji od dwóch lat prowadzi Emma, to – zdaje się – pokłosie popularności Emmy Watson. Fascynacja celebrytami wzięła, jak widać, wśród Francuzów górę nad miłością do własnych tradycji. Nicole, Sabine, Jeanne, Marianne, Camille... pokolenie młodych rodziców uznaje za ramoty. Poza referencjami do Hollywood, aż nadto oczywistymi (Ambre Rose), zainteresowania Francuzów idą w stronę celtycką – Gael dla dziewczynek, dla chłopców Liam. O zmieniającej się strukturze społecznej oktagonu może świadczyć obecny numer jeden, a także imię od trzech lat najczęściej nadawane francuskim dziewczynkom. To Jade, po arabsku doskonałość, szczodrość. Brzmienie francuskie, znaczenie islamskie.

Największym zaskoczeniem jest jednak dla mnie numer jeden na liście imion nadawanych chłopcom w Wielkiej Brytanii. To Muhammad. Jako socjolog amator ośmielam się wysunąć tezę, że jest ono wyrazem umacniania się tożsamości narodowej arabskich imigrantów w Zjednoczonym Królestwie. Śmiało podkreślają swoją odrębność cywilizacyjną i kulturową, nie nazwą syna Johnem czy George'em. Noah, Theo i Leo dopiero na następnych miejscach po Muhammadzie. Czy to kogoś jeszcze zaskakuje? Trzymaj się, droga Europo! ©℗

eprasa.pl e8066a002f

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

COVID jako temat wyborczy

Protesty, które się odbywają w Brazylii, dotyczą niezgody wielu Brazylijczyków na ogłoszony wynik wyborczy. To kolejne wzmożenie w kraju, w którym głosy rozdzielały się dość równo, a o wyniku decydowały milimetry. Potem dochodziły informacje o tym, jak fałszowano wybory i zaczynały się protesty. Tak jak w USA, tak teraz w Brazylii.

Z tym że w Brazylii mieliśmy właściwie wybory covidowe. Urzędujący prezydent Bolsonaro nie bardzo przejął się COVID i nie chciał wprowadzić obostrzeń, które szalały po świecie, a kwestie proponowanych mu umów szczepionkowych nagłośnił, pokazując, że producenci nie chcą brać odpowiedzialności za swój produkt.

Jedną z kar przewidzianych przez da Silvę ma być obowiązkowe szczepienie

Nietrudno było przewidzieć, że właśnie z tej strony dostanie cios wyborczy. Zaczęło się nagłaśnianie dynamiki ofiar, zakażeń, śmierci z COVID. Rozpoczęły się demonstracje pod hasłami „Szczepionka w ramię – jedzenie na talerz!" i na fali paniki popularność zaczął zyskiwać konkurent dość nieciekawej, bo kryminalnej proweniencji – Inácio Lula da Silva. Temat COVID był główną osią kampanii. Protesty przerażonych wielką śmiertelnością zwolenników da Silvy przebiegały pod znakiem różnicującym, czyli w maseczkach, co w dodatku anonimizowało ekstremalne zachowania. Z drugiej strony mieliśmy byłego już prezydenta Bolsonaro, który demonstracyjnie nie nosił maseczki.

Wybory się odbyły, wygrał da Silva, ale rozpoczęły się masowe protesty w związku z podejrzeniami o wyborcze oszustwo. Ostatnio tłumy zaatakowały budynki publiczne, łącznie z najważniejszymi instytucjami rządowymi. Nowy prezydent skrytykował żandarmerię za bierność wobec protestujących, a nawet za aktywny udział w protestach. Zapowiedział kary.

Doszła do mnie wiadomość, że jedną z przewidzianych kar będzie obowiązkowe szczepienie. Nie wiem tylko, czy będzie to dotyczyć wyłącznie żandarmerii czy też ponad 1,5 tys. zatrzymanych protestujących. Jeżeli się okaże, że nowy prezydent wprowadzi takie „kary", to będzie już ostateczny etap blamażu szczepionek. Miały ratować ludzkość, a będą używane jako środek dyscyplinujący, kara za popełnione nieprawomyślności. Trudno o wydobycie w bardziej wyrazisty sposób istoty szczepień. Będzie to jednocześnie kara oraz zapisanie do zwolenników nie tylko nowego prezydenta, lecz także sanitaryzmu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Eksperci Izby Lekarskiej

Oj, dostało mi się za ostatni tekst „Zamknąć usta medykom". Nie dlatego, że przeszarżowałem – ależ skąd! Obok podziękowań wskazano mi nieścisłość. Pisząc o opiniach prof. Piotra Rzymskiego i prof. Andrzeja Fala, których izby lekarskie używały wobec lekarzy – sygnatariuszy apeli do władz RP, tych autorów nazwałem lekarzami, a tylko jeden z nich, prof. Fal, jest internistą. Piotr Rzymski nie jest lekarzem, ukończył studia ochrony środowiska.

Powołanie ich jako ekspertów (by stwierdzić ciężar przewinienia lekarzy kwestionujących polityczną narrację dotyczącą COVID-19) u źródeł ma zapewne zaangażowanie tychże w inicjatywę „Nauka przeciw pandemii". Jak piszą sami uczestnicy – inicjatywa zrzesza „uznanych ekspertów ze środowiska naukowego [...] na rzecz szerzenia rzetelnej informacji dotyczącej konieczności szczepień przeciw COVID-19". W ramach tej inicjatywy powstały dwa raporty, m.in. dotyczące szczepień (wśród autorów są członkowie Rady Medycznej i prezes NIL, Andrzej Matyja). Na pierwszej stronie autorzy dziękują firmie Proper Medical Writing za pomoc w przygotowaniu pracy. Firma ta pomaga przygotowywać publikacje z badań klinicznych. Jej partnerami są producenci szczepionek, a dyrektorem jest Maciej Bagiński, który – jak sam pisze – pracował wiele lat na kluczowych stanowiskach zarządczych w międzynarodowych korporacjach farmaceutycznych (m.in. Pharmacia & Upjohn, Hexal, Agfa Gaevert).

Wracając do prof. Fala, trzeba wspomnieć, że wokół jego habilitacji przez lata trwały poważne kontrowersje. Zarzucono mu plagiat – posługiwanie się w dorobku przedhabilitacyjnym pracami doktorskimi Jadwigi Miecielicy i Krystyny Gietkiewicz. Komisja stwierdziła identyczność tekstów, ale sprawa, mimo poważnych zarzutów i odrębnego zdania rzecznika dyscyplinarnego, po wielu spektakularnych zwrotach, odsyłania do ponownej oceny przez centralną komisję, zmiany miejsca habilitacji, zakończyła się dla Andrzeja Fala pozytywnie (więcej o tej sprawie przeczytać można w tekście „Tak nie uchodzi" Marka Wrońskiego na Forum Akademickim).

Osobny tekst można napisać o autorach opinii prawnej: prof. Stanisławie Hocu – byłym oficerze MO, prof. Lechu Gardockim (byłym członku PZPR) czy prof. Hubercie Izdebskim (prywatnie zięciu Alicji i Kazimierza Graffów – stalinowskich sędziów, współsprawców zbrodni sądowych).

Sięgnięcie przez Izbę Lekarską po takich właśnie ekspertów, Rzymskiego i Fala z jednej strony, a z drugiej po emerytów, biograficznie tkwiących po uszy w systemie totalitarnym, jest wystarczająco wymowne. Pokazuje intencje prezesa NIL Andrzeja Matyi i środowiskowy kontekst Izb Lekarskich. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Co Olaf robi w trakcie?

Dzięki Polakom świat dowiedział się, że Olaf Scholz biega czy tam jogginguje. Stop. Się pochwalił niemiecki kanclerz, że w czasie biegania spotkał podobno Polaka, który bardzo mu podziękował, że on nie daje Ukraińcom czołgów Leopard i nie daje się Polakom zwariować. Stop. Trwają poszukiwania kogoś, kto by w ową powiastkę z mchu i paproci uwierzył. Stop. Chwilowo Internet nieco szydzi z Olafa, wypisując treści różne, zaczynające się od: „W trakcie joggingu spotkałem...", dopisując wariacje naprawdę zwariowane. Stop. Polecam tę zabawę. Stop.

Polska policja nie ustaje w zaskakiwaniu polskiego społeczeństwa. Stop. Po odpalonym przez szefa wszystkich policjantów granatniku w komendzie głównej i po oglądaniu społeczeństwa przez stróżów prawa w mieszkaniach ze strażackiego wysięgnika wydawało się, że są to rzeczy trudne do przebicia. Stop. A jednak! Brat rodzony szefa wszystkich policjantów według prokuratury jest w zasadzie gangusem biorącym udział w zorganizowanej grupie przestępczej wyłudzającej VAT. Stop. Oczywiście nie można winić komendanta Szymczyka za to, co robi jego brat Sz. Bo niby skąd miałby to komendant wiedzieć? Z policji jest czy jak? Stop.

Lecz to nie wszystko. Stop. Jacyś nurkowie w środku zimy koło partu w Gdańsku nurkowali sobie w nocy, nikogo o tym nie powiadamiając. Stop. Zatrzymani powiedzieli, że bursztyn sobie łowią i z Hiszpanii słonecznej są. Stop. Ponieważ nie ustalono ich tożsamości ani tego, co robili w nocy koło ważnego polskiego portu, zostali wypuszczeni przez policję. Stop. Jakby kogoś zatrzymali mundurowi, proponujemy hasło: „Hiszpania, bursztyn sobie łowię". Stop. Może puszczą. Stop.

Trwają analizy, czy to dobrze czy niedobrze. Stop. Lech Wałęsa obwieścił, że z dużą dozą prawdopodobieństwa poprze w wyborach partię Szymona Hołowni – Polska 2050. Stop. No i teraz mądrzy ludzie zastanawiają się, czy takie poparcie to szybowiec czy raczej kamień młyński. Zdania są podzielone. Stop.

Z dziennikarskiego obowiązku odnotować trzeba, że ekonomista Bogusław Grabowski powiedział, że polskie społeczeństwo może przeszkodzić polskiemu społeczeństwu w rozwoju polskiego społeczeństwa. Stop. Nie jest to łatwe zdanie, więc na wszelki wypadek od prof. Grabowskiego kolejny raz odcięli się wszyscy politycy opozycji. Stop.

Pochwalić nie można, ale i przed potępieniem człowiek się wstrzymuje. Stop. Słowacki polityk, 57-letni Boris Kollar, ma 12 dzieci z 11 parterkami. Stop. Teraz spędził kilka miesięcy w Dubaju z kolejną partnerką i ona też spodziewa się dziecka. Stop. Faceci zazdroszczą, ale się nie przyznają. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Życie jak w Madrycie?

Małgośka – mówią mi – jak tam twój lobbing w Madrycie? No uwijam się, jak mogę, ale w przeciwieństwie do Katarczyków niczego pod stołem nie przekazuję. Choć kłamać nie będę: czasem po udanej rozmowie lub wywiadzie daję śliwowicę lub Chopina w płynie, dobrze rozchodzą się też kabanosy i pierniki z Torunia. Wszystko ku chwale ojczyzny, żeby Hiszpanom Polska kojarzyła się nie tylko z uśmiechem roztrzepanej dziennikarki z „Do Rzeczy", lecz także z dobrym smakiem naszych produktów.

Po ostatniej kolacji w domu pewnego zacnego polityka hiszpańskiego doszłam jednak do wniosku, że muszę odpuścić z tym namolnym lobbowaniem, bo może niechcący obrócić się przeciw Polsce. Proszę sobie wyobrazić dziwne miny sześciorga biesiadników, gdy spróbowali przywiezionego z mych rodzinnych stron cydru gruszkowego, i to tuż po tym, jak gospodarz uraczył nas winem burgundzkim z 1991 r. Wszyscy oczywiście stwierdzili – jakżeby nie – że mój polski cydr jest przepyszny, ale przy konkurencji, jaką miał tego wieczoru, to już tylko jakiś Jurand ze Spychowa z uciętym językiem mógłby pić bąbelki płynu gruszkowego. Mam nauczkę na przyszłość, żeby się nie wygłupiać.

A mówiąc poważniej – Polska coraz mniej potrzebuje lobbowania, bo pod rządami prawicy ma swój godny profil na tle tuzina wyrobów socjademokratycznopodobnych. Nie mam kompleksów w Madrycie, zwłaszcza gdy rozmawiam z ludźmi autentycznie zatroskanymi o stan ducha ich rodaków. Na wspomnianej kolacji rozmawiałam ze znajomą, której książka o działaniach na rzecz zalegalizowania tylnymi drzwiami pedofilii jest już w druku. Ona wie, co mówi, bo jest posłanką Parlamentu Wspólnoty Madrytu. Nie było żadnego przejęzyczenia, gdy ministra równości ogłosiła, że „dzieci mają prawo do relacji seksualnych, z kim chcą", bo taka jest strategia lewicy. I ciarki chodzą po plecach, gdy się wie, że biskupi Hiszpanii podjęli się bronić szalonej minister, za to atak przypuścili na oburzony tą wypowiedzią VOX.

Od kilku dni obserwuję we wszystkich mediach prawdziwy dżihad wobec VOX za ich projekt umożliwiający kobietom w ciąży posłuchania bicia serca dziecka (i to tylko w jednym z regionów, a nie w całym kraju!). Pamiętając, że w Hiszpanii mogą abortować już 16-letnie dziewczynki, i to bez zgody rodziców, pomysł, aby kobiety mogły przed podjęciem decyzji posłuchać tętna płodu, wywołał prawdziwą furię i zarzuty o „łamanie praw człowieka". I kto by nie wolał żyć w Polsce? Zwłaszcza nienarodzone, hiszpańskie dzieci mogą tylko pomarzyć o tym, aby ich mamy żyły nad Wisłą... ©℗

eprasa.pl e8066a002f

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Potrzeba sensu

Jedno z ważniejszych pytań, które może prowadzić do wyjaśnienia wielu kwestii brzmi: Jakie są ludzkie potrzeby? Jeśli śmiejemy się ze słownych wpadek w święto „Sześciu Króli", to kieruje nami potrzeba żartu lub potrzeba kpin z innych ludzi; autor podobnych wpadek może kierować się przemożną potrzebą występów publicznych. Potrzeby są więc różne: od potrzeby jedzenia i picia lub bezpieczeństwa aż do potrzeby wyjścia z anonimowości lub władzy za wszelką cenę. Potrzeby są więc słuszne i niezbędne lub wątpliwe, a nawet naganne. Realizacja potrzeb zwykłych ludzi może dawać zwykłe i mało zauważalne skutki społeczne, chyba że są to procesy podobne w skali masowej. Potrzeby władz mają skutki znacznie dalej sięgające, czego ostatnio mamy dowód w postaci tragicznych skutków realizacji potrzeby Kremla zaprowadzenia na Ukrainie „ruskiego miru".

Dzisiejszy człowiek często gubi się w plątaninie potrzeb różnego rodzaju i różnego kalibru, mieszając potrzeby słuszne i niesłuszne. Stracił bowiem z oczu potrzebę najważniejszą: potrzebę sensu. Zdetronizował nawet Boga, twierdząc, że nie jest on w stanie przezwyciężyć sprzeczności logicznych. Pyta bowiem, czy Bóg może stworzyć tak ciężki kamień, że go nie będzie mógł udźwignąć. Człowiek współczesny wszystko, nawet Boga, mierzy własną miarą.

W święto Trzech Króli, o którym była mowa na początku, czyta się w Kościele psalm responsoryjny 72, którego słowa powstały prawdopodobnie 3 tys. lat temu, gdyż przypisywany jest on królowi Salomonowi:

Uwielbią Pana wszystkie ludy ziemi [...]
Będzie panował od morza do morza,
od Rzeki aż po krańce ziemi [...]
Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary,
królowie Szeby i Saby złożą daninę.
I oddadzą mu pokłon wszyscy królowie,
wszystkie narody będą mu służyły.

Co przez to chciał powiedzieć psalmista z tak odległych czasów? Czy jego archaicznie brzmiące słowa mają jeszcze dziś jakieś znaczenie? Warto się nad tym zastanowić, bo w słowach tych jest zapisana nadzieja, że Bóg Izraela, który nadaje sens światu, zapanuje na całym świecie. Mimo skomplikowanych dziejów Izraela i chrześcijaństwa w ostatnich trzydziestu wiekach do pewnego stopnia tak się stało, ponieważ Bóg Abrahama i Jakuba może wytłumaczyć sens świata we wszystkich prawie zakątkach globu. Tak się jednak nie stało, ponieważ nie panuje On nad sumieniami większości mieszkańców ziemi. Mają oni własne, bardzo różne potrzeby, wśród których potrzeba sensu albo zajmuje dalekie miejsce w hierarchii, albo swe życie rozumieją w sposób wykluczający poszukiwania głównego sensu, bo zajęci są tylko pracą i spędzaniem czasu.

W finale mistrzostw świata w piłce nożnej kibice Argentyny mieli potrzebę triumfu nad Francją, a kibice francuscy potrzebowali pokonania Argentyny. Obu potrzeb nie dało się zrealizować. Sprzeczności są przypadłością naszego życia, ale nie są jego podstawą. Być może najważniejszym sensem tego meczu były świetna gra i popisy mistrzów, dające satysfakcję jako takie.

Współcześni myśliciele bardzo często dochodzą do wniosku, że bez Boga świat nie ma sensu. Poprzestają jednak na tym, ignorując potrzebę sensu zapisaną jakby w ludzkich genach. Po prostu bez sensu jest nam źle.

Jeśli Bóg istnieje, to jest On sensem i nadaje sens światu. Ze sprzeczności może się śmiać, ale one Go nie dotyczą. Słowo, które było na początku, jest sensem, bo nie dałoby się stworzyć świata opartego na bezsensie i sprzecznościach. Dobrze widać to po skutkach filozofii wywodzących się z Hegla i Marksa, w których nadzieje na rozwój opierano na walce przeciwieństw. Są one produktem ubocznym naszego świata, ale nie jego fundamentem. ©℗

Jeśli Bóg istnieje, to jest On sensem i nadaje sens światu. Ze sprzeczności może się śmiać, ale one Go nie dotyczą. Słowo, które było na początku, jest sensem, bo nie dałoby się stworzyć świata opartego na bezsensie i sprzecznościach. Dobrze widać to po skutkach filozofii wywodzących się z Hegla i Marksa, w których nadzieje na rozwój opierano na walce przeciwieństw

eprasa.pl e8066a002f

AWANGARDA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Władza w USA przyznała się wreszcie, że kłamała w sprawie COVID. Nabijali statystyki zgonów, aby wywołać panikę. Przyznali, że robili to świadomie i celowo – ich celem była panika, ale mówią „mieliśmy dobre intencje", bo „panika miała zachęcić społeczeństwo do ostrożności". Acha, czyli gdy się ma dobre intencje, wolno kłamać i wywoływać panikę, a gdy się ma złe, wówczas identyczne zachowanie jest karalne.

Statystyki nabijano (i w wielu miejscach wciąż się nabija) za pomocą prostej sztuczki: władza dopłaca szpitalowi ekstrakasę, gdy do szpitala trafia pacjent z COVID. Za grypę nie dopłacają, za COVID owszem. Bingo!

Karetka przywozi pacjenta z zawałem serca. Zbadali krew, rutynowo, wykryli COVID, pacjent zmarł. Taki pacjent powiększał urzędową statystykę zgonów na COVID, choć przecież nie zmarł z powodu COVID.

Drugiego przywieźli z postrzałem. Rana z przodu mała, a na plecach dziura wielkości pizzy – zmarł ewidentnie od postrzału i nie da się tego zgonu wytłumaczyć inaczej, ale… biedny szpital w Oregonie może dostać dużo forsy z Waszyngtonu, jeśli pacjent ma COVID. No to co robią w szpitalu? Zgodnie z federalną procedurą zaznaczają rubrykę COVID za każdym razem, gdy wykryto ślad wirusa we krwi.

***

Formularze były skonstruowane sprytnie – tak by nie trzeba było kłamać wprost, bo za kłamstwo wobec władzy federalnej jest więzienie, ale jednocześnie w przypadku COVID władza federalna chciała kłamstw w statystykach. W związku z tym na dokumencie KARTA PACJENTA dodajemy niewinną rubrykę: Czy wykryto wirusa COVID? – tak-nie.

Gdzieś indziej, w uwagach, jest napisane, że miał postrzał i dziurę wielkości pizzy, ale to już urzędników w Waszyngtonie nie interesowało – oni brali do statystyk wyłącznie „parametry covidowe".

No i wyszło im, co chcieli. Pacjentów, którzy zmarli Z COVID we krwi, zaliczono do tej samej grupy co tych, którzy zmarli NA COVID. A przecież oglądając tego gościa z dziurą w plecach, każdy głupi widzi, że on nie zmarł od wirusa.

Władza federalna zwalczała, a nawet tępiła wszystkich, którzy wskazywali na tę „pomyłkę" metodologiczną. Wraz z władzą robiły to media, Big Tech i Big Pharma. Sam wiem, bo moje konta na FB i YouTube były zamykane, dostawałem ostrzeżenia i demonetyzacje z powodu rozpowszechniania „dezinformacji".

Po trzech latach władza w USA przyznała się w końcu, że to oni zajmowali się dezinformacją.

Skala zjawiska jest potężna – 9/10 to zgony zwyczajne, a tylko 1/10 to COVID. Gdyby poprawić statystyki szpitalne i usunąć z nich wszystkie zgony zaliczone nieprawidłowo, wyjdzie nam, że na COVID umierało o połowę mniej ludzi niż na raka. To nadal duże liczby, ale… już nie tak duże, by dało się sprzedać narodowi lockdown, przymus szczepień, import masek, zamykanie basenów, siłowni, teatrów, restauracji i SZKÓŁ.

***

Władza w USA przyznała się też, że preparaty Pfizera są szkodliwe i wywołują śmierć na coś, co dla laika wygląda jak zawał serca. Przyznali się, że od dawna śledzą zjawisko, ale nie chcieli „siać paniki i wzbudzać nastrojów antyszczepionkowych", więc siedzieli cicho i obserwowali, jak umierają ludzie. Ukrywali prawdę, gdyż mieli dobre intencje.

W Polsce tego typu doniesienia są nadal traktowane jako „dezinformacja". Czyli zdaniem rządu RP to, co stwierdzają oficjalne czynniki w USA, to teoria spiskowa.

A ja w zaistniałej sytuacji sam siebie traktuję jako awangardę. I każdy, kto w roku 2020 był przez władzę traktowany jako propagator teorii spiskowych, ma się prawo czuć dumny – to my mieliśmy lepszego nosa, lepsze wyczucie i zdrowsze myślenie niż władza. Awangardowy był każdy, kto się stawiał przeciw maskom i lockdownom. Awangardowy był każdy, kto myślał, a nie tylko słuchał, co gada władza.

W latach 60. mój Ojczulek Stanisław należał do awangardy razem ze swoim kumplem Niemenem. Ubierali się awangardowo i zachowywali awangardowo oraz mówili rzeczy awangardowe. Władza nie cierpi awangardy i stosuje przemoc. Awangarda nie cierpi przemocy i stawia się władzy. Awangarda ma rację, władza nie ma. Te prawdy pozostały bez zmian.

***

Niejaki Tedros, czyli szef WHO (Światowa Organizacja Zdrowia), swoją karierę polityczną zaczynał w bojówce komunistycznej. Bojówka zajmowała się aktami terrorystycznymi na terenie Etiopii. Nie zajmowali się ratowaniem życia, lecz uśmiercaniem rodaków z zastosowaniem okrucieństwa. To dość ważne, bo czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Można się za młodu przyzwyczaić do aktów okrucieństwa i potem już cię mało co rusza. Można się przyzwyczaić do zimnej kalkulacji i pozbyć empatii. Można też przyzwyczaić się do wykonywania każdego rozkazu bez zmrużenia oka i przykładów takiej wyuczonej postawy jest w Afryce bardzo wiele. Tedros był dla Chińczyków idealnym kandydatem na stanowisko szefa WHO, bo w kulturze Chin pragmatyzm i zimna kalkulacja stoją wysoko, a empatia jest oznaką słabości.

Od pewnego czasu WHO ze zdziwieniem obserwuje statystyki, z których wynika, że w grupie osób zaszczepionych jest większy procent zgonów na COVID niż w grupie, która się nie szczepiła. WHO na razie nie wie, co z tym fantem zrobić, po prostu chłodno odnotowuje zjawisko. Być może ci oporni, którzy nie chcieli się szczepić pomimo zachęt i wymuszeń, są jednocześnie mocniejszego zdrowia, czyli ogólnie bardziej odporni na wszystko – na COVID i na propagandę szczepionkową jednocześnie. WHO na razie nie doszła do konkluzji, że to „szczepionka" osłabia odporność. Ludzie umierają, WHO siedzi i obserwuje, ale nie zmienia zaleceń. Z kolei rząd RP siedzi i słucha WHO. ©℗

eprasa.pl e8066a002f

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

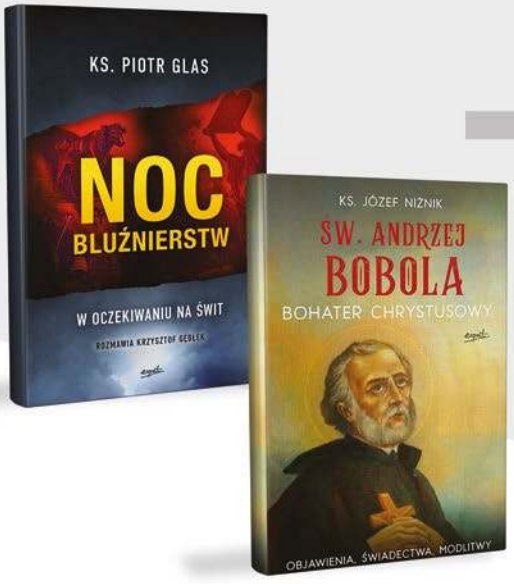

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. PIOTR GLAS: „NOC BLUŹNIERSTW"

I KS. JÓZEF NIŻNIK: „ŚW. ANDRZEJ BOBOLA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~522 ZŁ~~

214,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 308ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e8066a002f

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

ROK 1933.
WYBÓR NIEMCÓW:
HITLER KANCLERZEM, CZYLI
POCZĄTEK KOSZMARU

– mówi prof. Grzegorz Kucharczyk, piszą Piotr Semka, Jakub Ostromęcki, Grzegorz Janiszewski, Michał Mackiewicz i inni

TWARZE 1863 R. – Marka Gałęzowskiego o wolnych Polakach opowieść datowana, a POWSTAŃCZE DAGEROTYPY prezentuje Tomasz Stańczyk

BEZRADNY KONSUL II RP – prof. Mikołaj Iwanow o dyplomatach polskich na Białorusi w latach 1922–1939

JAN PAWEŁ II I RONALD REAGAN – z amerykańskim historykiem prof. Paulem Kengorem rozmawia Piotr Włoczyk

ZA DŹWINĘ DO PRACY – Sławomir Koper przypomina sezonową przedwojenną emigrację Polaków na Łotwę

PÓŁKSIĘŻYC ZASZEDŁ POD LEPANTO – Maciej Rosalak o zwycięstwie floty chrześcijan nad Turkami w 1531 r.

UPADEK ERICHA KOCHA – Piotr Zychowicz: były gauleiter Prus wcale nie miał w celi kolorowego telewizora

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e8066a002f